

ODJAZD!
Najwyższy czas
na pociąg

ZBROIMY SIĘ
Na jaką armię
nas stać

ERA SODANO
Wszystkie winy
kardynała

PARTYZANCI
Oni walczą
z Łukaszenką

KRÓTKIE ŁAPKI KRÓLA
Czego nie wiedzieliście
o tyranozaurach

Kraków 12 czerwca 2022 nr 24 (3805)

cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Tak zwyciężać mamy

**IGA ŚWIĄTEK,
CZYLI WIĘCEJ NIŻ SPORT**



MW / Muzeum Narodowe
w Warszawie

160 LAT
MUZEUM NARODOWEGO
w WARSZAWIE



Chagall

Muzeum Narodowe w Warszawie

30.04 – 24.07.2022

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO
WYSTAWA POD HONOROWYM PATRONATEM WICEPREZESA RADY MINISTRÓW, MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO,
PROF. PIOTRA GLIŃSKIEGO

MECENAS MUZEUM

PATRON ROKU JUBILEUSZOWEGO



**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego**



PARTNERZY MUZEUM



TOTALIZATOR
SPORTOWY



PKP INTERCITY

PARTNER WYSTAWY

ams

Poddajcie się buntowniczej mocy tekstów zebranych w tej książce – każdy z nich będziecie smakować niczym mistrzowskie danie, które zachwyca geniuszem prostoty i wyrafinowania. Bravo, uważny i wrażliwy na sprawy społeczne, widzi w jedzeniu klucz do zrozumienia sensu istnienia człowieka, obnaża absurdalność decyzji polityków i powierzchownych mód – efektownych, lecz pustych w środku niczym beza. „Półki z książkami to siedlisko sił nieczystych” – pisze przewrotnie Paweł Bravo. Niech jak najwięcej półek zapełnia się takimi książkami jak ta.

DARIA PAWLEWSKA
REDAKTORKA NACZELNA MAGAZYNU KUKBUK

Przedsprzedaż do 20 czerwca *

Specjalna oferta dla czytelników „Tygodnika Powszechnego” **



* Oferta przedsprzedaży na stronie wydawnictwa Wysoki Zamek www.wysokizamek.com.pl

** Dodatkowy rabat z kodem Bravo2022

20 Tanio, okazja, świadczenie polecam!

MAŁGORZATA NOCUŃ

Trybunał Konstytucyjny orzekł, że zasiłki pielęgnacyjne należą się opiekunom nie tylko chorych dzieci, ale też dorosłych. Niestety, szlachetny wyrok otworzył pole do nadużyć.



32 Gładkousty

EDWARD AUGUSTYN

Śmierć kardynała Angela Sodano symbolicznie kończy epokę kurii rzymskiej wszechwładnej, kunktatorskiej i przeżartej korupcją.



49 Wszystkie języki Szkocji

ROZMOWA Z KAREN ADAM:

Niepodległa Szkocja byłaby prosperującym krajem. Pierwszym krokiem ku temu musi być nowe referendum.

56 Tyran, cesarz i królowa

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Najsłynniejszy z dinozaurów, T. rex, nie był samotnikiem. Domyślamy się też, dlaczego miał kuriozalnie małe łapy.



69 Nastrój mocy

ROZMOWA

Z ANNA

SUŁKOWSKĄ-

MIGOŃ,

DYRYGENTKĄ:

Dzięki temu, że mam w życiu coś więcej niż muzykę, mogę o tym w muzyce opowiedzieć.



78 Iga, Wieczny Gracz

MAREK BIEŃCZYK

Dziennikarskie gawędy typu „normalna, zwykła dziewczyna” nie mają sensu.

6 O jedność coraz trudniej
WOJCIECH KONOŃCZUK

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia

MAŁGORZATA KORDOWICZ

O. WACŁAW OSZAJCA

ABP GRZEGORZ RYŚ

PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

20 Tanio, okazja, świadczenie polecam!

MAŁGORZATA NOCŮ

24 Na zakupy marsz

MAREK RABIJ:

Polska buduje siły zbrojne, które mają być regionalną potęgą

27 Kracicie jak i my

ZOFIA GRUDZIŃSKA, PEDAGOŹKA:

Postąpiliśmy wobec ukraińskich uczniów jak nauczyciel, który mówi: „Polećcie str. 65, przeczytać i zrobić”

■ ■ WIARA

32 Gładkousty

EDWARD AUGUSTYN

36 Pod tym dachem nie ma wrogów

O. PAWEŁ KRUPA Z PETERSBURGA

o Ewangelii na czas wojny

39 Nominacje bez pytania

PIOTR SIKORA: *Franciszek znów*

mianował kardynałami ludzi

z kościelnych „peryferii”

■ ■ ŚWIAT

42 Tak się walczy z Łukaszenką

BARTOSZ RUMIŃCZYK:

W białoruskich aresztach przebywa kilkunastu ludzi, o których niektórzy mówią: współcześni partyzanci

46 Biden ma dość

MARTA ZDZIEBORSKA: *Ile osób musi zginąć, by zastrzono dostęp do broni?*

47 Kartoteka z Sinciangu

PIOTR BERNARDYN Z TOKIO *o tym, jak Chiny prześladowują muzułmańskich Ujgurów*

TEMAT TYGODNIKA

ANATOL CHOMICZ / FORUM



12 Czas na pociąg

MARCIN ŹYŁA

Na kolei wciąż gonimy Zachód. I choć polskie pociągi są coraz szybsze i nowocześniejsze, pasażerowie nie zawsze są w nich najważniejsi.

15 Kolej i życie

ROZMOWA Z KAROLEM TRAMMEREM:

Walka z popytem na paliwa powinna polegać na nakłanianiu do korzystania z transportu publicznego. Tymczasem przewoźnicy podnoszą ceny biletów, a państwo rozkłada ręce.

74 MUZEUM WARSZAWY

Hase: zawsze w modzie

■ FELIETONY ■

31 DOROTA MASŁOWSKA **41** ZUZANNA RADZIK

61 TOMASZ STAWISZYŃSKI **77** PAWEŁ BRAVO

82 STANISŁAW MANCIEWICZ

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:

IGA ŚWIĄTEK, PARYŻ, 5 CZERWCA 2022 R.
ZDJĘCIE: GONZALO FUENTES / REUTERS / FORUM

Redaktor prowadzący: MACIEJ MÜLLER

48 Niech żyje Elżbieta!

PATRYCJA BUKALSKA

o Platynowym Jubileuszu królowej

49 Wszystkie języki Szkoci

ROZMOWA Z KAREN ADAM

■ ■ HISTORIA

52 Jak Polacy kreślili Skopje

ROZMOWA Z KINGĄ NETTMANN-

MULTANOWSKĄ: *Odbudowa*

macedońskiej stolicy wyznaczyła wzorce dla wykorzystywania socjologii w planowaniu miasta

■ ■ NAUKA

56 Tyran, cesarz i królowa

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

60 Kogo stać na nowy ogon

ŁUKASZ KWIATEK:

W wielu liniach ewolucyjnych zanikła zdolność do regeneracji utraconych części ciała. Właściwie dlaczego?

■ ■ KULTURA

62 Historia zakorzeniona

MARCIN NAPIÓRKOWSKI:

Żeby stworzyć lepsze państwo, potrzeba przede wszystkim lepszej mapy. Najlepszą z dotychczasowych narysował Rafał Matyja

66 Komu obraz, komu?

PIOTR KOSIEWSKI:

Fotografia nadal może pomóc w opisanu i zrozumieniu naszej rzeczywistości

69 Nastrój mocy

ROZMOWA Z ANNA

SUKKOWSKĄ-MIGOŃ

72 W gumowych rękawiczkach

ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Między dwoma światami” Emmanuel Carrère*

76 Książka niemożliwa

LEKTOR *o „Dzienniku wojennym” Józefa Czapskiego*

■ ■ ZMYŚŁ

78 Iga, Wieczny Gracz

MAREK BIEŃCZYK

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

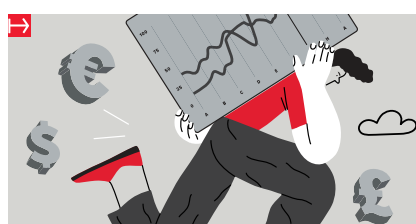
📺 Kadry Putina [Rosyjska Ruletka]

Kryterium doboru osób jest lojalność wobec Putina. Po inwazji na Ukrainę kryterium lojalnościowe zastrzono – pisze

ANNA ŁABUSZEWSKA | tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka

🎧 #DOM: Odrobina Radości [Podkast Powszechny]

Wszystkie dzieci na świecie kochają bańki mydlane – JOANNA LEWANDOWSKA, artystka z fundacji Czerwone Noski, opowiada o pracy klauna w obozach dla uchodźców | tygodnikpowszechny.pl/podkast



Serwisy specjalne: patrz szerzej

GOSPODARKA TRZESZCZY
Wojna, waluty i inflacja: co nas czeka?

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/GOSPODARKA



[f / TYGODNIKPOWSZECHNY](https://www.facebook.com/tygodnikpowszechny) ■ [i / TYGODNIK](https://www.instagram.com/tygodnik) ■ [y / TYGODNIK](https://www.youtube.com/tygodnikpowszechny) ■ [YouTube / TYGODNIKPOWSZECHNY](https://www.youtube.com/tygodnikpowszechny)



O JEDNOŚĆ CORAZ TRUDNIEJ

Niektórzy politycy zachodni mówią: „Ukraina nie może przegrać”.

Inni: „Ukraina powinna wygrać”.

Różnica między oboma postawami jest zasadnicza, podobnie jak ich skutki.

WOJCIECH KONOŃCZUK

IM DŁUŻEJ TRWA INWAZJA, TYM SILNIEJSZE stają się dyskusje dotyczące zachodniej strategii i podejścia do Rosji. W ostatnich dniach podgrzał je kolejny wywiad prezydenta Emmanuela Macrona, w którym stwierdził on, że pomimo „historycznego błędu” popełnionego przez Putina, „Zachód nie może sobie pozwolić na ponížanie Rosji”. Podobne głosy dobiegają również z Niemiec, Austrii czy Węgier. Jest to czytelna oznaka, że po pierwszym szoku wywołanym rosyjską agresją, która wywróciła do góry nogami system bezpieczeństwa w Europie, do głosu zaczynają dochodzić tzw. pragmatycy. Twierdzą oni, że najlepszym wariantem byłoby szybkie zakończenie wojny nawet za

cenę „oddania czegoś” Putinowi. To ostatnie najczęściej nie jest podnoszone wprost, ale sygnały są zrozumiałe.

Na razie Unia Europejska wciąż jest w stanie – niezależnie od różnic wewnętrznych – przyjmować kolejne pakiety sankcji wobec Rosji. O jedność jest jednak coraz trudniej, co pokazała batalia o przyjęcie embarga na rosyjską ropę. Niemal miesięczną dyskusję wywołał sprzeciw Węgier, które groziły wetem, o ile nie zostaną długookresowego wyłączenia z zakazu importu surowca z Rosji. Premier Viktor Orbán zagrał bardzo ostro i po raz pierwszy w tak demonstracyjny sposób zakwestionował unijny konsensus. W efekcie udało mu się ugrać to, co chciał. Niezależnie od tego faktem

Najcięższe walki trwają dziś w Siewierodoniecku, gdzie w miniony weekend siły ukraińskie odbiły część miasta. Na zdjęciu: zagraniczni ochotnicy walczący u boku Ukraińców w Siewierodoniecku, 2 czerwca 2022 r.

jest, iż jeszcze niedawno nie do wyobrażenia było, że w Europie za pół roku wejdzie w życie embargo na import rosyjskiej ropy drogą morską, a za osiem miesięcy – na import produktów nadtowych. Będzie to znaczące uderzenie w podstawy finansowe Rosji.

Jednocześnie z dyskusjami o sankcjach trwają zabiegi o zwiększenie pomocy wojskowej dla Ukrainy. Stać się oczywiste, że bez stałego wsparcia z Zachodu siły ukraińskie nie byłyby w stanie kontynuować walki. Dla powstrzymania trwającej rosyjskiej ofensywy Kijów potrzebuje więcej ciężkiego sprzętu, w szczególności artylerii. Doskonale rozumieją to państwa wschodniej flanki NATO, w tym Polska, która stała się drugim najważniejszym – po Stanach Zjednoczonych – dostarczycielem wsparcia militarnego dla Ukrainy.

Większy problem ze zrozumieniem powagi sytuacji mają Niemcy, gdzie trwają niekończące się dyskusje na temat możliwości zwiększenia pomocy dla Sił Zbrojnych Ukrainy. Na razie niewiele z tego wynika – co pokazuje, że nasi zachodni sąsiedzi, a przynajmniej kanclerz Olaf Scholz i jego współprzedsiedząca SPD, nie są w stanie pokonać bariery mentalnej i nazwać rzeczy po imieniu. Zamiast hasła „Ukraina nie może tej wojny przegrać”, co powtarza Scholz, przekaz powinien brzmieć: „Ukraina powinna tę wojnę wygrać”. Różnica jest zasadnicza. Berlin obawia się bowiem konsekwencji rosyjskiej przegranej. A sądząc po retoryce płynącej z Paryża, nie jest w tym odosobniony.

Różnicujące się postawy państw Zachodu na wojnę sprawiają, że coraz bardziej widoczne są dwie nieformalne grupy państw. Pierwszą można w uproszczeniu nazwać „partią zawieszenia ognia”, lobbującą za tym wariantem, nawet jeśli konsekwencje tego miałyby być dla Ukrainy niekorzystne. Przewodzą jej Niemcy i Francja, za którymi widoczne są m.in. Węgry i Austria. Druga grupa to „partia zwycięstwa”, do której można zaliczyć Wielką Brytanię, Polskę, kraje bałtyckie, Szwecję i – w znacznym stopniu – Stany Zjednoczone. Państwa te rozumieją, jak wysoka jest stawka tej wojny i że bynajmniej nie chodzi w niej tylko o Ukrainę.

Przyszłość Europy, Rosji i porządku międzynarodowego zależy od tego, która z tych grup odniesie sukces. ©

Plan zatwierdzony – na wielu warunkach

TOMASZ BIELECKI Z BRUKSELI



KRAJOWY PLAN ODBUDOWY TO WIELKA szansa na przyspieszenie naszej modernizacji. Jednak po wynegocjowaniu dość zgniętego kompromisu w kwestii praworządności Polska będzie musiała wykazywać się realizacją kolejnych, niedotyczących sądownictwa warunków – do 2026 r.

Komisja Europejska dała zielone światło dla KPO, który wkrótce powinien być zatwierdzony przez ministrów finansów 27 krajów Unii. Polska ma dostać 23,9 mld euro dotacji oraz 11,5 mld euro tanich pożyczek (rząd może również poprosić o kolejne 22 mld euro pożyczek). To część łącznej puli około 130 mld euro subsydiów dla Polski w unijnej siedmioletniej budżetowej (2021-27) w ramach różnych funduszy, w tym z polityki spójności. I jak w przypadku wszystkich unijnych pieniędzy, wypłaty z KPO są uzależnione od wypełnienia uzgodnionych kryteriów.

KPO został wynegocjowany już latem 2021 r. poza częścią dotyczącą praworządności. Rząd Mateusza Morawieckiego dopiero teraz przystał na – i tak ulgowe, bo dotyczący ledwie części problemów z prawem w Polsce – warunki oferowane przez Komisję Europejską już od zeszłego roku. Cały KPO to ponad 280 „kamieni milowych” (np. nowe ustawy) oraz „wartości docelowych” (np. długość zmodernizowanych połączeń kolejowych) rozpisanych

na najbliższe cztery lata, od których osiągnięcia będzie zależeć wypłata transz do 2026 r. Największe są prognozowane na lata 2023-24.

Priorytety funduszu to zielona transformacja oraz cyfryzacja, choć – podobnie jak w polityce spójności – KPO ma też pomóc reformom m.in. na rynku pracy. To rząd Morawieckiego zaproponował większość konkretnych działań w ramach tych priorytetów, w tym np. wprowadzenie „opłat od pojazdów ciężkich” na dodatkowych 1400 km dróg w 2023 r., 3,7 mld euro na finansowanie morskich elektrowni wiatrowych, 3,5 mld euro na energooszczędną renowację budynków z wymianą pieców węglowych, a także zakup bezemisyjnych lub niskoemisyjnych autobusów do obsługi 4500 linii w całej Polsce. Wśród warunków dla ostatniej transzy z 2026 r. jest usunięcie 305 „czarnych punktów”, gdzie najczęściej dochodzi do wypadków drogowych.

Polski KPO, doszlifowany w rokowaniach z Komisją, to niełatwe reformy, ale Polska – to jeden z nielicznych aspektów ciągłości – nadal ma dość dobrą opinię w kwestii gospodarowania funduszami UE. I jeśli tylko nie ugrzęźnie na dobre w sporach o sądy, to – takie przeświadczenie dominiuje w Brukseli – powinna dać radę terminowo sięgnąć po wszystkie raty z KPO do 2026 r. ©

Wyższe 500 plus to wyższa inflacja

POGŁOSKI O PLANOWANYM podniesieniu świadczenia 500 plus o 200 zł – a nawet podwojeniu jego wysokości – okazały się przesadzone. W trakcie sobotniej konwencji Prawa i Sprawiedliwości prezes Jarosław Kaczyński złożył wprawdzie sporo obietnic, ale na szczęście nie taką. Na szczęście – bo podwyżka 500 plus byłaby w obecnej sytuacji zbrodnią na domowych budżetach i można mieć tylko nadzieję, że pomysł ten nie wróci za chwilę jako element kampanii wyborczej.

Jak podaje GUS, w ub. roku przeciętne polskie gospodarstwo domowe wydawało na konsumpcję ok. 3,2 tys. zł miesięcznie. Inflacja, która w maju wyniosła 13,9 proc., rok

do roku zwiększyła te wydatki aż o 445 zł miesięcznie. Wzrost 500 plus do 700 zł miesięcznie przyniósłby zatem jedynie chwilowe wyzerowanie oddziaływania inflacji na domowe budżety – i to tylko rodzinom z minimum dwójką dzieci. Wszyscy odczulilibyśmy natomiast zabójcze konsekwencje wtłoczenia do gospodarki kolejnych miliardów. Podwyżka o 200 zł miesięcznie oznaczałaby dodatkowe 22,9 mld zł rocznie w krwioobiegu polskiego handlu i usług. Gdyby 500 plus zmieniło się w 1000 – aż 79 mld zł rocznie. W jednym i drugim przypadku rezultatem byłyby dalsze ostre podwyżki cen w sklepach.

Przy obecnej, rekordowo dużej rozpiętości między wysoką inflacją a niskim oprocentowaniem lokat trudno oczekiwać od beneficjentów 500 plus, że nie pójdą na zakupy, tylko zechcą zaoszczędzić dodatkowe pieniądze. © P MAREK RABIJ

Polska Ostrołęka

KRZYSZTOF STORY



TO MIAŁA BYĆ OSTATNIA elektrownia węglowa zbudowana w Europie. Planowany blok Ostrołęka C o mocy 1000 MW stanowił nie tyle inwestycję energetyczną, ile polityczny manifest PiS. W 2015 r. jeździli tam wszyscy: od Jarosława Kaczyńskiego przez Beatę Szydło po Andrzeja Dudę. Opowieść była czytelna: zbudujemy to, czego nie potrafiła zbudować PO. Polecenie rozpoczęcia prac wydano generalnemu wykonawcy 28 grudnia 2018 r. – inwestycję miały sfinansować spółki skarbu państwa – Enea SA i Enea SA.

Ekspertcy od początku wskazywali, że elektrownia, zwłaszcza biorąc pod uwagę klimatyczną politykę UE, nie będzie rentowna. Po zaledwie kilku latach trwa robota dwóch wież, które stały się symbolem klęski projektu. Blok w Ostrołęce będzie dokończony jako elektrownia gazowa, a całej sprawie przygląda się NIK.

Z dokumentów kontroli wylania się obraz niegospodarności i niekompetencji na granicy sabotażu. Luka w budżecie inwestycji w momencie rozpoczęcia budowy przekraczała 4 mld złotych. W zeznaniach ówczesnego ministra energii Krzysztofa Tchórzewskiego (Ostrołęka to też jego okręg wyborczy) czytamy: „wszystkie działania Enea i Enea w celu pozyskania finansowania były, w mojej dzisiejszej ocenie, pozorowane”. Działania pozorowane, nadzór żaden, ale straty bardzo realne. Kontrolerzy NIK szacują, że fiasco Ostrołęki kosztowało nas 1 mld 350 tysięcy złotych.

© P

GUS: Polacy stają się narodem seniorów

JESTEŚMY CORAZ STARSI – wynika z opracowania GUS „Polska w liczbach 2022”. Mediana wieku od 1990 do 2021 r. skoczyła z 32,3 do 42. Autorzy prognozują, że do 2050 r. ponad połowa ludności będzie w wieku emerytalnym (dla mężczyzn to powyżej 65 lat, dla kobiet powyżej 60), obecnie wskaźnik ten wynosi niecałe 40 proc.

Rośnie zarazem przeciętna długość życia. W ciągu trzech dekad zwiększyła się dla mężczyzn z 66 do 72 lat, dla kobiet z 75 do 80 lat. Kobiet jest (coraz) więcej: w 1990 r. na stu mężczyzn przypadało 105 kobiet, w zeszłym roku już 107. W 1990 r. przeciętna kobieta rodziła w ciągu życia dwoje dzieci, w 2021 r. ten wskaźnik spadł do 1,32. Ta pierwsza w momencie rodzenia pierwszego dziecka miała niecałe 23 lata, ta druga prawie 29 lat. I jeszcze jeden wskaźnik obrazujący zmiany społeczne: w ciągu ostatnich dziesięciu lat odsetek gospodarstw dwuosobowych wzrósł z 30 do 34 proc., a jednoosobowych z 18 do 24 proc. (przeciętna liczba osób w gospodarstwie domowym spadła z 2,9 do 2,5).

© P MaM

KRAJ W SKRÓCIE

DROBNICA OPAŁOWA

Chrust, o którego użyciu do opalania domów wiele się w ostatnich dniach mówiło, jest pojęciem nieprecyzyjnym; leśnicy nazywają go raczej „gałęziówką” lub „odpadami pozrębowymi”, a w cenniku Nadleśnictwa Międzychód opisuje się go jako „drobnicę opalową iglastą i liściastą w użytkowaniu rębnym”.

OPOZYCJA TOTALNA

O „mikromanii”, którą zła opozycja wpoila narodowi, czyniąc państwo bezradnym, powiedział Jarosław Kaczyński w trakcie konwencji PiS. Winą opozycji jest także to, że przybrała „niespotykany w świecie charakter opozycji totalnej” i „zaczęła odwoływać się do sił zewnętrznych”.



JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

SIŁY ZEWNĘTRZNE

Á propos sił zewnętrznych: Lech Wałęsa w wywiadzie dla Interii powiedział, że UE, zamiast chodzić na kompromis z Polską, powinna się rozwiązać i później stworzyć nową wspólnotę na podstawie Niemiec i Francji, ale bez Polski i Węgier.

NOWY PODRĘCZNIK

Onet omawia pierwszy tom podręcznika do Historii i Teraźniejszości – przedmiotu, który wchodzi do szkół po wakacjach. W książce wydawnictwa Biały Kruk przeczytamy m.in., że w UE różne religie „usiłuje się już niwelować poprzez lansowanie ateizmu i wcielanie go w życie nawet metodami urzędniczo-administracyjnymi”.

Dziesięć złotych za litr benzyny

JEDENAŚCIE MINUT – tylko tyle potrzebowali przedstawiciele państw OPEC+ na porozumienie o zwiększeniu wydobycia ropy. Członkowie kartelu obawiają się, że drogi surowiec w połączeniu z wysokim kursem dolara wyhamują globalną gospodarkę i mogą ją nawet wpędzić w recesję. Tylko w trakcie ostatniego miesiąca cena ropy wzrosła ze 101 do 120 dolarów za baryłkę.

Zwiększenie wydobycia o 200 tysięcy baryłek dziennie – czyli o blisko 50 procent – ma nastąpić dopiero od lipca. Dlatego ceny paliw nadal rosną. 3 czerwca – jak podaje biuro analityczne Reflex – średnia cena benzyny 95 w Polsce po raz pierwszy w historii przebiła barierę 8 zł (rok temu benzyna kosztowała średnio 5,30 zł). Kolejne podwyżki, nawet do 20 groszy za litr, są wielce prawdopodobne. Cenę ropy windują niskie poziomy jej zapasów i rosnący popyt. Kluczowym powodem jest jednak napaść Rosji na Ukrainę i przyjęty przez UE VI pakiet sankcji wobec Moskwy. © MAREK RABII

Ile za butelkę?

POLSKA BĘDZIE miała nowy system kaucyjny. Już wkrótce bez paragonu oddamy do sklepu puszki aluminiowe o pojemności do 1 litra, butelki szklane do 1,5 litra oraz plastikowe do 3 litrów. Jacek Ozdoba, wiceminister klimatu i środowiska, przedstawił kluczowe założenia, pełny tekst rozporządzenia poznamy za kilka miesięcy. Wtedy też dowiemy się, jaka będzie wysokość kaucji.

Dziś wiadomo, że system będzie obowiązkowy dla sklepów o powierzchni większej niż 100 m² – podpiszą one umowy z firmami przetwarzającymi odpady. Dobrą informacją jest to, że kaucją objęte zostaną puszki (brakowało ich w pierwszej wersji projektu) oraz szklane butelki jednorazowe. To pomoże uprzątnąć choć część z 3 milionów tzw. „małpek”, sprzedawanych codziennie w polskich sklepach. Nowe prawo ma być wdrażane stopniowo od 2023 do 2025 roku.

© P KRZYSZTOF STORY



ANN WANG / REUTERS / FORUM

TO JEDYNA TAKA UROCZYSTOŚĆ w chińskojęzycznym świecie: po tym, gdy od trzech lat obchodów tej rocznicy zabrania Hongkong, już tylko w Tajpej, stolicy Tajwanu, można 4 czerwca oddawać hołd ofiarom masakry na placu Tian'anmen. Wtedy, w roku 1989, w Pekinie zginęło od kilkuset do kilku tysięcy demonstrantów. Dziś, w roku 2022, nad Tajwanem, który Chiny uznają za część swojego terytorium, czuć cień dalekiej wojny. „Jesteśmy ośmieleni ukraińskim oporem wobec Rosji” – przyznał szef tajwańskiego MSZ, dodając, że i Chiny szykują się do inwazji na jego kraj. © P. ŻYM

Turcja szykuje się do nowego ataku na Syrię

PAWEŁ PIENIAŻEK



PREZYDENT TURCJI RECEP TAYYIP ERDOĞAN zapowiedział kolejną operację zbrojną w Syrii – kraju, gdzie wojna trwa już od 2011 r. Jej celem mają być terytoria kontrolowane przez Kurdów z miastami Manbidż i Tall Rifat na czele. Tym samym Ankara chce powiększyć strefę buforową, która ma obejmować 30 km w głąb Syrii wzdłuż granicy.

Decyzja o przeprowadzeniu operacji padła w czasie, gdy Szwecja i Finlandia starają się – po rosyjskiej inwazji na Ukrainę – o przyjęcie do NATO. Turcja na razie blokuje wejście obu państw do Sojuszu, twierdząc, że wspierają Partię Pracujących Kurdystanu (PKK). Ankara uznaje tę organizację, z którą walczy od lat 80. XX w., za terrorystyczną, a to właśnie powiązana z nią grupa zbrojna Powszechne Jednostki Ochrony (YPG) dominuje w północno-wschodniej Syrii. Dla Erdoğan i jego otoczenia nowy atak na Syrię może być czynnikiem mobilizującym elektorat przed przyszłorocznymi wyborami prezydenckimi i parlamentarnymi oraz odwracającym uwagę społeczeństwa od trudnej sytuacji ekonomicznej.

Według Erdoğan celem operacji jest również uderzenie w Państwo Islamskie, choć od

dawna nie działa ono w okolicach Manbidżu i Tall Rifatu. Do strefy buforowej ma rzekomo trafić milion Syryjczyków obecnie znajdujących się w Turcji.

Koalicja arabskich i kurdyjskich milicji – występująca jako Syryjskie Siły Demokratyczne (SDF), których kośćcem jest YPG – była w niedawnej przeszłości kluczowym sojusznikiem prowadzonej przez Stany Zjednoczone operacji przeciwko Państwu Islamskiemu. Nieduży amerykański kontyngent wciąż znajduje się na terenach kontrolowanych przez SDF. Biały Dom ostrzegł Ankarę przed nową ofensywą, twierdząc, że tworzy ona zagrożenie dla stacjonujących tam żołnierzy i miejscowej ludności. W okolicach Manbidżu i Tall Rifatu znajdują się wojska prezydenta Baszara al-Asada i jego sojusznika – Rosji. Jednak Kreml, skupiony teraz na wojnie z Ukrainą, nie wydaje się być w stanie przeciwstawić się Turcji.

Od 2016 r. Ankara przeprowadziła trzy operacje w północnej Syrii. Na skutek tej z 2018 r., gdy tureckie wojska i wspierające je syryjskie bojówki zajęły miasto Afrin, ponad 100 tys. mieszkańców musiało opuścić domy. Większość schroniła się w Tall Rifat.

Od Lizbony po Kijów

TAMTA ZARAŻA skończyła się u nas 24 lutego. Teraz walczymy z zarazą rosyjską – powiedział Andrej, wolontariusz z Odessy, patrząc sceptycznie na pudło z lekarstwami na covid, które dotarło z Niemiec. Lek był najnowszej generacji: evusheld, niedawno zatwierdzony w Unii. Jednak Andrej, rosyjskojęzyczny odessyjczyk, który od 2014 r. angażuje się „na pełen etat” w pomoc dla ukraińskiego szpitala wojskowego w rodzinnych mieście, nie zdecydował się wysłać ich ze Lwowa do Odessy nocnym pociągami, wraz z transportem innych leków – do terapii rannych żołnierzy i cywilów.

Odczucie, że covid „skończył się” wraz z początkiem pełnowymiarowej rosyjskiej inwazji, jest na Ukrainie powszechne – w sytuacji zagrożenia dla państwa i narodu priorytety sortują się same. Ale ludzie umierają także na covid. Evusheld trafił ostatecznie do Stebnika na Ziemi Lwowskiej, gdzie działa wciąż szpital covidowy. Statystyki, które ministerstwo zdrowia przedstawia raz na dwa tygodnie, mówią, że od 23 maja do 6 czerwca zmarło 67 osób, i że w tym czasie odnotowano 3,5 tys. nowych zachorowań. Bez wątpienia nie jest to pełny obraz sytuacji w kraju, gdzie domy opuściło już 12 mln ludzi, i gdzie władze bardziej niż covidu boją się wybuchu epidemii cholery – w wielu miejscach na wschodzie utrudniony jest dostęp do czystej wody pitnej.

Można jednak zrozumieć niemieckich lekarzy, że posłali też lek na covid: u nich statystyki epidemiczne wciąż są wysokie. Codziennie notuje się kilkadziesiąt tysięcy nowych zakażeń i ponad sto zgonów, w autobusie trzeba nosić maskę, a wracający z zagranicznych urlopów dopiero od paru dni nie muszą wykazywać, że są szczepieni, przeszli covid lub mają wynik testu.

Gdy idzie o covid, najwięcej zmarłych mają dziś – znowu – Portugalczycy: nowy podtyp Omikrona (nazwany BA.5) winduje liczbę nowych infekcji. W kraju, którego gospodarka czerpie znaczne dochody z turystyki, rosną więc też obawy o zaczynający się letni sezon turystyczny.

©© WOJCIECH PIĘCIAK z Ziemi Lwowskiej

Więcej na:

TygodnikPowszechny.pl
/atak-na-ukraine

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

LEDNICA

Kto ma decydować o Spotkaniach Młodych nad Lednicą, czyli spuściźnie po zmarłym w roku 2015 o. Janie Górze – jego zakonni współbracia dominikanie czy założone przez niego Stowarzyszenie Lednica 2000, skupiające najbliższych świeckich współpracowników? Spór ten omal nie zablokował tegorocznego spotkania. Jednak odbyło się – 4 czerwca na Polach Lednickich zjawili się 20 tys. młodych ludzi. Jego hasłem było zawołanie „Na krańce świata”, a symbolem różaniec z lednickim krzyżem i rybą.

PRYMICJE

217 nowych księży diecezjalnych wyświęconych zostanie w tym roku w Polsce – wynika z danych zebranych przez KAI. Jeszcze dziewięć lat temu neoprezbiterów było prawie dwa razy więcej, bo 401. Biskup opolski Andrzej Czaja już zapowiedział łączenie parafii z powodu deficytu powołań kapłańskich.

OKAZJA

W spotkaniu przywódców religijnych, które z udziałem Franciszka odbędzie się we wrześniu w stolicy Kazachstanu Nur-Sułtan, weźmie udział także patriarcha Cyryl. Przypuszcza się, że obaj wykorzystają okazję, by ominąć dyplomatyczne przeszkody i spotkać się osobiście. Zwierzchnik rosyjskiego prawosławia oskarżany jest o wspieranie agresji Rosji na Ukrainę.

RDC **DZIENNIARZE I AUTORZY „TYGODNIKA”**
co tydzień są

gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl
Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM
Siedlce 103,4 FM

Książd tradycyjnie sprofilowany

NIE BĘDZIE ŚWIECEN kapłańskich w diecezji Fréjus-Toulon (południowa Francja). Dziesięciu kandydatów (czterech na księży i sześciu na diakonów) dowiedziało się o tym na trzy tygodnie przed uroczystością. Bezprecedensową decyzję podjął bp Jean-Marc Aveline, metropolita Marsylii (i kardynał-nominat) po przeprowadzonej na polecenie Watykanu wizytacji w diecezjalnym seminarium. Przyczyną była skarga zwolnionego przed dwoma laty rektora, który zarzucał nowym władzom – i miejscowemu biskupowi – „tradycjonalistyczne skrzywienie”.

Niewątpliwie bp Dominique Rey, formatując profil nowych księży w sposób tradycyjny, znalazł przepis na powołaniowy sukces: jego seminarium liczy ponad 50 kleryków, co znacznie przewyższa średnią krajową. Zgłaszają się tam kandydaci z różnych stron Francji i zagranicy, również tacy, których odrzucili biskupi innych diecezji.

Biskup Rey przekonuje, że dba jedynie o różnorodność, która jest znakiem bogactwa Kościoła. Jego diecezja otwarta jest od lat na oryginalne wspólnoty i mało znane zgromadzenia. On sam wywodzi się ze wspólnoty Emmanuel, powstałej w nurcie odnowy charyzmatycznej, choć dziś jest kojarzony przede wszystkim z grupami konserwatywnymi, zafascynowanymi łacińską liturgią. Ten prąd próbuje natomiast powstrzymać papież Franciszek, widząc w nim zagrożenie dla jedności posoborowego Kościoła. © © EDWARD AUGUSTYN

Wakacje papieża

PRACOWITE LATO czeka w tym roku papieża Franciszka. Na lipiec zaplanował dwie długie i męczące podróże – do Republiki Demokratycznej Konga i Sudanu Południowego (2-8) oraz Kanady (24-30). Dla 86-latkę, który przed rokiem przeszedł poważną operację, a od niedawna, z powodu zmian zwyrodnieniowych, zmuszony jest korzystać z inwalidzkiego wózka, będzie to ogromny wysiłek.

Kolejny miesiąc też zapowiada się ciekawie: 27 sierpnia Franciszek wręczy nominacje 21 nowym kardynałom, w tym 16 elektorom, którzy będą w przyszłości wybierać jego następcę. Dzień później poleci do L'Aquila, włoskiego miasta zniszczonego w 2009 r. przez trzęsienie ziemi. Niespodziewana decyzja, że papież poprowadzi tamtejsze uroczystości religijne – znane, ale jednak lokalne – wzbudziła zdziwienie i spekulacje. Komentatorzy podkreślają, że Celestyn V, który ustanowił odpust w L'Aquila i przy którego grobie w miejscowej katedrze chce się pomodlić Franciszek, był jednym z sześciu papieży w historii Kościoła, którzy podali się do dymisji. © © EA

Papież: starość to fundament społeczeństwa



ARTUR SPORNIAK

W NIEDZIELĘ 24 LIPCA W CAŁYM KOŚCIELE obchodzony będzie II Światowy Dzień Dziadków i Osób Starszych. Podobnie jak w zeszłym roku, Penitencjaria Apostolska udzieliła na ten dzień przywileju odpustu zupełnego. Można będzie go uzyskać na trzy sposoby: każdy pod zwykłymi warunkami (spowiedź, komunika i modlitwa w intencjach papieskich oraz uczestnictwo w liturgii sprawowanej z okazji tego dnia); chorzy przez łączenie się duchowo z papieżem i ofiarowując w tym dniu swoje cierpienie; każdy przez odwiedzenie – osobiste bądź wirtualne – starszych osób będących w potrzebie (np. chorych, opuszczonych, niepełnosprawnych).

Łącząc z tym dniem przywilej odpustu zupełnego Franciszek podkreśla wagę, jaką przywiązuje do ustanowionego w zeszłym roku święta. Kulturowa i społeczna marginalizacja osób starszych to jeden z najważniejszych tematów tego pontyfikatu. Papież mówi o tym

w rozpoczętym pod koniec lutego cyklu srodowych katechez, stawiając ten temat obok problemu migracji. Diagnoza jest brutalna: „W kulturze odrzucenia osoby starsze stają się materiałem odpadowym”. A z powodu długowieczności zmienia się proporcja pokoleń. Franciszek mówi: „Nigdy wcześniej w dziejach ludzkości nie było nas tak wielu”. Dostrzega w starości głęboki sens: porównuje najstarsze pokolenie do korzeni, którymi w drzewie życia płyną soki mądrości i doświadczenia do kwiatów i owoców symbolizujących młodość. By ta twórcza wymiana mogła się dokonywać, młodzi i starzy powinni ze sobą rozmawiać. „Gdy dziadkowie zamkną się w swoich melancholiach, ludzie młodzi jeszcze bardziej zwrócą się ku swoim smartfonom”.

Jeśli hasłem tego pontyfikatu jest wyjście na peryferie Kościoła, to osoby starsze znajdują się na specyficznych peryferiach – często bardzo bliskich, bo rodzinnych. © ©

KULTURA W SKRÓCIE

DOKUMENT

„Katedra” Denisa Dobrovody,
„Syndrom Hamleta”
Elwiry Niewiery i Piotra
Rosołowskiego, „Jak minął
rok?” Jaya Rosenblatta
oraz „Jan Kapr. Opera
dokumentalna” Lucie Královej
to laureaci 62. Krakowskiego
Festiwalu Filmowego.

PRZEKŁAD

Dwaj tłumacze z języka
polskiego, Constantin
Geambașu z Rumunii
i Lajos Pálfalvi z Węgier,
zostali uhonorowani
brązowymi medalami
„Zasłużony Kulturze
Gloria Artis”. Odnaczenia
przyznano podczas uroczystej
inauguracji Światowego
Kongresu Tłumaczy
Literatury Polskiej.

PIEŚŃ

W rozpoczętym właśnie
11. Międzynarodowym
Konkursie Moniuszkowskim
wystąpią śpiewacy
aż z 26 krajów. Pobity
został rekord zgłoszeń.
Przewodniczącym jury jest
brytyjski krytyk i redaktor
naczelny miesięcznika
„Opera” John Allison,
popularyzator Moniuszki
i Wajnburga. Zmagania
wokalistów można śledzić
online na vod.teatrwielski.pl.

RZEŹBA

Zbiory Muzeum Narodowego
w Warszawie powiększyły się
o zabytkową figurę Marii jako
Służebnicy w Świątyni.
Jest to dar badacza
i kolekcjonera Erika
Bijzeta. Drewniana rzeźba
powstała w końcu XV w.,
najprawdopodobniej
w warsztacie wrocławskim.



DZIENNIKARZE

I AUTORZY „TYGODNIKA”
co tydzień goszczą w programie
„Światopodgląd” Agnieszki
Lichnerowicz w Radiu TOK FM.
Słuchaj od wtorku do piątku
o godzinie 15.00. Zapraszamy!
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl



„UKOS ŚWIATŁA” – film w reżyserii Wojciecha Szumowskiego, wyprodukowany przez Fundację Tygodnika Powszechnego – miał swoją premierę podczas Krakowskiego Festiwalu Filmowego 4 czerwca. Bohaterem jest sportowiec Dariusz Popiela, którego pasją jest odnawianie żydowskich cmentarzy i przywracanie pamięci o żydowskich mieszkańcach miast południowej Polski. „To film o trudzie pamięci, o jej odzyskiwaniu i budowaniu wspólnoty, o zmianach, również mentalnych, które zachodzą w lokalnych społecznościach” – mówił reżyser podczas spotkania z widzami. © P JT

Zepsuta randka prusaka

ABY ZDOBYĆ SERCE WYBRANKI, samce prusaków (*Blattella germanica*) muszą się postarać. Przygotowują „prezent ślubny” – słodką wydzielinę różnych substancji odżywczych, m.in. tłuszczów i cukrów złożonych. Jeśli samica chce spożyć prezent, musi wspiąć się na zalotnika i przyjąć pozycję, która umożliwi mu kopulację. Jak wynika z badań przeprowadzonych przez Ayako Wada-Katsumatę i współpracowników, samce prusaków mają jednak coraz większy problem – nie wszystkie samice potrafią docenić ich szczerze starania, za co zresztą odpowiada człowiek. Prusaki nie są bowiem zbyt chętnie widzianymi gośćmi w naszych domach, dlatego stosuje się na nie rozmaite pestycydy, które dla zwabienia owadów zawierają cukier.

Ponieważ każdy słodki posiłek może być dla tych owadów ostatnim, u samic wyewoluowała awersja do glukozy, którą szybko potrafią wyczuć w pożywku. Dzięki temu rzadziej zjadają podłożoną przez ludzi truciznę, ale także szybciej przerywają randki. Samce znalazły się pod ścianą – także ich zwyczaje godowe będą musiały się zmienić. © P ŁK

W mrowisku jak w mózgu

GDY ROBI SIĘ ZBYT CIEPŁO, mrówki w skoordynowany sposób opuszczają dotychczasową kolonię. Jak dochodzi do podjęcia decyzji o ewakuacji? Asaf Gal i Daniel Kronauer umieścili owady na arenie, w której mogli kontrolować temperaturę podłoża. Mrówki tworzyły tam gniazdo, z którego wyruszały na zwiady tylko niektóre jednostki. Kiedy podnoszono temperaturę, owady stawały się coraz bardziej pobudzone, a w pewnym momencie kolonia dokonywała zorganizowanej ewakuacji.

By sprawdzić, czy mrówki decydują o ucieczce w podobnym momencie (czyli mają podobne progi pobudzenia), czy też decyzja o ewakuacji zapada wspólnie, przeprowadzono kolejne pomiary. Okazało się, że reakcja mrówek zależy od wielkości kolonii – te większe tolerowały wyższe temperatury. To sugeruje, że decyzja o ucieczce wyłania się jako cecha na poziomie całej kolonii, na podstawie informacji płynących ze środowiska (temperatury) i wewnętrznego stanu kolonii (jej wielkości).

Według badaczy takie zjawisko wymaga specyficznego sposobu rozchodzenia się sygnałów o pobudzeniu między osobnikami: niektóre mrówki mogą sygnalizować, że jest im już zbyt ciepło, ale ich reakcje mogą zostać tłumione przez globalny sygnał, że dla reszty owadów temperatura jeszcze jest znośna. Taki sposób rozchodzenia się sygnałów i wyłaniania się kolektywnej decyzji przypomina działanie innych złożonych systemów biologicznych – np. obwodów neuronalnych. © P KATARZYNA DZIADOWICZ

CZAS NA POCIĄG

Na kolei wciąż gonimy Zachód. Ale choć polskie pociągi są coraz szybsze i nowocześniejsze, pasażerowie nie zawsze są w nich najważniejsi.

MARCIN ŻYŁA



DOŚWIADCZENIA SĄ DWA. PIERWSZE: najczęściej mieszkańca dużego lub średniego miasta albo pasażera jeżdżącego liniami aglomeracyjnymi. Na wyremontowanej stacji wsiada zwykle do nowego lub zmodernizowanego składu, którym często dojeżdża do celu szybciej – i w większym komforcie – niż jeszcze kilka lat temu.

Doświadczenie drugie: z mniejszych miejscowości lub linii położonych na uboczu, gdzie nawet samorząd uznał, że nie opłaca się przywracać dawno zawieszonych połączeń. Albo gdzie jedyne po-

ciągi to stare składy elektryczne, które kiedyś kursowały w charakterystycznym, żółto-niebieskim malowaniu. To rzeczywistość rzadkich, nieskomunikowanych z kursami autobusów połączeń, które uczniów czy dojeżdżających do pracy zmuszają do nadkładania drogi lub czasu.

Oba doświadczenia są prawdziwe i wiele mówią o polskiej kolei – przez pierwsze lata po transformacji traktowanej po macoszemu, dziś, dla odmiany, mającej przed sobą niemal pewną świetlaną przyszłość.

OD 1989 ROKU łączna długość dróg o twardej nawierzchni zwiększyła się w Polsce o połowę. W tym czasie ubyło też jednej czwartej linii kolejowych, a liczba przewozów pasażerskich spadła o ponad dwie trzecie.

Po inwestycjach schyłkowego PRL – elektryfikacji oraz Centralnej Magistrali Kolejowej, w 1984 r. otwartej także dla ruchu pasażerskiego – lata 90. XX w. to degradacja dalekobieżnego transportu publicznego, w przypadku pociągów oznaczająca dodatkowo niszczącą infrastrukturę. Dominowała filozofia:



Białystok, 2019 r.

„Nie masz jak dojechać? Kup samochód”. Rok 2000 to „czarny” rok polskiej kolei – w ciągu jednego dnia wycofano połączenia na ponad tysiąc kilometrów linii, głównie lokalnych. Rozmowę o wykluczeniu transportowym odbyliśmy w Polsce dopiero kilka lat później.

Zmianę przyniosła Unia Europejska, która w zasadzie nakazała inwestycje w nową infrastrukturę. Zanedbana i pozostająca w tyle polska kolej dopiero od kilku lat zaczyna przypominać swoje zachodnie odpowiedniki. Ale jej rozwój to również likwidacja „wąskich gar-

deł”, instalacja europejskich systemów bezpieczeństwa i nowa kultura pracy. Z tym szło już gorzej, co w 2012 r. pokazała katastrofa pod Szczekocinami, w której zginęło 16 osób. Zmiany jednak się dokonywały – w grudniu 2014 r. na tory wyjechały składy Pendolino, a w kolejnych latach zaczęły się pojawiać wygodne pociągi regionalne.

Teraz, kilkanaście lat po akcesji do UE, kolejne silne wsparcie dla kolei ma zapewnić Europejski Zielony Ład, główne narzędzie unijnej polityki klimatycznej. Do połowy stulecia w sektorze trans-

portu Bruksela planuje zredukować emisję gazów cieplarnianych o 90 proc., a transport zbiorowy ma być przystępniejszy cenowo. Kolej – która już teraz odpowiada tylko za 0,4 proc. emisji gazów cieplarnianych na kontynencie – będzie przez Unię i jej państwa członkowskie wspierana najsilniej. W Niemczech rząd Olafa Scholza już teraz zapowiada, że w tory będzie inwestować więcej niż w drogi.

EUROPEJSKIE PLANY robią wrażenie. Pandemia wprawdzie zahamowała wzrosty, ➔

→ ale unijna polityka dekarbonizacji i działania na rzecz klimatu będą w najbliższych latach sprzyjać kolei. Po dwóch dekadach, gdy symbolem łatwych podróży po Europie były tanie linie lotnicze, następna może należeć do pociągów.

W Europie renesans przeżywają połączenia dalekobieżne – z niedawno uruchomionych m.in. Wiedeń–Paryż, Amsterdam–Zurych, Bruksela–Praga czy Graz–Warszawa. Liderem są tu austriackie koleje ÖBB. Natomiast czeskie przedsiębiorstwa proponują połączenia sezonowe: w minionym tygodniu, już trzecie lato z rzędu, wyjechał na tory pociąg z Pragi na chorwackie wybrzeże (podróż do Rijeki trwa 18 godzin, ale firma RegioJet sprzedała już rok temu 40 tys. biletów, najtańsze kosztują równowartość 110 zł). Unia buduje też transeuropejską sieć transportową, która obejmuje m.in. 15 tys. km linii kolejowych dostosowanych do dużych prędkości.

Wszystko to ma sprawić, że transport kolejowy będzie atrakcyjniejszy od podróży lotniczej. W Polsce na razie dotyczy to w zasadzie tylko połączeń z Warszawy do Krakowa czy Katowic, ale w całej Europie jest ok. 30 tras, które dają gwarancję najszybszych podróży (Frankfurt–Kolonia, Londyn–Paryż, Londyn–Bruksela). A w październiku 2021 r. w Wielkiej Brytanii uruchomiono tani nocny pociąg z Londynu do Edynburga – choć podróż trwa wiele godzin, wolnych biletów brakuje.

Nawet na Zachodzie zmiany na lepsze to nowość. Koleje, przez wiele dekad po II wojnie światowej traktowane przez państwa strategicznie, zaczęto dostosowywać do nowych zwyczajów podróżowania stosunkowo niedawno. I często kończyło się to niepowodzeniem. Thatcherowska w duchu, choć dokonana przez Johna Majora, następcę słynnej premier, prywatyzacja kolei brytyjskich (1994-97) zakończyła się niepowodzeniem – pociągi na Wyspach są nieracjonalnie drogie. Amtrak, do połowy XX w. symbol Ameryki porównywany z Greyhound Lines, dziś jest już cieniem dawnej firmy.

Europejskie sieci kolejowe – ze swoimi państwowymi monopolami, różnym napięciem trakcji, a gdzieś i rozstawem torów – wydawały się jeszcze trudniejsze do zintegrowania. Kilkanaście lat temu, aby dojechać z Kra-

W parze z nowymi
inwestycjami nie zawsze
idzie myślenie
o wprzęgnięciu kolei
w cały system transportu.
A to ono zdecyduje
o jej sukcesie.

kowa do Budapesztu i nie płacić horrendalnych cen za połączenia międzynarodowe (przed liberalizacją rynku koleje poszczególnych państw zwracały sobie pieniądze za „swoich” pasażerów), trzeba było, choć podróż odbywała się jednym pociągiem, kupować osobne bilety na odcinki polski, słowacki i węgierski. Dopiero wymuszona przez UE liberalizacja rynku oraz konkurencja tanih linii lotniczych i FlixBusa – przyspieszyły zmiany.

TAKŻE U NAS DZIEJE SIĘ DUŻO. Najważniejsze inwestycje to m.in. te mniej widoczne dla pasażera: poprawa dostępu do portów w Szczecinie, Świnoujściu, Gdańsku i Gdyni oraz korytarz Rail Baltica, który łączy państwa bałtyckie z Europą Zachodnią. To, jak ważna jest drożna sieć kolejowa, pokazuje przykład Ukrainy, gdzie pociągi dostarczają broń, ewakuują uchodźców, a wobec zablokowanych portów morskich wzięły na siebie główny ciężar transportu zboża.

Inaczej niż w przemyśle ciężkim, w przypadku kolejnictwa przejście na odnawialne źródła energii jest po myśli polskich władz. Według rządowych planów w 2030 r. już 85 proc. energii trakcyjnej w Polsce ma pochodzić z OZE.

W 1990 r. polska kolej przewiozła 2,88 mld pasażerów. Dziś jesteśmy daleko od takich wyników, ale pasażerów przybywa we wszystkich województwach – najwięcej w podkarpackim, lubuskim i małopolskim (w latach 2020-21 wzrost o 25-26 proc.); te same województwa najszybciej rosną w tzw. rankingu wykorzystania kolei, czyli liczby podróży przypadającej na mieszkańca. Na jego szczycie są tradycyjnie

województwa pomorskie (20 podróży w 2021 r.) i mazowieckie (14), głównie za sprawą trójmiejskiej i warszawskiej kolei dojazdowej.

Forsowany przez rząd projekt Centralnego Portu Komunikacyjnego to inwestycja nie tylko lotnicza – plany zakładają, że za kilkanaście lat z Warszawy do największych polskich miast będzie można dojechać w dwie i pół godziny. Pierwsze prace przy budowie nowych linii mają się zacząć w przyszłym roku; mówi się o zwiększeniu sieci o ok. 743 km, choć dotychczasowa praktyka wskazuje, że inwestycje tej skali notują wieloletnie opóźnienia, sama zaś koncepcja promienistego układu sieci kolejowej (zbiegającej się w CPK w centrum kraju) jest dość kontrowersyjna [patrz obok rozmowa z Karolem Trammerem – red.].

ZMIANY WIDĄĆ DOBRZE w Małopolsce i na Podkarpaciu, na terenach z do niedawna zaniedbaną, powolną i często niespełniającą potrzeb transportowych siecią kolejową. Jej symbolem była słynna „Strzała Południa”, jak prześmiewczo nazywano połączenie na trasie Chabówka–Nowy Sącz, dodając, że to jedyny pociąg na świecie, który od razu po ruszeniu ze stacji osiąga swoją prędkość maksymalną. Dziś część tej trasy to teren przyszłej inwestycji – budowa linii z podkrakowskiego Podłęża do Kasiny Wielkiej skróci czas przejazdu do Nowego Sącza do godziny, a do Zakopanego – do półtorej godziny.

W ciągu ostatnich kilku lat w regionie zmodernizowano magistralę Kraków–Rzeszów, wybudowano nowe tory dla kolei aglomeracyjnej w Krakowie, linię do lotniska w Balicach oraz łącznice w Krakowie-Podgórzu i Suchej Beskidzkiej, które już skróciły czas przejazdu do Zakopanego. Zastąpiony nieco topornym, lecz wygodnym składem elektrycznym pociąg pokonuje trasę z bieszczadzkiego Zagórza do Krakowa w niecałe 5 godzin (kiedyś: cała noc). Do Katowic podróż trwa godzinę, a dworzec w stolicy Górnego Śląska – na którym jeszcze dekadę temu nocna przesiadka była po prostu niebezpieczna – zmienił się nie do poznania. W Krakowie skończyła się też ciągnąca się od lat 80. budowa centrum komunikacyjnego, z kolei po liftingu Dworca Centralnego, z którym spieszono się na Euro 2012, w Warszawie powstaje nowy Dworzec Zachodni. Kolej wyre-

montowała też setki mniejszych stacji i przystanków osobowych.

KŁOPOT W TYM, że w parze z nowymi inwestycjami nie zawsze idzie myślenie o wprzęgnięciu kolei w cały system transportu. W mniejszych miejscowościach, aby pociąg był atrakcyjną alternatywą dla innych środków transportu, głównie dla samochodu, musi go wspomagać autobus. W Polsce pokutuje jeszcze myślenie o kolei jako autonomicznym, funkcjonującym w oderwaniu od innych środków komunikacji. Efekt to nieskoordynowana sieć połączeń, w niektórych miejscach zupełnie niedostosowana do pasażerów i ich potrzeb transportowych. Są jeszcze w Polsce miejsca, gdzie lokalne pociągi kursują dostosowane do systemów zmianowych z czasów PRL.

Przykład kolei czeskich, które w latach 90. dysponowały krótkimi i tanimi w eksploatacji wagonami elektrycznymi (przejęły większość połączeń lokalnych), pokazuje, że to nie Pendolino decyduje o sukcesie kolei – tylko sprzężenie jej z naszym codziennym, lokalnym życiem. I tu dobre wiadomości się kończą: według Krajowego Programu Kolejowego do zmodernizowania w Polsce jest jeszcze 9 tys. kilometrów linii kolejowych – czeka nas więc jeszcze wiele lat remontów, utrudnień i przejazdów komunikacją zastępczą. Mimo modernizacji wielu mniejszych przystanków, przy niektórych wciąż brakuje miejsc parkingowych (według analiz Łódzkiej Kolei Aglomeracyjnej, jedna trzecia pasażerów dojeżdża do stacji początkowej autem). Te drobiazgi, niewidoczne w mediach i mało efektowne dla polityków, zdecydują o sukcesie polskiej kolei.

Pociągi wracają do łask. A tam, gdzie nie kursują od lat, wciąż się o nich pamięta. Może dlatego tak trudno ocenić dziś kilkunastometrowy nasyp łączący Nowy Targ na Podhalu ze słowacką Trzcianą – obecnie prowadzi nim przepiękna trasa rowerowa, reklamowana jako jedna z największych atrakcji Podtatrza. Wyznaczono ją po trasie dawnej lokalnej linii kolejowej, której ostatni fragment zlikwidowano w latach 80.

Wielu mieszkańców żałuje tego do dziś.

© MARCIN ŻYŁA

Kolej i życie

KAROL TRAMMER, EKSPERT OD KOLEJNICTWA:

Walka z popytem na paliwa powinna polegać na nakłanianiu do korzystania z transportu publicznego. Tymczasem polscy przewoźnicy podnoszą ceny biletów, a państwo rozkłada ręce.

MARCIN ŻYŁA: Po co są pociągi?

KAROL TRAMMER: Powinny zapewniać dostęp do miejsc, gdzie pracujemy, uczymy się i odpoczywamy, oraz służyć wyrównywaniu szans. Ale domyślam się, że w pana pytaniu zawarte jest inne: czy kolej jest nam w ogóle potrzebna?

A jest?

W sprawnym, zrównoważonym systemie transportowym – czyli takim, który bierze pod uwagę ludzi i środowisko – przewozy odbywają się różnymi środkami. Kolej nie zastąpi samochodów i na odwrót. Ale od 1989 r. nasze władze długo uznawały, że najlepiej jeśli potrzeby dojazdowe będziemy zaspokajać we własnym zakresie, właśnie samochodem. Efekt to dwa zjawiska, w Europie typowe tylko dla Polski: korki na ulicach miast liczących 10-20 tys. mieszkańców i gospodarstwa wiejskie, w których każdy dorosły ma własne auto.

To jak powinno być?

Kolej ma być „szkieletem” systemu, uzupełnianym przez komunikację autobusową dowożącą do pociągów i czekającą na pociągi, których pasażerów przewozi potem do okolicznych osiedli, miasteczek i wsi. Funkcję dojazdową pełni również drogi rowerowe. W takim systemie mieści się też samochód – jako środek transportu na tzw. ostatniej mili. Jeśli ktoś postanowi zamieszkać na końcu górskiej doliny, z dala od ludzi, trudno oczekiwać, aby władze doprowadziły tam transport publiczny. Ale z auta powinno się korzystać głównie po to, by dojechać do najbliższego węzła komunikacyjnego.

Często polecam wycieczkę do niemieckiego Fürstenwalde, 40 km od granicy z Polską. Gdy przyjeżdża tu pociąg

z Berlina, dosłownie po drugiej stronie peronu czekają autobusy do mniejszych miejscowości. Rozpoczynając podróż na dworcu głównym w stolicy wiemy, że będziemy mogli ją kontynuować do swojej wsi – na jednym bilecie, z szybką przesiadką. U nas wprawdzie przyszła moda na centra przesiadkowe, ale często przesiadki nie są zgrane, a rozkład jazdy pociągów zmienia się co 2-3 miesiące.

W Niderlandach pociągi na głównych trasach kursują regularnie, nawet co kwadrans.

Wtedy kolej jest atrakcyjna dla wszystkich. Bo np. kierowcy są przyzwyczajeni, że ruszają z domu samochodem wtedy, gdy chcą. Im częściej i regularniej kursuje pociąg, tym bardziej zbliża się do takiego komfortu – do odjazdów co godzinę jesteśmy w stanie się dostosować. Do tego dochodzi inny zachodni standard: te same końcówki minutowe odjazdów. Jeśli pociąg z naszej stacji rusza o 4.56, to wiemy, że będzie też o 11.56 czy 17.56. Rozkład mamy zapamiętany na cały rok.

Może za bardzo narzekamy? PKP tłumaczy częste korekty rozkładu jazdy inwestycjami. Faktycznie, takich pieniędzy jak teraz nie wydawano u nas na kolej nigdy.

Zgoda, ale przecież nie tylko w Polsce remontuje się linie. A stabilność rozkładu jazdy jest ważna, bo wtedy z pociągami można planować życie, np. liceum i studia w innym mieście. U nas dochodzą do tego zmiany tras, np. w połowie studiów pociąg do miasta uczelnianego przestaje kursować. Na Zachodzie zarys połączeń planuje się z dużym wyprzedzeniem, na około 15 lat. Także po to, by obywatelom ułatwić planowanie.

→

→ W jakim stanie jest teraz nasza kolej?

Epidemia koronawirusa przerwała pierwszy po cięciach i polityce marginalizacji kolei stabilny wzrost liczby podróży. Wynik przewozowy za rok 2020 był najgorszy od II wojny światowej. Z perspektywy dużych miast wydawało się, że wszyscy pracujemy zdalnie – czasem wykorzystywali to samorządowcy, likwidując połączenia. Pielęgniarki czy strażacy, których w trudnym czasie traktowaliśmy jak bohaterów, z dnia na dzień tracili możliwość dojazdu do pracy. Ludzie umawiali się więc na wspólne przejazdy – stłoczeni w samochodzie podróżowali mieszkańcy czterech różnych domów, pracujący w czterech różnych firmach.

Teraz kolej czekają inne niebezpieczeństwa, np. wzrost taryf. Walka z popytem na paliwa powinna polegać m.in. na nakłanianiu do korzystania z transportu publicznego. Tymczasem polscy przewoźnicy podnoszą ceny biletów, a państwo rozkłada ręce.

Kilka dni temu w Niemczech zaczęła obowiązywać oferta specjalna: miesięczny bilet za 9 euro na przejazd koleją po całym kraju.

Niemcy to w ogóle przykład dobrze zorganizowanej, zintegrowanej kolei. Potocznie sądzi się, że kryzys polskiej kolei na przełomie XX i XXI w. wiąże się z podziałem PKP na kilka spółek. Ale przecież trudno wskazać państwo UE, w którym pasażerowie korzystaliby z jednego przewoźnika. Tylko że w Unii firmy ze sobą konkurują, po torach kursują pociągi wielu przewoźników. Pasażer tego nie odczuwa, bo dzięki integracji taryf kupuje jeden bilet.

U nas mamy i wady monopolu, i wady wielości przewoźników. Większość województw powołała własne koleje, ale wszystkie mają też niewielkie udziały w Polregio. Te drugie, właśnie ze względu na niewielki pakiet własnościowy, traktowane są po macoszemu.

Możemy wskazać miejsca, gdzie kolej działa dobrze?

To konkretne linie, np. Poznań–Wągrowiec czy Wrocław–Trzebnica, gdzie mamy właściwie klęskę urodzaju i inny problem: przy obcej przepustowości linii, mimo rosnącego popytu, nie da się już uruchomić nowych połączeń.

Politycy poruszają się głównie między aglomeracjami. Tymczasem to nie połączenia dalekobieżne są kluczowym elementem sprawności systemu kolejowego, tylko dobrze działające pociągi lokalne i regionalne.

Zmiany na lepsze, głównie na ciągach dojazdowych do Krakowa, są w Małopolsce, która jeszcze niedawno kolejowo była bardzo słaba.

Niektóre regiony, np. Dolny Śląsk, zrozumiały, że kolej to element rozwoju. Dobrą ofertę coraz częściej zapewnia się tu nie tylko na trasach zbiegających się w stolicy województwa. Teraz jeśli ktoś nie może znaleźć pracy w Strzegomiu, może dojechać do Jawora czy Świdnicy. Województwo dolnośląskie przejmuje wręcz od PKP nieczynne linie, żeby je odbudowywać.

A gdzie jest najgorzej?

Ani w województwie podkarpackim, gdzie rządzi PiS, ani w warmińsko-mazurskim, gdzie u władzy jest koalicja PO-PSL, nie ma zrozumienia, po co ma być kolej. Na Podkarpaciu zmodernizowano linię z Dębicy do Mielca – do niedawna jednego z większych polskich miast, gdzie nie jeździły pociągi. Teraz jeżdżą – cztery dziennie.

Warmię i Mazury przecina nieczynny od 2010 r. ciąg Olsztyn–Mragowo–Mikołajki–Orzysz–Elk. Wycofano się z jego rewitalizacji, a jednocześnie równolegle powstać ma kontrowersyjna droga ekspresowa S16, która przetnie krainę Wielkich Jezior Mazurskich. Na modernizowanej linii Olsztyn–Braniewo sytuacja będzie podobna jak w Mielcu. Przed modernizacją kursowały trzy pociągi dziennie. Finansująca remont Unia domagała się poprawy oferty. Więc władze zapewniły, że zrobią... jedno połączenie więcej.

Ma Pan dystans do sposobu modernizacji jednej z najbardziej

obciążonych linii kolejowych w Polsce – odcinka z Krakowa do Katowic. Dlaczego?

Dla mnie to przykład krótkowzroczności w myśleniu o kolei. Linia liczy 77 km i przebiega przez teren, gdzie aglomeracja krakowska styka się z górnośląsko-dąbrowską. Jest tu łańcuch dużych miast, są elektrownie, kamieniołomy i inne zakłady przemysłowe. Według europejskich standardów pociągi powinny tędy kursować co kilka minut.

Na magistrali Kraków–Katowice, podobnie jak na kilku innych, modernizację potraktowano jako okazję do zaoszczędzenia na infrastrukturze. Chodzi o to, że cztery stacje – czyli miejsca, gdzie są dodatkowe tory i gdzie np. pociąg towarowy jadący do rafinerii w Trzebinii może zjechać i przepuścić szybki skład np. z Przemysła do Berlina – zdegradowano do roli przystanków.

Wkrótce pociągi przyspieszą tu ze 120 do 160 km/h. Przyciągną wtedy kierowców z autostrady A4. Przybędzie pasażerów i np. Koleje Małopolskie dogadają się z Kolejami Śląskimi, że warto jeździć na tej trasie co 15 minut. Tylko że się nie będzie dało, bo okaże się, że na torach nie ma miejsca na pociągi.

Skoro mówimy o inwestycjach, zapytam o wprowadzenie składów Pendolino. Sukces odtrąbili politycy, czy jednak za sprawą wysokich cen biletów polska kolej nie stała się klasowa?

Nie zgadzam się. Owszem, Pendolino jest drogie na trasie Warszawa–Kraków, ale już na trasie Warszawa–Katowice liczba biletów promocyjnych jest duża. Mówi nam to coś o panoramie społeczno-gospodarczej Polski.

Ukuto określenie „pendolinizacja”, którego używają eksperci od edukacji wyższej, mówiąc o trendzie wzmacniania największych uczelni kosztem regionalnych. „Pendolinizacja” to zatem „punktowa” poprawa kosztem obniżenia jakości całego systemu. Rzeczywiście, wśród decydentów dało się zauważyć „kult Pendolino” – mogli powiedzieć, że kolej ma się świetnie. Z drugiej strony zmiana dała kolei efekt wizerunkowy – zobaczyliśmy, że się rozwija.

Politycy poruszają się głównie między aglomeracjami. Tymczasem, choć może brzmi to dziwnie, to nie połączenia dalekobieżne są kluczowym elementem

sprawności systemu kolejowego, tylko dobrze działające pociągi lokalne i regionalne. Nawet w Niemczech, gdzie funkcjonuje imponująca sieć połączeń dużych prędkości, wyniki przewozowe kolei dalekobieżnej stanowią niespełna jedną dziesiątą wyników ruchu regionalnego i aglomeracyjnego. Atrakcyjność kolei dużych prędkości, owszem, sprawi, że raz na tydzień ktoś wybierze się nią na spotkanie czy weekend w innym mieście i zostawi samochód pod domem. Ale to od atrakcyjnych pociągów regionalnych i aglomeracyjnych zależy to, czy ktoś na dobre zrezygnuje z samochodu.

Druga wielka inwestycja, a może nawet wizja, to Centralny Port Komunikacyjny – port lotniczy i dochodząca do niego sieć linii kolejowych dużych prędkości.

Dzięki pomysłowi CPK w końcu nazwano problemy, które na polskiej kolei pozostają nierozwiązane od II wojny światowej. Myślę przede wszystkim o połączeniu Wrocław–Warszawa. Do dziś między tymi miastami nie ma domyślnego ciągu kolejowego – pociągi jeżdżą różnymi trasami, każda z nich na sporych fragmentach biegnie jednotorowymi, kiedyś lokalnymi liniami na pograniczu dawnych Niemiec i II Rzeczypospolitej.

Projekt CPK wskazuje także na niedorozwój sieci kolejowej na wschodzie Polski, który teraz mści się przy okazji pilnych przewozów zboża z Ukrainy do polskich, ale być może też litewskich i łotew-



KRZYSZTOF ZUCZKOWSKI / FORUM

KAROL TRAMMER jest redaktorem naczelnym dwumiesięcznika „Z Biegiem Szyn”, autorem książki „Ostre cięcie. Jak niszczone polską koleją” (2019).

skich portów. Właściwie nie da się skierować pociągów z ominięciem centrum kraju, więc składy te będzie trzeba kierować przez obszar największego ruchu.

Niestety koncepcja CPK opiera się na niebezpiecznym założeniu utworzenia scentralizowanej sieci kolejowej, schodzącej się w jednym punkcie. Tak wyglądały początki sieci TGV, która koncentrowała się na przejazdach do i z Paryża. Polska ma jednak inny niż Francja układ przestrzenny, historię i funkcjonowanie

społeczeństwa. Mimo problemu warszawocentryzmu, pod względem rozłożenia i wielkości miast przypominamy raczej Niemcy, tyle że w mniejszej skali. A w Niemczech nie ma sieci dalekobieżnej scentralizowanej w jednym punkcie.

Co gorsza, w koncepcji CPK tym głównym punktem nie jest nawet duże miasto, tylko lotnisko. Statystyczny Polak przed pandemią korzystał z samolotu raz na rok – dostosowywanie całej dalekobieżnej sieci kolejowej do tak epizodycznego celu podróży stanowi więc kuriozum. Scentralizowanie sieci grozi też jej niewydolnością w przypadku remontów czy innych zakłóceń.

Wiele minusów niż plusów?

Tak naprawdę boję się jeszcze jednego: na ile przedsięwzięcie zostanie doprowadzone do końca. Prowizorki są często w Polsce najtrwalsze. Oby się nie okazało, że powstanie duże lotnisko bez sieci kolejowej, albo tylko fragmenty tej sieci, które zamiast poprawić spójność całości, będą musiały być na siłę wykorzystywane właściwie tylko po to, aby uzasadnić sens ich budowy.

Przestroga dla wiceministra Marcina Horały, pełnomocnika rządu ds. CPK, który zapewnia, że lotnisko powstanie do 2027 r., niech będzie to, że dwukilometrowa łącznica z Centralnej Magistrali Kolejowej w stronę Kielc zaczęła być budowana w 2017 r. i miała być gotowa w 2019 r. Nadal nie jest skończona.

©® Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc,
Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rąbaj,
Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Marta Bogucka, Agnieszka Cynarska-Taran,
Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdań, Katarzyna Domin,
Sylvia Frotów, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska,
Maja Kuczmiska (kierownik), Mateusz Gawron,
Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska,
Piotr Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Klata,
Hanna Krall, Stanisław Manciewicz, Dorota Masłowska,
Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik,
Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyski

Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz,
Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska,
s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch,
ks. Andrzej Draguta, Jakub Dymek, Jarosław Flis,
Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller,
Agata Kaźmierska, Eliza Kačka, Piotr Kłodkowski,
Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński,
Dorota Kosińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka,
Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk,
Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski,
Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski,
Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak,
Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepiolo,
Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk,
Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczmiska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uzyskaniu odpłatnej, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonych pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: Oko za oko



„ZŁAMANIE – ZA ZŁAMANIE, OKO – ZA OKO, ząb – za ząb: jako on zadał kalectwo człowiekowi, tak i jemu niech zadaniem będzie” (Kpł 24, 20; Cylkow). I wszystko jasne? Bynajmniej. Zanim ocenimy ten wers ze współczesnej perspektywy, warto

sobie uświadomić, że czasowo nie jest on bardzo odległy od Kodeksu Hammurabiego. Tymczasem – w stosunku do rzeźzonego – nastąpiła dość zasadnicza zmiana: nie ma już znaczenia status społeczny krzywdziciela i poszkodowanego. Jeśli zwykły śmiertelnik pokiereszuje „równiejszego”, już nie spotka go za to śmierć, a jedynie wet za wet. Tyle dosłowne rozumienie tekstu, stanowczo przez judaizm odrzucane.

Pierwsza część Talmudu – niewykluczone, że jeszcze sprzed przełomu er – powiada: „Kto zada obrażenie swojemu bliźniemu, ma wobec niego zobowiązanie ze względu na pięć kwestii: szkodę, ból, leczenie, stratę czasu i wstyd”. Zatem rekompensata. Druga część Talmudu podaje wskazówki praktyczne co do sposobu wyliczenia jej poszczególnych części, ale również – ironizując – rozprawia się z literalnym podejściem do wyłupiania oka. Mówi np., że jeśli krzywdziciel i poszkodowany mają oczy innych rozmiarów, nie dokona się sprawiedliwość. Albo pyta retorycznie: czy gdy osoba posiadająca jedno zdrowe oko wydlubie obuoczną jedną gałkę, pozbawienie ją wzroku będzie uczynieniem zadość prawu talionu? „»Oko za oko« – powiada Miłosierny. Może naprawdę oko? Niech ci to nie przychodzi do głowy”.

Skąd wiadomo, że za uszkodzenie ciała bliźniego należy zapłacić? Talmud zauważa, że w sąsiednich wersach – 18 i 19, poprzedzających nasz – użyty jest ten sam czasownik (dosł. uderzyć), raz w odniesieniu do człowieka, raz do zwierzęcia. W przypadku zwierzęcia należy zapłacić i stąd wniosek wysnuty metodami starożytnej egzegezy: uderzenie człowieka również wiąże się z uszczupleniem zawartości sakiewki. Alternatywnie można się oprzeć na wersji z Księgi Liczb: „Nie przyjmiecie też okupu za duszę mordercy, przestępcy krwiożerczego, bo na śmierć wydany być winien” (35, 31). Słowami Talmudu: „za życie mordercy nie weźmiesz okupu, ale weźmiesz okup za główne członki, które nie odrosną”. Wiele wieków później Gaon z Wilna stwierdzi, że wynika to z samego wersu. „Oko za oko” to po hebrajsku *ajin tachat ajin*. *Tachat* znaczy przede wszystkim „pod”. Słowo *ajin* składa się ze spółgłosek *ajin-jud-nun*. Hebrajskie oko jest „pod” spółgłoskami *pej-kaf-samech* (czyli następują one w alfabecie bezpośrednio po *ajin, jud i nun*). Składa się z nich słowo *kesef*, czyli „pieniądz” (jedna litera hebrajska reprezentuje fonemy „p” i „f”). Jak Państwo widzą obuocznie, postawa „odrzućwszy pierwotne okrucieństwo, nadstawiamy drugi policzek” niekoniecznie ma rację bytu. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Dogmat i basta...



O DOGMATACH CZESŁAW MIŁOSZ PISZE, ŻE są zawieszone parę centymetrów nad naszymi głowami. Z tego wynika, że teologia to nic innego jak podskakiwanie, żeby choć troszkę uszczknąć z ich treściowej zawartości, ale mimo wysiłków, przed-

miot, po który sięgamy, wciąż pozostaje poza horyzontem naszych możliwości. Ta bezsilność może zniechęcać, no bo ileż można skakać? Ale może też być inspirująca, twórcza, dodająca odwagi i rozumnej nadziei. Wiadomo przecież, że każda odpowiedź na pytania stawiane rzeczywistości poszerza wiedzę i jednocześnie ją kwestionuje, rodząc nowe pytania. To sprawia, że rzeczywistość nie musi koniecznie jawić się jako beztreściowy chaos, lecz przedstawia się jako misterium. Przy takim postawieniu sprawy dogmat przestaje być gorsetem krępującym ludzki umysł, a staje się wyzwaniem do przekraczania wydawałoby się najpewniejszych prawd.

Miłosz, mówiąc o dogmatach, stawia pytanie teologom, na co mogą się przydać ich wysiłki dzieciom przystępującym do pierwszej komunii. Pomyśleć, tyle dziesiątków lat temu poeta zastanawiał się już nad kwestiami, nad którymi dopiero dzisiaj zaczynają sobie łamać głowy starsi Kościoła. Zmusiły nas do tego skutki epidemii i wojna w Ukrainie. Podały one ostremu sprawdzianowi dotychczasową działalność pastoralną Kościoła nie tylko co do frekwencji na nabożeństwach, ale co do samych podstaw naszych religii i światopoglądów. Z całą mocą wróciło, choć niekoniecznie głośno wypowiediane, pytanie o naszą i Bożą odpowiedzialność za te nieszczęścia, czyli o to, czy rzeczywiście Bóg jest nam do życia konieczny. A jeśli, to jak o Nim mówić, jak Go przedstawiać.

Słowacki teolog Ladislav Csontos SJ na pytanie, jak uczyć dzieci religii, odpowiada: „Niczego je nie uczcie. A jeśli już, to uczcie je tak, jak one same uczą się mówić. Żyć wiarą, to i dzieci nauczą się wierzyć. Żyć w domu wiarą, módlcie się, a kiedy się pokłócicie, umiejcie się pojednać. Kiedy wyniknie jakiś problem, z którego nie wiecie jak wyjść, módlcie się tak: »Duchu Święty, przyjdź nam z pomocą, abyśmy z tego jakoś wybrnęli«. Nie musimy wszystkiemu podołać jedynie własnymi rękami. Dzieci na to wszystko będą patrzeć i zacząć myśleć: »Aha, rodzice mają problem i nie wiedzą, co z tym zrobić, ale nadal trzymają się Boga«. Wiara w ten sposób się transmituje. Nikt wam nie musi mówić, czego macie dzieci uczyć. One uczą się same przez naśladowanie. Niech widzą, że jesteście ludźmi wierzącymi. Mamy obecnie doskonałe warunki i ogromną szansę na to, żeby rodzina stała się mocną wspólnotą. Owszem, będzie przeżywać kryzysy i dzięki Jezusowi je pokonywać, i w ten sposób dawać dzieciom przykład, jak w perfekcyjny sposób radzić sobie w życiu”. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Naprawdę wierzycie?

Szukaj pokoju
i idź za nim.

BENEDYKT Z NURSJI



Niech człowiek
strzeże się czynów
zrodzonych
z rozdrażnienia.

SIDDHATTHA GOTAMA



LITURGIA PRZYPOMNIAŁA nam niedawno taki dialog Jezusa z Apostołami podczas Ostatniej Wieczerzy:

„Uczniowie rzekli do Jezusa: »Oto teraz mówisz otwarcie i nie opowiadasz żadnej przypowieści. Teraz wiemy, że wszystko wiesz i nie potrzeba, aby Cię kto pytał. Dlatego wierzmy, że od Boga wyszedłeś«. Odpowiedział im Jezus: »Teraz wierzycie? Oto nadchodzi godzina, a nawet już nadeszła, że się rozproszycie – każdy w swoją stronę, a Mnie zostawicie samego«” (zob J. 16, 29-33).

Błąd Apostołów polega na tym, że swoją „wiedzę” biorą za „wiarę”. To błąd często powielany, i to w najprzeróżniejszych środowiskach: redukcja wiary do wiedzy. Tymczasem wiedza jest niewątpliwie potrzebna (ignorancja nie sprzyja wierze, lecz zabobonom), nie zastępuje jednak wiary.

Możemy odwołać się do jednego – równie prostego, co bolesnego – przykładu: religia w szkole i „praktyki religijne” młodzieży. To prawda, że w zależności od środowiska procent młodych ludzi uczestniczących w szkolnych lekcjach religii jest różny. Jego średnia jednak ciągle pozostaje jeszcze w Polsce wysoka. Wszyscy wszakże wiemy, że ów „procent” w żaden spo-

sób nie przekłada się na obecność młodych na niedzielnej Eucharystii, na praktykę Sakramentu Pokuty, na życie modlitwy. A my w naszym Kościele jesteśmy gotowani na śmiertelną wręcz walkę o każdą godzinę religii w szkole, a każdą formę rzeczywistej katechezy i formacji młodych w naszych parafiach traktujemy opcjonalnie.

Zadowolonym z siebie apostołom Jezus mówi, na czym polega wiara i w jaki sposób się sprawdza. Mówi im: Teraz wierzycie? Za chwilę zostawicie Mnie samego i rozproszycie się (dosł.) „każdy w stronę swoich własnych [spraw]” (grec. *eis ta idia*).

Wiara jest więc przede wszystkim trwałą (zdolną przetrzymać próbę) relacją z Jezusem (wiele razy na Ostatniej Wieczerzy Jezus o tym mówi: „Trwajcie we Mnie, a Ja będę trwał w was”). To trwanie ma również wymiar wspólnotowy: gromadzi nas w jedną, żywą wspólnotę.

Jezus mówi uczniom, że ich „wiedza” nie zatrzyma ich przed ucieczką. Świadomi wiedzy – ulegną rozproszczeniu. Zostawią Jezusa i porzucą wspólnotę – każdy zwróci się w kierunku swoich własnych (*ta idia*) pomysłów, spraw, sposobów, idei. Każdy będzie szukał bezpieczeństwa „u siebie”; każdy się oprze na tym, co „jego własne”.

I to jest niewiara.

Tym poważniejsza, im większa „wiedza”. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (12 – 19 VI)

Uroczystość Najświętszej Trójcy: Prz 8, 22-31;

Ps 8; Rz 5, 1-5; J 16, 12-15;

Poniedziałek: 1 Krl 21, 1b-16;

Ps 5; Mt 5, 38-42;

Wtorek: 1 Krl 21, 17-29;

Ps 51; Mt 5, 43-48;

Środa: 2 Krl 2, 1. 6-14;

Ps 31; Mt 6, 1-6. 16-18;

Czwartek, uroczystość Najświętszego

Ciała i Krwi Chrystusa: Rdz 14, 18-20;

Ps 110; 1 Kor 11, 23-26; Łk 9, 11b-17;

Piątek: 2 Krl 11, 1-4. 9-18. 20a;

Ps 132; Mt 6, 19-23;

Sobota: 2 Krn 24, 17-25; Ps 89; Mt 6, 24-34;

12. niedziela zwykła: Za 12, 10-11. 13, 1;

Ps 63; Ga 3, 26-29; Łk 9, 18-24.

Wybrał PIOTR SIKORA

TANIO, OKAZJA, ŚWIADCZENIE POLECAM!

Trybunał Konstytucyjny uznał,
że świadczenia pielęgnacyjne
należą się opiekunom nie tylko chorych dzieci,
ale też dorosłych. Niestety, szlachetny wyrok
otworzył pole do wielkich nadużyć.

MAŁGORZATA NOCUŃ

UWAGA! SPECJALNY ZASIŁEK DLA OPIEKUNA osoby niepełnosprawnej. Możesz uzyskać co miesiąc 2119 zł, zamiast 610 zł – brzmi ogłoszenie fundacji zajmującej się pomocą w uzyskiwaniu świadczeń socjalnych. Przez telefon jej pracownik tłumaczy, jak – za słoną opłatą – zaprzyjaźniona z fundacją kancelaria prawna pomoże mi otrzymać pieniądze. Musimy tylko odpowiednio nagiąć fakty.

Ogłoszenie, przy pomocy którego Robert B., pracownik Fundacji Pomoc Opiekunom, reklamuje swoje usługi, do złudzenia przypomina billboard z promocjami w supermarkecie. Na jaskrawo żółtym tle duże – czarne i białe – litery. Uwagę przykuwa pogrubioną czcionką wypisana kwota: 2119 zł (zamiast „zwykłych” 620 zł). Poniżej dopisek: „Dla opiekunów dorosłych osób niepełnosprawnych. Jeżeli znasz takie osoby, przekaz im” (tu podany jest numer telefonu Roberta B.).

Fundacja Pomoc Opiekunom została zarejestrowana w 2020 r. w Poznaniu. Mieści się w Koninie, ale działa na terenie całego kraju. Dawid Antkowiak, zastępca prezesa FPO, w rozmowie wyjaśnia mi, że działalność fundacji ogranicza się do informowania opiekunów osób niepełnosprawnych o przysługujących im świadczeniach. Po chwili dodaje, że jeśli dana osoba jest zainteresowana, zostaje przekierowana do „zaprzyjaźnionej kancelarii prawnej”. Pytam, czy chodzi o konkretną kancelarię prawną z Konina, gdyż z anonimowych rozmów przeprowadzonych z urzędnikami wiem, że to stamtąd kierowane są liczne wnioski do: miejskich ośrodków pomocy społecznej (pierwsza instancja), samorządowych kolegiów odwoławczych (druga) i sądów (trzecia). Zastępca prezesa przyznaje, że „między innymi”.

FURTKA | Pracownicy FPO działają przede wszystkim w małych miasteczkach i na

wszach. Ogłoszenia rozwieszają w pobliżu kościołów, remiz strażackich, sklepów. Klientów szukają wśród niewykształconych, biednych i nieświadomych swoich praw ludzi. Podany w ogłoszeniu telefon wpisuję w internetową wyszukiwarkę. Dowiaduję się, że należy do Roberta B., który jest „diamentowym ambasadorem” FPO. Zresztą wszyscy współpracownicy fundacji są jej ambasadorem: złotymi, srebrnymi, grafitowymi, diamentowymi. Strona FPO jest jednak skromna i uboga w treść. W zakładce „o nas” wymieniono przyświecające jej cele. To m.in.: „Rozwój edukacji i przedsiębiorczości wśród dzieci i młodzieży; wspieranie działań na rzecz wypoczynku dzieci, młodzieży oraz dorosłych, popularyzacja turystyki, krajoznawstwa i sportu”. Fundacja zajmuje się różnymi formami działalności charytatywnej: w okresie świątecznym angażuje się w Szlachetną Paczkę, zbiera datki dla kilkorga stałych podopiecznych, prowadzi zbiórkę finansową na rzecz Ukrainy

MICHAŁ FLUDRA / NURPHOTO / GETTY IMAGES





Demonstracja poparcia dla rodziców dzieci z niepełnosprawnością, Gdańsk, wrzesień 2018 r.

pod hasłem „Bo razem możemy więcej”. Jest też aplikacja FPO na telefon komórkowy i przekierowanie na stronę wspomnianej już kancelarii z Konina.

FPO jest obecna także w mediach społecznościowych, m.in. na Facebooku: „Urzednicy nie informują w temacie świadczenia pielęgnacyjnego lub robią to bardzo niechętnie. Cały proces uzyskania świadczenia jest naszpikowany formalnościami i kruczkami, jednak sprawy naszych podopiecznych kończą się w 99 proc. sukcesem i są objęte gwarancją uzyskania świadczenia. Warto wspomnieć, że nie potrzebujesz ŻADNEGO WKŁADU FINANSOWEGO”.

A teraz wyjaśnijmy, o co chodzi w tej historii. „Zasiłek dla opiekuna osoby niepełnosprawnej”, w którego „zdobyciu” pośredniczą współpracujące z fundacją kancelarie, jeszcze kilka lat temu pobierały przede wszystkim matki niepełnosprawnych dzieci. Świadczenie wypłacano niekiedy ojcom, w wyjątkowych

okolicznościach opiekunom prawnym. Należało spełnić dwa warunki. Pierwszy: niepełnosprawność dziecka musiała zostać orzeczona przed uzyskaniem przez nie pełnoletności (jeśli się uczyło, granica przesuwiała się do 25. roku życia). Drugi: osoba pobierająca świadczenie była zobligowana zrezygnować z pracy i przed specjalną komisją wykazać zerowy dochód. Zupełnie inne prawo regulowało (i wciąż reguluje) przyznawanie świadczeń dla opiekunów dorosłych osób niepełnosprawnych. Tej grupie przysługuje „specjalny zasiłek opiekuńczy”. O wiele niższy, bo w wysokości ledwie 620 zł. Pobierają go najczęściej dzieci troszczące się o schorowanych rodziców.

Kancelarie prawne nie mogłyby dziś pełnić funkcji „pełnomocników” w pozyskiwaniu świadczeń, gdyby w 2014 r. Trybunał Konstytucyjny nie uznał prawa regulującego ich wypłatę za niekonstytucyjne. Stało się tak po złożeniu skargi grupy posłów, którzy podnieśli argu-

ment podanej w prawie granicy wieku, do którego należało uzyskać orzeczenie o niepełnosprawności. Bariere owych 18 (w wyjątkowych przypadkach 25 lat) uznano za niesprawiedliwą. I dyskryminującą. Na wózek inwalidzki (w wyniku choroby lub wypadku) – może trafić także dorosły, który – podobnie jak chore dziecko – będzie wymagał całodobowego wsparcia.

UTONAĆ W GĄSZCZU | Trybunał, i słusznie, pochylił się nad losem osób sprawujących opiekę nad dorosłymi. Niestety, po ogłoszeniu wyroku nie opracowano i nie przyjęto odpowiednich przepisów wykonawczych. Jarosław Jagura, prawnik z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, zajmujący się m.in. problemem świadczeń socjalnych, uważa, że przez ten fakt kwestia przyznawania świadczeń pozostaje nieuregulowana. Problem ten podnosi także Rzecznik Praw Obywatelskich i organizacje pozarządowe →

→ wspierające osoby z niepełnosprawnością. Z powodu luki prawnej miejskie ośrodki pomocy społecznej często nie przyznają świadczeń, a odwołania rozstrzygają samorządowe kolegia odwoławcze bądź sądy. To idealna sytuacja dla pośredników i pełnomocników, którzy niewykształconym ludziom wmawiają, że pogubią się w „gąszczu przepisów”, a bez odpowiedniej „instrukcji” nie poradzą sobie także podczas wywiadu środowiskowego.

Rzeczywistość wygląda inaczej. Wyśitek włożony przez pełnomocników w wypełnienie wniosku i poprowadzenie sprawy jest niewielki, ale podparty świetnym marketingiem. Z anonimowych rozmów z urzędnikami MOPS-ów i kolegów odwoławczych wiem, że wnioski (składane przez kancelarie prawne wręcz hurtowo) pisane są według jednego wzoru. Dosłownie przy pomocy: „kopiuj, wklej”. Każdy zawiera te same sformułowania i argumentację.

Tymczasem gotowy (odwołujący się do konkretnych paragrafów i zawierający część opisową) wniosek można ściągnąć z internetu za darmo. Formularz pojawia się po wpisaniu w wyszukiwarkę hasła: „wzór odwołania do samorządowego kolegium odwoławczego dla opiekunów osób niepełnosprawnych”. Wystarczy uzupełnić kilka rubryczek i podpisać się. Wiele fundacji i organizacji pozarządowych świadczy nieodpłatną pomoc w wypełnieniu tego wniosku i skompletowaniu odpowiednich dokumentów. Nie pobierają też honorarium za reprezentowanie swoich klientów w sądzie. Tak postępują choćby prawnicy Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka. Niestety, z darmowych porad prawnych ludzie korzystają tylko w dużych miastach. Mieszkańcy małych miejscowości i wsi najczęściej nie są nawet świadomi takich możliwości. Kiedy widzą pod kościołem ogłoszenie, w którym ktoś obiecuje im pomoc, dzwonią pod wskazany numer.

DZIERŻAWA NA PAPIERZE | Telefonuję do Roberta B., „diamentowego ambasadora” FPO. Przedstawiam się jako mieszkanka Limanowej. Rozmowę zaczynam od postawionego wprost pytania: „Co mam zrobić, by skorzystać ze świadczenia?”. Po czym opowiadam „o sobie”: wraz z mężem prowadzę gospodarstwo rolne i wychowuję dzieci. Mieszka z nami moja mama posiadająca orzeczenie o niepeł-

nosprawności, ale nie jest przykuta do łóżka. By się nią zaopiekować, pół roku temu zrezygnowałam z pracy. Nie byłam zatrudniona w oparciu o umowę etatową. Świadczyłam usługi na umowę-zlecenie. Dodaję (co ważne), że mam brata rolnika.

Na początku rozmowy przedstawiciel fundacji prosi, bym przygotowała oświadczenie o niepełnosprawności mamy. Po kilku minutach usłyszę, że możemy umówić się u mnie w domu. Robert B. pierwszy wolny termin ma za trzy dni. Tłumaczy mi, że podczas spotkania udzieli przedstawicielowi konińskiej kancelarii prawnej pisemnego pełnomocnictwa „i już o nic nie muszę się martwić”. Kancelaria dopełni w moim imieniu wszystkich formalności. Jeśli jednak MOPS lub kolegium odwoławcze wydadzą decyzje odmowne, sprawa trafi do sądu, który może wyrokiem nakazać przyznanie świadczenia. Cały proces potrwa ok. sześciu-siedmiu miesięcy.

„Diamentowy ambasador” cieszy się, że dzwonię z Limanowej, bo „to jego teren”. Prowadził tu już sporo spraw, w Rabie Wyżnej, Rabce, Nowym Targu.

Zanim się spotkamy, chce zadać mi kilka pytań. Na ich podstawie zweryfikuje, czy „mama się kwalifikuje”. Na początku dąży, kto wydał oświadczenie o niepełnosprawności: Powiatowe Centrum Pomocy Rodzinie? ZUS? Kasa Rolniczego Ubezpieczenia Społecznego?

– KRUS – mówię, a w odpowiedzi słyszę, że KRUS nie posługuje się standardowymi drukami. W oświadczeniu muszę więc znaleźć zapis o stopniu niepełnosprawności mamy: lekki, średni czy znaczny.

– Czy obecnie brat pobiera coś na mamę?

– Nie.

– Czy pracuje w gospodarstwie?

– Tak.

– To teraz pani mówię. Jeśli będziemy dalej szli tym tropem, to musi to gospodarstwo na dokumencie jakimś wydzierżawić. Musi być zapis, że dzierżawi to komuś. Bo oni [sąd – przyp. red.] nam wskażą, że w tym wypadku pobiera dopłaty, a dopłaty są dochodem.

– Ale to ja się będę starać, bo mama ze mną mieszka.

– A pani obecne dochody?

Powtarzam, że pół roku temu, albo siedem miesięcy – dobrze nie pamiętam – rzuciłam pracę na umowę-zlecenie. Pracownik przyznaje, że „to dobrze”. – Mamy

zapis przyczynowo-skutkowy – dodaje. – Bo sąd nam też wskazuje, że ktoś tam nie pracował, a teraz stara się o świadczenie, to nie ma przyczyny i skutku.

6300 IDZIE DO NAS | Dalsza rozmowa dotyczy szczegółów spotkania z przedstawicielem fundacji i reprezentowania mnie w sądzie.

– Aha. To państwo to wszystko za mnie robicie! – cieszę się.

– Tak. Dokładnie.

– Ojej, a ile to kosztuje?

– Pani pyta o wynagrodzenie dla naszej kancelarii. Proszę pani! Otrzymuje pani decyzję o przyznaniu. Od następnego miesiąca świadczenie zostaje przyznane, a my wnioskujemy o wyrównanie za okres procedowania sprawy. Czyli założmy za te sześć czy siedem miesięcy. I tak, trzy pierwsze miesiące z tego wyrównania są prowizją dla kancelarii. Założmy, że sprawa trwa sześć miesięcy, to 6300 zł idzie dla nas jako wyrównanie. A pani wyrównanie to jest osiem tysięcy z groszem. Tak to wygląda, oprócz tego, że dostaje pani świadczenie, będzie jeszcze wyrównanie.

– Ojej, to dużo pieniędzy. Proszę pana, a jak biorę to świadczenie, to ja już nic sobie nie mogę dorobić? – chcę się upewnić.

– Nie może pani. Bo to zastępuje stosunek pracy na rzecz osoby niepełnosprawnej. Tak to jest ustawowo podjęte.

– Bo wie pan, mama to sobie czasem i herbaty robi, ale opieki wymaga.

– To ja będę musiał panią przygotować do tego wywiadu środowiskowego. Bo w tym wywiadzie oni będą panią podpytywali, czy może pani na przykład zostawić mamę na godzinkę i podjąć pracę. Właśnie umowę-zlecenie.

– To ja mam im mówić, że nie mogę?

– Tak, wykażemy, że matka potrzebuje ciągłej, stałej, długotrwałej opieki. Całodziennej, całodobowej opieki.

– Nawet jak ona sama do toalety pójdzie, to mam tego nie mówić?

– No, nie. Musi pani w tych czynnościach wszystkich pomagać. Ale to już w dalszej części pani powiem.

MATKA BĘDZIE LEŻĄCA | Lektura strony FPO pozwala wysnuć wniosek, że zajmuje się ona działalnością charytatywną. Nie znajdziemy informacji na temat kilkutygodniowego honorarium, które (po uzyskaniu świadczenia) należy uiścić współpracującej z fundacją kancelarii.

Pytam Dawida Antkowiaka, zastępcę prezesa FPO, czy kancelarie prawne dzielą się z fundacją dochodem. Antkowiak zaprzecza. Zwracam też uwagę, że honorarium w wysokości ponad 6 tys. zł to bardzo duże pieniądze, zwłaszcza że wiele fundacji świadczy swoje usługi nieodpłatnie, bo sprawy zasiłków najczęściej są proste. Zastępca prezesa mówi, że to już subiektywna ocena. Dla jednych 6 tys. to dużo, dla innych mało. A fundacja działa *lege artis*. Udziela informacji i chętnym poleca kancelarię prawną. Nikogo nie zmusza przecież do udzielania kancelarii pełnomocnictwa i płacenia za usługi w sądzie.

Świadczenie dla opiekunów osób niepełnosprawnych podlegało przez lata rewaloryzacji. W 2016 r. wynosiło jedynie 1300 zł, obecnie to kwota 2119 zł. Biorąc pod uwagę, że minimalna pensja krajowa jest o niecałe 250 zł wyższa, nie ma się co dziwić, że MOPS-y i kolegia odwoławcze zostały zasypane wnioskami. W efekcie np. w Krakowie liczba decyzji o przyznaniu świadczeń wzrosła w ciągu ostatnich trzech lat czterokrotnie (z 270 do 1049). Urzędnicy przyznają, że analiza dokumentów to delikatna i złożona kwestia. Dla wielu opiekunów dorosłych osób pielęgnacja i rehabilitacja podopiecznego rzeczywiście staje się całym życiem. A kwota przysługującego im „specjalnego zasiłku pielęgnacyjnego” w wysokości 620 zł nie wystarcza praktycznie na nic.

Ale są też inne sytuacje. Przyjmijmy, że córka opiekuje się chorującą matką. Chce zrezygnować z pracy i wystąpić o świadczenie (w taką rolę wcieliłam się w rozmowie z pracownikiem fundacji). Tyle że system na to łatwo nie pozwoli, jeśli kobieta ma rodzeństwo. Prawo stanowi, że obowiązek alimentacyjny (czyli także opieka nad schorowanym ojcem lub matką) rozkłada się równomiernie pomiędzy dzieci. Każde z nich powinno – jeśli wymaga tego sytuacja – troszczyć się o utrzymanie rodzica. Kupować leki, zapewniać opiekę zdrowotną i rehabilitację.

Urzędnicy MOPS-ów i samorządowych kolegiów przyznają, że wśród występujących o świadczenia coraz częściej zdarzają się osoby nieuczciwe (wiele z nich jest też do tej nieuczciwości namawianych przez sprytnych pośredników). Ich podopieczni posiadają co prawda orzeczenie o niepełnosprawności w stopniu znacznym, ale są w stanie bez trudu przez kilka godzin dziennie pozostać

Wysilek prawników jest niewielki, ale dobrze wynagradzany. Wnioski pisane są hurtowo według jednego wzoru: kopiuj, wklej.

Wiele fundacji robi to samo za darmo.

w domu bez opieki. Nie jest również tajemnicą, że w tym czasie wielu opiekunów zamiast siedzieć przy chorym rodzicu, podejmuje pracę na czarno. Zjawisko narasta, bo „śledczy z MOPS-u” nie mają na to twardych dowodów, nie mają też możliwości policji.

Pracownik FPO zapowiedział, że „poinstruuje mnie, co mam mówić” podczas wywiadu środowiskowego. „Wykażemy, że matka jest leżąca” – stwierdził. Gdyby o świadczenie dla rodzica występował ostatecznie mój „brat rolnik”, Robert B. też miał radę. Poleciał „wydzierżawić ziemię, na papierze”.

Naganiacze nie mówią jednak wszystkiego. Np. tego, że przyznanie świadczenia to nie koniec historii. Co stanie się, jeśli ja albo mój „brat” otrzymamy świadczenie, ale urzędnicy nas potem skontrolują? Jeśli okaże się, że „brat” jednak uprawia pole (albo ja biorę zlecenia), zaś moja mama samodzielnie parzy sobie herbatę i korzysta z toalety, to właśnie jedno z nas – a nie reprezentujący nas prawnik – zostanie pociągnięte do odpowiedzialności. Świadczenie zostanie cofnięte, a przyznane już pieniądze będziemy musieli zwrócić. Kancelaria prawna nic nie straci.

Prof. Mikołaj Małecki, karnista z Uniwersytetu Jagiellońskiego, zwraca uwagę, że za podobny czyn grozić może więzienie. – Podawanie nieprawdziwych informacji w celu wyłudzenia świadczenia może stanowić przestępstwo. Kodeks karny precyzuje, że oszustwo zachodzi, jeśli wprowadzamy w błąd inną osobę i doprowadzamy ją tym sposobem do niekorzystnego rozporządzenia mieniem – mówi prof. Małecki. – Gdyby urzędnik znał wszystkie fakty, świadczenie nie zostałoby przyznane albo byłoby przyznane w mniejszej wysokości. Nie-

zależnie od tego, jaką kwotę wyłudziliśmy, kodeks karny przewiduje za taki czyn karę pozbawienia wolności nawet do ośmiu lat.

WRÓCIĆ DO ŚWIATA | Prawnicy świadczący wsparcie osobom z niepełnosprawnością są zgodni, że jedynie stworzenie nowych, spójnych ram prawnych, ujmujących przepisy o przyznawaniu świadczeń pielęgnacyjnych, sprawi, iż pieniądze będą trafiać do osób naprawdę potrzebujących. Na działalność płatnych pełnomocników i pośredników nie będzie już miejsca.

– Środki powinny trafiać bezpośrednio do osoby z niepełnosprawnością, aby to ona decydowała o ich wydatkowaniu. Może będzie chciała poprosić o płatną pomoc kogoś z rodziny, a może zatrudnić osobę, która udzieli jej wsparcia w pielęgnacji i załatwianiu różnych spraw? Takie rozwiązanie dążyłoby do upodmiotowienia osób z niepełnosprawnością – uważa Jarosław Jagura, prawnik HFPC. I zarazem podkreśla, że nawet podwyższona do 2119 zł kwota świadczenia może nie zaspokajać wielu potrzeb ludzi niepełnosprawnych. I narażać ich na życie w ubóstwie.

Zdaniem prawnika w pierwszej kolejności powinien zostać zniesiony zakaz pracy dla opiekunów. Postulują to od wielu lat kobiety wychowujące dzieci z niepełnosprawnością. Oprócz „bycia matką na zasiłku” i korzystania z pomocy państwa chciałyby stać się pełnoprawnymi członkiniami społeczeństwa, powrócić na rynek pracy, nie musieć kombinować, żyć w biedzie. Tak zresztą system opieki nad osobami z niepełnosprawnością funkcjonuje na Zachodzie.

Wiceprezes FPO Dawid Antkowiak przyznał w rozmowie ze mną, że w ciągu niespełna dwóch lat z pomocy fundacji skorzystało 5 tysięcy osób. Są też inne – mniejsze – fundacje i firmy ogłaszające się w sieci. Niektóre funkcjonują kilka miesięcy i znikają z rynku. Wiele z nich działa w granicach prawa, bo oficjalnie ich działalność polega na informowaniu. Fakt, pośrednio namawiają do kłamstw przed urzędnikami, ale ostatecznie to sami świadczeniobiorcy ponoszą odpowiedzialność karną. Podobnie jest z kancelariami prawnymi. Kasują wielkie honoraria, ale niczym nie ryzykują.

© MAŁGORZATA NOCUŃ

Na zakup marsz

MAREK RABIJ

Polska buduje siły zbrojne, które mają być regionalną potęgą. Sądząc po ostatnich zamówieniach, nie zabraknie nam nowoczesnego uzbrojenia. Gorzej z żołnierzami.

GDY W 2002 R. MINISTERSTWO OBRONY Narodowej podpisało umowę na 48 samolotów F-16, zamówienie okrzyknięto „kontraktem stulecia”. Produkt krajowy brutto Polski dobijał do 200 mld dolarów, czyli mniej więcej do ubiegłorocznego poziomu Ukrainy. Na amerykańskie myśliwce wydaliśmy 3,2 mld dolarów, co stanowiło ok. 1,5 proc. ówczesnego PKB.

Od tamtej pory polska gospodarka urosła jednak trzykrotnie i w ubiegłym roku wartość jej PKB przekroczyła 2,6 biliona zł – czyli ok. 620 mld dolarów. Z tej perspektywy „kontrakt stulecia” sprzed dwóch dekad wypada blado na tle zrealizowanych już i planowanych inwestycji w obronność. Za sprawą ustawy o obronie ojczyzny, która podnosi wydatki na cele wojskowe do „co najmniej 3 proc. PKB”, już w przyszłym roku – jeśli oczywiście po drodze nie dopadnie nas głęboki kryzys – w kasie MON powinno wydawać blisko 100 mld zł. Niemal dwa razy więcej niż jeszcze dwa lata temu.

Zbudujemy drugi Izrael

Armia zbroi się dziś w tempie i na skalę niespotykaną dotąd nie tylko w Polsce, ale także w większości krajów rozwiniętych (może nie licząc Izraela, który rokrocznie wydaje na zbrojenia ok. 4,3-4,6 proc. PKB). Tylko w zeszłym miesiącu MON zadeklarował chęć zakupu sześciu baterii amerykańskiego systemu obrony powietrznej Patriot za ok. 42 mld zł oraz aż 500 wyrzutni rakietowych M142 Himars. One także przypłyną z USA, a kosztować będą – w zależności od ostatecznie wybranej konfiguracji – od 30 do ponad 50 mld zł. Gdyby dodać do tego umowę na drony i amunicję krążącą z programu Gładius, które ma dostarczyć polska firma WB Electronics, a na dokładkę zlecenie dla Huty Sta-

lowa Wola na dwa dywizjony (zapewne 48 sztuk) polskich armatohaubic Krab, to rachunek MON jedynie za maj dobieje w okolice 100 mld zł.

To nie wszystko. W kwietniu minister Mariusz Błaszczak zatwierdził umowę wykonawczą pomiędzy Agencją Uzbrojenia a Konsorcjum PGZ-Narew na dostawę wybranych elementów dwóch jednostek ogniowych systemu obrony powietrznej krótkiego zasięgu, zwanego Małą Narwią. Ten drobny na tle innych kontrakt wedle nieoficjalnych informacji kosztować będzie podatników ok. 1,5 mld zł, ale to tylko jeden element systemu obrony powietrznej o kryptonimie „Narew”, który łącznie pochłonie od 40 do 60 mld zł, a powstać ma w ciągu najbliższych 5-7 lat.

Do rachunku trzeba dopisać też olbrzymie zamówienie na 250 amerykańskich czołgów M1 Abrams wraz z blisko 30 wozami wsparcia technicznego i logistycznego, amunicją i symulatorami szkoleniowymi, które łącznie kosztować będą ok. 21 mld zł. Drugie tyle zapłacimy za 32 myśliwce F-35 zamówione jeszcze w 2020 r. A przecież na liście zakupowej resortu znajdują się również śmigłowce szturmowe (nieoficjalnie mówi się o 24-32 maszynach, a MON zdaje się łakomie spoglądać zwłaszcza w stronę sprawdzonego na polu walki amerykańskiego AH-64 Apache) oraz około tysiąca nowych bojowych wozów piechoty, najpewniej zbierających bardzo pochlebne recenzje polskich Borsuków. Jest też wciąż nieskreślony z planów, ale po zakupie Abramsów coraz mniej prawdopodobny w realizacji program „Wilk”, którego owocem stałby się nowoczesny polski czołg, zapewne opracowany w kooperacji z któryś z renomowanych dostawców tego typu uzbrojenia. Jak dotąd jedyną ofertę takiej współpracy złożył koreański koncern Hyundai Rotem, który



swojej armii dostarcza wozy K2 Black Panther, a Warszawę czaruje zmodyfikowaną, lepiej opancerzoną wersją, nazwaną roboczo K2PL. Nawet jeśli polsko-koreański czołg ostatecznie nie powstanie, zakup kilkuset kolejnych wozów za miliardy złotych wydaje się kwestią czasu.

I ostatni element. Zwiększeniu – czy raczej przywróceniu – zdolności operacyjnych polskiej marynarki na Bałtyku służyć ma program budowy trzech nowoczesnych fregat rakietowych Miecznik, na które wydamy około 9 mld zł.

Polskie czy z półki?

W ubiegłym roku Inspektorat Uzbrojenia podpisał 38 nowych umów o łącznej wartości 9,9 mld zł, z czego 95 proc. zawarto ze spółkami należącymi do Polskiej Grupy Zbrojeniowej, czyli konglomeratu ponad 50 państwowych firm z sektora obronnego. Gdyby zestawiać tamte zakupy z tegorocznymi, można dojść do wniosku, że priorytet, jakim dotychczas miało być wydawanie pieniędzy na zbrojenia u krajowych dostaw-



MATEUSZ WŁODARCZYK / FORUM

Premier Mateusz Morawiecki i minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak przed konferencją prasową w sprawie zakupu dla Sił Zbrojnych RP systemu mobilnych wyrzutni rakietowych Himars, 1. Warszawska Brygada Pancerna, luty 2019 r.

ców, pod wpływem wojny w Ukrainie błyskawicznie ustąpił miejsca zakupom interwencyjnym, które w szybszym tempie zwiększają potencjał obronny polskiej armii.

W rzeczywistości wspieranie rodzimego przemysłu obronnego zamówieniami MON od lat stanowi rodzaj politycznego zaklęcia. Kierunek modernizacji polskiej armii od dawna pozostaje z grubsza ten sam, a są nim zakupy w Stanach Zjednoczonych z tzw. półki, czyli sprzętu w specyfikacji typowej dla armii USA, bez dopasowywania go do wymogów polskiego wojska. Poza nielicznymi wyjątkami, jakie stanowią dziś np. systemy radarowe czy wspomniane wcześniej haubice Krab oraz drony i amunicja krążąca z Ożarowa, polski przemysł zbrojeniowy nie jest jeszcze w stanie zaoferować armii produktów, które byłyby alternatywą dla oferty zagranicznej. A bez dużych zleceń od MON rodzime firmy nie są w stanie przeskoczyć z kolei wysockiego progu, jakim są nakłady na badania i rozwój nowych produktów. Koło się zamyka.

Na razie w planie modernizacji technicznej polskiej armii na lata 2021-2035 zapisano wydatki na poziomie 544 mld zł. Przedstawiając ten plan opinii publicznej, PiS chętnie stawia go w opozycji do działań koalicji PO-PSL. Politycy Zjednoczonej Prawicy przemilczają jednak fakt, że decyzje budżetowe poprzedników zapadały w innych realiach politycznych. Frontalny atak Rosji na naszego wschodniego sąsiada pokazał, że polskie siły zbrojne muszą w ekspresowym tempie przeobrazić się z armii szykowanej głównie do udziału w misjach w ramach NATO w wojsko zdolne do samodzielnego odpierania ataków napastnika tak długo, aż nadejdzie wsparcie sojuszników. Temu właśnie służyć ma zapowiedziane zwiększenie stanu osobowego armii docelowo do 300 tys., z czego aż 250 tys. stanowiliby żołnierze kontraktowi i zawodowi. Z nieoficjalnych informacji wynika, że może jeszcze w tym miesiącu MON wraz ze sztabem generalnym ogłosić utworzenie piątej dywizji, która dołączyłaby do czterech istniejących.

Nadal sznurem za mundurem?

Wśród samych wojskowych zakupowa ofensywa MON budzi mieszane odczucia. Aprobata zyskała oczywiście odważne odkręcenie kurka z pieniędzmi dla armii, na której niemal wszystkie poprzednie rządy przede wszystkim oszczędzały. Ponurą sławą wśród mundurowych cieszy się zwłaszcza minister Bogdan Klich, za czasów którego (2007-2011) MON nie kompromitował się wprawdzie wizerunkowo tak jak za Antoniego Macierewicza, za to pieniędzy nie było właściwie na nic – może poza utrzymywaniem wybranych sił w zdolności do uczestniczenia w misjach NATO.

Zakupy budzą również pytania o to, czy w budżecie zbrojącej się szybko armii wystarczy pieniędzy dla samych żołnierzy. Przed uchwaleniem ustawy o obrocie ojczyzny, która zagwarantowała większe wydatki na obronność, z każdych 100 zł wydawanych na wojsko blisko 40 szło na koszty osobowe. W tym roku MON ogłosił podwyżki, po których przeciętne wynagrodzenie brutto w wojsku wyniesie 6830 zł, ale średnią windują mocno zarobki niezbyt licznej wyższej kadry oficerskiej i dodatki za wysługę lat. Tak naprawdę, na tle sektora cywilnego armia nadal pozostaje mało atrakcyjnym kierunkiem poszukiwań dla tych, którzy wchodzą dopiero na rynek pracy.

– Z mojej kompanii w ciągu dwóch lat odeszło do cywila czterech podoficerów zawodowych – wylicza major wojsk zmechanizowanych z ponad dziesięcioletnim stażem, stanowczo prosząc o niepodawanie nazwiska. – Faceci koło trzydziestki, po kilku latach służby, czyli już fachowcy w swojej robocie. Teraz jeden pracuje w serwisie samochodowym, inny robi właśnie jakiś kurs z logistyki, bo poszedł do firmy spedycyjnej. Obaj twierdzą, że chętnie by zostali w służbie, bo kochali tę robotę, ale nie chcą żyć za takie pieniądze, jakie płaci wojsko. Na rękę zarabiają teraz tyle, ile w armii mieli brutto.

Według stanu na 31 października 2021 r. zawodową służbę wojskową w Siłach Zbrojnych RP pełniło łącznie 113 302 żołnierzy (nie licząc 32 tys. w Wojskach Obrony Terytorialnej). Przez 10 miesięcy roku 2021 armia pozyskała 8298 nowych ludzi, co po odliczeniu tych, którzy odeszli do innych zajęć lub przeszli na emeryturę, dało ostatecznie przyrost liczebności naszych sił zbrojnych o 3202 żołnierzy. Wynik ten ➔

→ – jak podkreślał w komunikacie Gabriel Brańka, szef departamentu kadr MON – zaskoczył wojskowych planistów, którzy zakładali mniejsze zainteresowanie służbą, ale nawet przyjmując za dobrą monetę ten urzędowy optymizm, nie sposób nie zauważyć, że w takim tempie zwiększenie liczebności polskiej armii zawodowej do 250 tys. zajęłoby 41 lat.

Rezygnacje to coś, co spędza sen z powiek polskim sztabowcom, choć oczywiście nikt oficjalnie nie zauważa problemu. Tymczasem statystyki MON pokazują, że w latach 2018-2020 zwolniono z zawodowej służby wojskowej 13,5 tys. żołnierzy. Stało się tak m.in. dlatego, że po ograniczeniu przywilejów emerytalnych mundurowych (wydłużenie czasu służby z 15 do 25 lat) przysłuchał się wojskowy socjał, który rekompensował w pewnym stopniu codzienną mizериę żołdu. To oznacza jedno – że wojsko będzie nadal tracić doświadczonych ludzi na rzecz sektora cywilnego, jeśli nie zacznie płacić lepiej.

– Czytam w komunikacie MON, że oni kupują na przykład Patrioty za 40 mld zł i aż mam ochotę dopisać do niego, że przeszkolenie żołnierzy do obsługi tego sprzętu trwa minimum półtora roku. A naprawę dobrych specjalistów uzyskuje się po jakichś czterech-pięciu – kontynuuje major. – Jeśli nie ustabilizujemy kadr, będzie fatalnie. Jak w teamie F1 z super bolidami, ale bez doświadczonych kierowców.

Armii nie pomoże demografia.

Ludność Polski będzie się zmniejszać, a społeczeństwo starzeć. Już dziś w gronie 1,7 mln rezerwistów aż 870 tys. to osoby wieku od 51 do 60 lat.

Nie porysować kamery

Armii z pewnością nie pomoże demografia, bo ludność Polski będzie się zmniejszać, a społeczeństwo starzeć. Już dziś w gronie 1,7 mln rezerwistów aż 870 tys. to osoby w wieku od 51 do 60 lat. Niewiele lepiej jest ze służbą kontraktową i zawodową. Z danych GUS wynika, że w latach 1989-2020 liczba mieszkańców Polski w wieku 18-44 zmalała równo o milion, choć w tym samym czasie przybyło nas łącznie ponad 300 tysięcy. Jeszcze gorzej wyglądają statystyki osób niepełnoletnich. Pomiędzy 1989 a 2020 liczba mieszkańców kraju poniżej 18. roku życia stopniała z 11,2 do 6,9 mln.

Autorzy ustawy o obronie ojczyzny dostrzegają ten problem, bo wprowadza ona ochotniczą zasadniczą służbę wojskową (obowiązkowa już nie wróci). Po krótkim

szkoleniu podstawowym, a potem jedynastomiesięcznym specjalistycznym, żołnierze będą mieli prawo wstąpić do zawodowej służby wojskowej – albo wrócić do cywila. Po służbie zyskają jednak gwarancję pierwszeństwa w rekrutacji do administracji publicznej. Rząd przewiduje także stypendia dla studentów kierunków, których nie prowadzą uczelnie wojskowe, a które mogą być przydatne dla armii. Po obronie dyplomu kandydaci musieliby przejść w zamian kurs oficerski i odsłużyć w wojsku pięć lat. MON obiecuje również uelastycznienie ścieżki awansu, a także podwyżki dodatków za wysługę lat, które zatrzymywałyby w służbie najcenniejszych, bo doświadczonych ludzi. Gwałtowny wzrost zainteresowania służbą zawodową i Wojskami Obrony Terytorialnej, który nastąpił tuż po napaści Rosji na Ukrainę, z pewnością wlał w serca sztabowców nieco optymizmu, muszą jednak zdawać sobie sprawę z tego, że fala patriotycznego uniesienia kiedyś opadnie.

– I jeszcze jedno – kończy major. – W wojsku od zawsze brakowało sprzętu. Boję się, że jak się teraz pojawi ten supernowoczesny i zarazem bardzo drogi, to generałowie po staremu będą się o niego trząść. Sam słyszałem, jak na poligonie dowódca opieprzał szefa kompanii czołgów tylko za to, że ten poprowadził swoje wozy przez las. Gałęzie mogły przecież uszkodzić kamery termowizyjne.

© MAREK RABIJ

REKLAMA

! **Przedprzedaż
książki
-40%**

Więcej informacji na stronie:
www.wydawnictwo.wiez.pl

tel. 22 827 96 08 ksiegarnia@wiaz.pl



WIEŻ

Od stand-upera i komedianta do pełnego godności i charyzmy męża stanu.

☆☆☆

Natalia Bryżko-Zapór analizuje fenomen ukraińskiego prezydenta na tle wojny i przemian dokonujących się w Ukrainie.

Kraczcie jak i my

ZOFIA GRUDZIŃSKA, PEDAGOŻKA:

Postąpiliśmy wobec ukraińskich uczniów jak nauczyciel, który mówi: „Polecenie str. 65, przeczytać i zrobić”. A potem o nic się nie martwi. Zamiast integracji mamy asymilację z elementami przymusu.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Dla Pani 24 lutego nie był przełomem.

ZOFIA GRUDZIŃSKA: W szkole, w której uczę angielskiego, od dawna mamy cudzoziemskie dzieci. Mamy uczniów z Ukrainy, Tadżykistanu, Turkmenii, Kazachstanu i innych miejsc. Nie muszą płacić czesnego – jest pokrywane z funduszy szkoły. Po 24 lutego zgłosiło się do nas dwoje Ukraińców. 16-latek świetnie mówiący po angielsku, który znalazł też sobie pracę na pół etatu, i dziewczyna.

Kończy się rok szkolny, minęły trzy pełne miesiące obecności ukraińskich uchodźców w Polsce. Co dziś wiemy o tych, którzy są w wieku szkolnym?

Około 200 tys. z nich jest w polskim systemie. Mniej więcej 90 proc. uczy się w istniejących już wcześniej polskich klasach, pozostałe ok. 20 tys. zaś uczęszcza do oddziałów przygotowawczych, działających poza reżimem podstawy programowej, a służących przygotowaniu ucznia do wejścia w nasz system – głównie poprzez naukę polskiego.

Te 200 tys. to mniejszość.

Tak, bo wedle szacunków kolejne pół miliona przebywających w Polsce ukraińskich uczniów pozostało w tamtejszym systemie – pracują zdalnie. Ale czy faktycznie wszyscy oni się uczą, tego nie wiemy.

Na początku pandemii tysiące polskich dzieci wypadło z systemu edukacji. Czy podobnego zjawiska

można się teraz spodziewać wśród ukraińskich rodzin?

Osoby pracujące w noclegowniach czy schroniskach, do których Ukraińcy też przecież trafiają, mówią, że w tych warunkach uczestniczenie w zajęciach zdalnych jest praktycznie niemożliwe. A to tylko jeden z potencjalnych powodów bycia poza systemem.

Niedawno usłyszałem od dr hab. Małgorzaty Michel, pedagogi ulicy, że polscy streetworkerzy zaczęli spotykać ukraińskie dzieci bez opieki. Na pytanie, czy mamy już do czynienia ze zjawiskiem ukraińskich „dzieci niczyich”, pozostających poza państwowymi radarami, odpowiedziała, że to niemal pewne.

Nie znamy tylko skali tego zjawiska. A z pewnością warto się tym zainteresować – w końcu przyjęliśmy do siebie tych ludzi, jesteśmy więc za nich współodpo-

wiedzialni. I nie chodzi o stratę roku edukacji, gdyż to w obliczu wojennego dramatu nie jest wielkim problemem. Chodzi o ryzyko wykluczenia z życia.

Wróćmy do danych. Czy owe 20 tys. dzieci w oddziałach, 180 tys. w polskich klasach i ok. pół miliona w ukraińskim nauczaniu zdalnym – to wypadkowa potrzeb, czy możliwości i ograniczeń polskiego systemu?

Wybieram opcję numer trzy: wypadkowa przypadku. Proszę to sobie wyobrazić. W marcu przyjeżdża rodzina. Jest na życiowym zakręcie, panuje wszechobecny chaos. Może trafić do empatycznej i zorientowanej w meandrach systemu szkolnego rodziny, która pomoże. Albo do kogoś, kto nie potrafi wesprzeć w szukaniu i analizowaniu możliwości nauki dla dzieci.

Na to nakładają się możliwości systemu. Chodzi głównie o to, czy w miejscu, →



Ukraińskie dzieci na lekcji języka polskiego, Jarosław, 31 marca 2022 r.

DAISUKE TOMITA / YOMIURI / AFP / EAST NEWS

→ do którego trafiła rodzina, są spełnione dwa podstawowe warunki dokonania świadomego wyboru: dostępność „oferty”, np. oddziału przygotowawczego, i dostępność klarownej informacji.

Zacznijmy od tego pierwszego. Dlaczego jest tak mało oddziałów przygotowawczych, o których prawie wszyscy mówią, że są dla wielu dzieci lepszym rozwiązaniem niż zwykła klasa?

Nie wykluczam, że w wybranych samorządach zabrakło woli albo ludzi, którym by się chciało wykonać dodatkową robotę, czyli poszukać lokali i kadry do prowadzenia oddziału. Przydałoby się też zdjąć z tej formy edukacji odium „przerwy od lekcji”, co ewidentnie nie udało się ani rządowi, ani samorządom. Skutkiem tego ukraińska mama może pomyśleć, że lepiej zapisać dziecko do „normalnej” szkoły, żeby nie traciło czasu nauki.

Praca w oddziałach to głównie lekcje polskiego, ale przecież nie tylko: to możliwość poznawania świata, do którego się weszło. Zresztą zajęcia językowe też nie muszą oznaczać siedzenia w klasie i wkuwania słówek – można to robić przy okazji spacerów czy wycieczek.

A dostęp do informacji? Jak zapisać do oddziału, jak do polskiej klasy, jakie formalności ma spełnić rodzic, który zdecydował o pozostaniu dziecka w systemie ukraińskim...

Informacje pojawiły się szybko i w tłumaczeniu na ukraiński. Tyle że urzędnicy często gubili się w interpretacjach przepisów. System zadziałał jak nauczyciel, który mówi: „Polecenie str. 65, przeczytać i zrobić”, a potem o nic się nie martwi.

Czego mieli prawo nie zrozumieć Ukraińcy?

Najprostszej rzeczy: czy nauka w polskiej szkole jest ich prawem, czy również obowiązkiem? A skoro to drugie – bo tak mówi polskie prawo – to gdzie należy zgłosić fakt pozostawiania dziecka w ukraińskim systemie? Sama obdzwońnięłam wydziały edukacyjne kilku miast, a także ministerstwo. Jedna pani powiedziała, że wystarczy przyjść i złożyć oświadczenie, ale już na pytanie, w jakim języku, zareagowała zaskoczeniem. Druga powiedziała, że będą specjalne formularze z wnioskami. Trzecia: że nic o takich formularzach nie słyszała. Z ko-

Wypowiedź ministra Czarnka o tym, że nie będziemy wprowadzać preferencji dla ukraińskich uczniów

nastawia dwa narody przeciw sobie.

A mówienie o „przywilejach” dzieci uciekających przed wojną jest absurdem.

lei ministerstwo odpowiedziało, żeby napisać maila w trybie dostępu do informacji publicznej, a gdy dzwoniłam innym razem, to powiedzieli, że „w kuratoriach wszystko wiedzą”. W kuratorium oczywiście nic nie wiedzieli, odsyłając do... urzędów miast.

W raporcie, jaki napisała Pani niedawno dla Fundacji Batorego, stawia Pani tezę: z dwóch modeli przyjmowania uchodźców polska władza oświatowa odrzuciła ten integracyjny, a przyjęła asymilacyjny. I to z elementami przymusu.

Integracja oznacza trwałe związki z krajem przyjmującym, ale bez rezygnowania z własnej odrębności. Asymilacja zaś to konieczność całkowitego dostosowania się do zastanych warunków. Tak jest w przypadku ukraińskich uczniów – pracują na bazie polskich podstaw programowych i zdają polskie egzaminy na niemal niezmiennych zasadach.

Można to odczytywać jako rodzaj przymusu: skoro zapisujesz dziecko do ósmej klasy, to musi ono przystąpić do testu. W dodatku trudno mówić o wolności wyboru, gdy nie ma dostępu do informacji: na stronie ministerstwa nie było np. wyraźnego komunikatu, że ukraińskie dziecko może pozostać w ukraińskim systemie.

Oddziały przygotowawcze, czytam na stronie MEiN, „mają charakter integracyjny”.

O integracji można by było mówić, gdyby pojawiła się jakaś spójna koncepcja spotkania kultur: warsztaty wielokulturowe, wspólne gry, wyjazdy, wycieczki itd.

Zamiast tego mamy skierowany do Ukraińców przekaz, którego sens brzmi tak: jak wejdiesz między wrony, musisz krakać jak one.

Sposób przeprowadzenia egzaminów – głównie tego dla ósmoklasistów – spotkał się z krytyką. Słusznie?

Po pierwsze, spowodował niespójny system rekrutacji do liceów. Dziecko, które ukończy podstawówkę w Ukrainie, może wejść do naszej szkoły ponadpodstawowej na zasadach określonych przez dyrektora danej placówki, bez konieczności zdawania tego samego egzaminu, co absolwenci naszej szkoły podstawowej. Kolega tego samego ucznia, który przyjechał do Polski już w marcu i poszedł do ósmej klasy, może miejsca w liceum nie znaleźć, bo np. ze względu na językowe braki słabo zdał nasz egzamin.

Ponad siedem tysięcy młodych Ukraińców musiało zdawać egzamin ósmoklasisty z polskiego w języku polskim. Oczywiście, mają trochę racji ci, którzy mówią, że to logiczna konsekwencja decyzji o wejściu w nasz system. Ale też nie rozumiem, co szkodziło usiąść na kilka nocek w gronie ekspertów, psychologów, urzędników Centralnej Komisji Egzaminacyjnej i zastanowić się nad zmienioną – przynajmniej częściowo – formułą testów?

Dano Ukraińcom więcej czasu na odpowiedzi, ponadto polecenia były po ukraińsku.

Nie jestem polonistką, ale znowu: wyobrażam sobie naradę w gronie ekspertów. Bo przecież taki egzamin sprawdza nie tylko znajomość polskiej literatury. Ma też część odnoszącą się do umiejętności rozumienia tekstu, wyciągania wniosków, łączenia faktów. Czy ta część egzaminu nie mogłaby się odbywać w języku ukraińskim?

Odpowiem cytatem z ministra Czarnka: „Nie będziemy (...) wprowadzać preferencji dla dzieci z Ukrainy, bo polskie dzieci mają prawo dostać się do wymarzonej szkoły. Gdybyśmy w sytuacji uprzywilejowanej stawiali dzieci z Ukrainy, pojawiłoby się dużo problemów i niepotrzebnych napięć”.

To takie wypowiedzi wywołują niepotrzebne napięcia – przecież ten ko-

munikat nastawia Polaków przeciwko Ukraincom. A mówienie o „przywilejach” w kontekście dzieci uciekających przed wojną do kraju, którego języka nie znają, wydaje mi się absurdem.

Teraz już wiem, że jest Pani adresatką tego pytania. Dlaczego chce Pani wyrugować z polskich szkół polskość?

Tym razem nawiązuje pan pewnie do tweeta małopolskiej kurator Barbary Nowak...

„Fala uciekających przed wojną Ukraińców napętniła rodzime antypolskie środowiska nadzieją na wyrugowanie choć trochę polskości. Postulują zaprzestanie uczenia polskiej historii i literatury, pod pretekstem dbania o odczucia Ukraińców”.

Pani kurator nie wie, że nie ma czegoś takiego jak polskość na kamiennych tablicach wyryta – taka sama raz na zawsze. Polecam lekturę książek Pawła Jasienicy, z których wynika jasno, że ilekroć zamykaliśmy się na zewnętrzne wpływy, to jako państwo traciliśmy. A komentując rzecz z nieco innej strony: odkąd zwiększyła się władza kuratoriów (być może wkrótce zwiększy się jeszcze bardziej), to podobne wypowiedzi są jeszcze groźniejsze, gdyż nie są prywatną opinią jednej pani, a oficjalną wykładnią polskiego państwa.

A może przeceniamy jego rolę? Przecież integracja i tak się odbywa – oddolnie.

Choćby w naszej szkole, i to od lat. Wystarczająco długo, bym się przekonała, że te dzieciaki niczym się nie różnią od „naszych”. Jedno jest leniwe, ale uczciwe, nie ściemnia; inne manipuluje, patrząc niewinnymi oczkami, wymiguje się i kręci jak złoto; ta znowu przeszła jakąś przemianę po niemal roku alienacji i teraz ma swoje środowisko. A że nie znaliśmy ich w życiu „przedtem”, nie możemy dywagować na temat wpływu przeżyć, ewentualnej traumy – tym bardziej że w duchu poszanowania prywatności niewiele wiemy o tym „przedtem”.

A co do integracji, te młode osoby mają globalną kulturę młodzieżową, w której wszyscy mówią wspólnym językiem. Jeśli zaś chodzi o działania systemowe, bardzo ważna jest indywidualizacja.



ARCHIWUM PRYWATNE

ZOFIA GRUDZIŃSKA jest pedagożką, psycholożką i nauczycielką języka angielskiego w Zespole Społecznych Szkół Ogólnokształcących Bednarska. Współzałożycielka i koordynatorka Ruchu Społecznego Obywatela dla Edukacji. Wiceprezeska zarządu Fundacji Przestrzeń dla Edukacji.

My jesteśmy stosunkowo małą szkołą, możemy patrzeć uważnie na każdego z osobna. Duża szkoła publiczna zwykle nie może sobie na to pozwolić.

Nie tylko na to. W 2020 r. NIK ustalił, że jesteśmy słabo przygotowani do przyjmowania obcokrajowców – a było ich przecież wtedy w szkołach wielokrotnie mniej. Nie szkolono wystarczająco nauczycieli w zakresie pracy z cudzoziemskimi uczniami, nie udzielano tym uczniom wsparcia psychologicznego, brakowało materiałów do nauki polskiego jako języka obcego itd.

A teraz doszły nowe problemy. Musimy się zastanowić, jak prowadzić od nowego roku szkolnego oddziały przygotowawcze. Powinniśmy też opracować standardy dotyczące przechodzenia dziecka z oddziału do normalnej klasy. Nie mamy również ogólnopolskiej diagnozy potrzeb – nie wiemy, czego brakuje poszczególnym szkołom, gminom.

W wakacje albo tuż po nich wróci do parlamentu „lex Czarnek”. Pierwszą wersję projektu załatwił prezydent, ale uzasadniał to potrzebą zgody narodowej w trudnym czasie. Już wiadomo, że z szykowanej teraz drugiej wersji nie zniknie prawo kuratorów do blokowania działalności organizacji pozarządowej w szkole.

Powiem wprost: jeśli ten przepis przejdzie, to biorąc pod uwagę cytowane przez pana wypowiedzi małopolskiej kurator, czy ministra edukacji i nauki, można się obawiać systemowego wynaradawiania ukraińskich uczniów.

Nie za mocno?

Nie, po prostu staram się znaleźć pojęcie analogiczne do „rugowania polskości”.

Jeśli zostanie zadekretowana tak ścisła władza kuratoriów nad treściami przekazywanymi przez organizacje, to w szkołach może zabraknąć miejsca na jakąkolwiek wymianę kulturalną, na integrację z prawdziwego zdarzenia. Coś takiego zostanie uznane za niepatriotyczne i antypolskie.

Pytanie do anglistki, bo język, którego Pani naucza, zyskał kolejną ważną funkcję. To główna forma kontaktu młodych Ukraińców i Polaków?

Stało się to możliwe dzięki rewolucji, która dokonała się w trzech ostatnich dekadach. Ósmoklasista z 1990 r. i ten dzisiejszy to pod tym względem dwa różne światy. Dziś zdecydowana większość absolwentów podstawówek ma opanowany angielski, to samo dotyczy zresztą młodych Ukraińców. To nie tylko moja obserwacja – podobne głosy słyszę też od innych anglistów i anglistek, mających kontakt z młodymi uchodźcami.

Można też zauważyć w ostatnim czasie ciekawe zjawisko: bywa, że nauczyciele przedmiotowi znający język angielski zaczynają się w klasie zwracać do młodych Ukraińców w tym języku, a słuchają tego – też się przecież ucząc – uczniowie polscy. To coś, co my Angliści nazywamy CILL – *content language integrated learning*. Nauczanie zintegrowane, polegające na tym, że uczymy się przedmiotu, np. geografii, a równocześnie języka.

Czego się Pani spodziewa od września?

Nie wiemy, jak się potoczy wojna, ale można przyjąć, że spora liczba uchodźców zostanie. Oby nie było tak, że „doły” pomagają sercem, a władza oświatowa walczy z „rugowaniem polskości”. Wykorzystajmy te wakacje na dostosowanie szkół do większej liczby cudzoziemców, otworzymy się na ich kulturę i potrzeby. Z korzyścią dla obu stron.

© © Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

STRONA ŚWIATA: podkast Wojciecha Jagielskiego

Co dwa tygodnie Wojciech Jagielski – pisarz, były korespondent wojenny, specjalista od spraw Afryki, Kaukazu i Azji Środkowej, jeden z najwybitniejszych europejskich reporterów – w rozmowie z Krzysztofem Storem opowiada o najciekawszych wydarzeniach na świecie.

Słuchaj na TygodnikPowszechny.pl/podkast oraz na



TYGODNIK
POWSZECHNY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Wspieraj na:



PATRONITE

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FOT. ALBERT ZAWADA DLA „TP”



TYGODNIK
POWSZECHNY

Nagroda Internautów Grand Press Photo

Zdjęcie Renaty Dąbrowskiej – portret Agaty Tomaszewskiej i Wojtka Sawickiego ilustrujący tekst Eweliny Burdy „I niech mówią, co chcą” (powszech.net/lovestory) – wygrało głosowanie internautów w tegorocznej edycji konkursu fotografii prasowej Grand Press Photo.

Wszystkim głosującym dziękujemy,
a zwycięzcom i nominowanym serdecznie gratulujemy!



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

- **GLIWICE**, środa 8 czerwca,
Spotkanie z ks. Alfredem Wierzbickim,
„Bóg nie wyklucza” / stacjonarne /
- **BIELSKO-BIAŁA**, czwartek 9 czerwca,
Spotkanie z ks. Alfredem Wierzbickim, „Rozmowy
o państwie, Kościele i godności człowieka” / stacjonarne /

- **WROCŁAW**, czwartek 9 czerwca,
Dyskusja klubowa wokół artykułu
prof. Rafała Matyi „Polska do zmiany”
(TP nr 21/22) / stacjonarne /

- **GLIWICE**, sobota 11 czerwca, II Klubowy Rajd Górski
dla wszystkich Klubowiczów, / stacjonarne /
- **OGÓLNOKLUBOWE**, poniedziałek 13 czerwca,
„Wszyscy jesteśmy uchodźcami” – dyskusja nad książką
ks. Andrzeja Szostka „Uczestniczyć w losie Drugiego”,
cykl „Wspólne czytanie” / online /

REZERWUJ
CZAS!



KLUB
TYGODNIKA.PL



STOWARZYSZENIE
IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej na KlubTygodnika.pl/wydarzenia

DOROTA

Masłowska: Żabka metafizyczna



KIEDYŚ BYŁA DLA MNIE BANAŁEM BANAŁÓW rzeczywistości; żabka, małą literą, można by mówić zbiorczo na prozę życia, ke-firy, faktury, rompery, breezery, papiery toaletowe. Dziś nadszedł czas, by to

wszystko odszczekać i przyznać, że nie ma na tej ulicy drugiej przestrzeni w tym stopniu socjologicznie zagęszczonej, aktywnej, bogatej w sensy. Przestrzeni czynnego przenikania się ludzkich spraw: szczęścia z nieszczęściem, przyjemnego z pożytecznym, nieprzyjemnego z niepożytecznym. Moja żabka jest urzędem, stołówką, źródłem, klubem dyskusyjnym, świetlicą, centrum integracji i dezintegracji. Domem Polaka. Ustawienie półek i kas jest takie, że już jedna osoba oczekująca na hot doga z sosem arabskim wytwarza tłok, dwie zaś nabuzowany, łatwopalny tłum. To sprzyja interakcjom, konfliktom, jednak przede wszystkim – występom.

Mają tu swoje epizodyczne recitale egomaniacy i lokalni wariaci, jednak głównie pozostaje żabka sceną Latającego Teatru Pijaków Ochockich. Na co dzień pozbawieni głosu, tu mogą go uzyskać. Przynosząc 10 butelek po królewskim, korzystają z faktu, że zaksięgowanie ich, opisanie, wprowadzenie do systemu krajowej ewidencji butelek zwrotnych zajmuje sprzedawczyniom ładnych parę minut. To w lejącym na FastForward świecie żabki jest wiecznością – czują się więc w obowiązku, by jakoś ją innym klientom zapęłnić. Nierzadko w sposób prowokacyjny. Antycypując zastrzyk gotówki, wołają sobie z bogatej oferty zdrapek i kuponów jakieś lotto albo eurojackpota. W ten sposób, przez chwilę balansując na pograniczu obrzydliwego bogactwa, stają się pewni siebie i buńczuczni względem gromadzących się za ich plecami w coraz bardziej zniecierpliwionym ogonku „normalnie pijących” ludzi. Zazwyczaj poza hierarchią, teraz są NIEMALŻE BOGACZAMI. Kontemplują to. Rzucają wyzwanie losowi i patrzą, jak leci. Leci sobie... leci... nie spieszy się, leci. Nim chybi, jest przecież jakaś szansa, że trafi, i cała pieczołowicie usypywana dzień po dniu przez „normalnie pijących” ludzi mandala społecznych zależności rozsypie się w chaos, a smoothies mango/ananas, kanapki z pastrami, sushi, przyzwoite wino do 30 złotych i bukiety jarmuzu wypadną im z umytych do czysta antybakteryjnym mydełkiem dłoni.

To taki specyficznie podniesiony głos, gdy niby mówi się do kogoś, ale tak, by słyszeli wszyscy. Niby to dialog, lecz tak naprawdę to DIALOGI. Gdy koło fortuny kręci się niechętnie i bez przekonania, pijacy perorują swoimi donośnymi, skodorowanymi głosami. O milionach, o odzyskiwanych kamieniach, o Morawieckim, o politykach i złodziejach, przewalających

i koniunkturach, wtykając między swoje baśnie przeschnięte bakalie żarcików („Wie pani, po co jeden facet kupił sobie rolls-royce’a?”) i dogadywań („A tak. A jak?”).

To bywa bardzo irytujące, zwłaszcza dla tych, co wyskoczyli tu tylko na chwilę na pożywny, gorący posiłek. Nowa kuchnia polska ma swojego niekoronowanego, wybranego w wolnych, nieświadomych wyborach króla: hot doga. Rozpędzeni ludzie chcą połknąć go bez gryzienia i mknąć z powrotem do swoich pilnych spraw. Latający Teatr Pijaków drażni się z nimi, wlewając do małej żabki oceanu swojego bezwartościowego czasu. Ten czas to nie pieniądz.

Ale sprzedawczynie nie okazują im zniecierpliwienia. Zastygłe w klasycznej figurze kulturowej „kobieta słuchająca nietrzeźwego mężczyzny”, z niewzruszonymi twarzami, oczami patrzącymi nieobecnie w dal, w myślach robią obiad, pranie, piszą usprawiedliwienia wagarującym synom. Ustami zaś dopowiadają jakieś fatyczne „a pewnie”, „biednemu wiatr zawsze w oczy”, „milionerzy w lotto nie grają”. Za nimi nieustannie przewraca się i osypuje wielkie domino paczek zalando, skrywających spodnie, buty i swetry zamówione przez mieszkańców budynku w smutne, samotne wieczory.

I tak mijają dni, tygodnie, miesiące, lata. Ta młoda z groźną kolczastą różą wykwitającą znad zielonej koszulki polo nie wiem kiedy z nieśmiałej dziewczynki udającej sprzedawczynię przeistoczyła się w pozbawioną złudzeń profesjonalną sklepową. Nie wiem kiedy jej wzrok stał się stylowo nieobecny, zamyślony; kiedy zaczęła mówić tymi niewzruszonymi, bezinterpunkcyjnymi ciągami: „tylko ten napój – gotówka karta – może hot dog kawka – serdecznie dziękuję”.

Gdy skróconym do minimum, zautomatyzowanym gestem, właściwie samym jego załącznikiem, wskazuje mi automat do kawy, rejestruję nowy design kubków. Zdobią je napisy „szczęście”, „sukces”, „miłość”. Obok gumy do żucia, maseczki, płyny do dezynfekcji, kondomy i kupony lotto. Zakłęta w drobnych przedmiotach beznadzieja i doniosłość, skomplikowanie i nieskomplikowanie naszego istnienia, oszałamia mnie tu każdego dnia.

©

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Tarnobrzegu pod sygn. akt I Ns 719/21 toczy się postępowanie z wniosku Edwarda Walskiego i Jadwigi Walskiej z uczestnictwem Sławomiry Kuklak, Doroty Magdziak-Osmali, Urszuli Magdziak-Bąk o zasiedzenie nieruchomości – oznaczonej jako działka ewidencyjna nt 522 o pow. 0,5284 ha, położonej w Skopaniu, obręb 0007 Skopanie, gmina Baranów Sandomierski, która to działka powstała z cz. p. gr. 744/8 LWH 802 oraz z cz. p. gr. 719/11, gm. kat. Skopanie.

Sąd Rejonowy w Tarnobrzegu wzywa do zgłoszenia w terminie trzech miesięcy swego udziału w sprawie wszystkich zainteresowanych prawnie wynikiem toczącego się postępowania. Jeśli we wskazanym terminie nikt się nie zgłosi albo zgłoszycy się własności nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.



L'OSSERVATORE ROMANO / GETTY IMAGES

GŁADKOUSTY

Śmierć kard. Angela Sodano
symbolicznie kończy epokę kurii rzymskiej
wszechwładnej, kunktatorskiej i przeżartej korupcją.
Wielu ma nadzieję, że bezpowrotnie.

EDWARD AUGUSTYN

CHOĆ NA TYM HISTORYCZNYM PLACU pada deszcz, to w naszych sercach świeci słońce. Z całą mocą trzymamy się ciebie, nieprzemijająca opoko świętego Kościoła Chrystusowego! Dziś moimi ustami cały Kościół chce ci zgodnie powiedzieć: Wesołych świąt, najdroższy Ojciec Święty! Kościół jest z tobą! Z tobą są kardynałowie, biskupi i czterysta tysięcy kapłanów! Z tobą jest lud boży, który nie przejmuje się całą tą paplaniną”.

Była Wielkanoc 2010 r. Po uroczystej mszy na placu św. Piotra papież Benedykt XVI słuchał w milczeniu życzeń od kard. Angela Sodano, dziękana kolegium kardynalskiego, który „paplaniną” nazwał doniesienia o seksualnym wykorzystywaniu dzieci w Niemczech.



Od lewej: kard. Angelo Sodano, papież Benedykt XVI, kard. Tarcisio Bertone, kard. Giovanni Battista Re podczas obiadu z okazji 5. rocznicy pontyfikatu, Watykan, 20 kwietnia 2010 r.

Obraza ofiar

Był najbliższym współpracownikiem Jana Pawła II, sekretarzem stanu, szefem rzymskiej kurii, którą – przez 15 lat – uformował wedle własnej miary. Pragmatyk i posybilista, kierujący się zasadą, by robić to, co w danej sytuacji możliwe. Wytrawny polityk i dyplomata. Świadomy swej władzy, choć działający skrycie i nieupubliczniający powziętych zamiarów ani złożonych obietnic. Mistrz mowy gładkiej. Księżę Kościoła. Symbol kurii wszechwładnej, kunktatorskiej i przeżartej korupcją. Tej, z którą nie poradzi sobie Benedykt XVI i z którą od dziesięciu lat walczy Franciszek.

Wielkanocne życzenia składane papieżowi pokazują, jak bardzo zmienił się Wa-

tykan przez ostatnią dekadę. Śmieszny nas czołobitny język, niczym w północno-koreańskiej telewizji. A przecież był codziennością Kościoła (w wielu miejscach, także w Polsce, przetrwał do dziś, co słychać podczas „uroczystości z biskupem”). Brzydzi nas ich treść. Choć w ustach człowieka oskarżanego o lekceważenie, tolerowanie i tuszowanie pedofilskich afer w czasach Jana Pawła II specjalnie nie dziwi.

Pierwszy publicznie zareagował kard. Christopher Schönborn, arcybiskup Wiednia, który uznał słowa kard. Sodano za obrazę dla ofiar. W telewizyjnym wywiadzie, udzielonym kilkanaście dni później, przypomniał historię kard. Hansa Groëra, swojego poprzednika w katedrze wiedeńskiej, oskarżonego o wykorzystywanie seksu-

alne dzieci i molestowanie podwładnych. Dowody jego winy Schönborn osobiście przekazał przed laty do Watykanu. Teraz ujawnił, że głównym hamulcowym w nadaniu sprawie biegu był ówczesny sekretarz stanu, kard. Sodano.

Szczegóły tamtego burzliwego spotkania Schönborna, Sodano, Ratzingera i kilku innych hierarchów z Janem Pawłem II znaleźć można w książce „Dzień sądu” Gianniiego Valentego i Andrei Torniello. Arcybiskup Wiednia przekonywał papieża, że konieczne jest wyjaśnienie sprawy Groëra. Sodano był zwolennikiem dyskretnych działań i delikatnych sankcji. Ratzinger stanął po stronie Schönborna, ale papież przychylił się do zdania Sodano. Groërowi nie wytoczono procesu, nie nałożono nań kar, nie przeprowadzono nawet postępowania wstępnego. Poproszono go jedynie o rezygnację z pełnionych funkcji i wyjazd, na jakiś czas, z kraju.

„Wygrała druga partia” – powiedział kard. Ratzinger, prefekt Kongregacji Nauki. Partia niezwykle silna – zarówno wtedy, gdy rządziła, jak i wtedy, gdy przeszła do opozycji.

Z Piemontu w świat

Angelo Sodano urodził się w 1927 r. w Isola d'Asti (Piemont). Po skończeniu diecezjalnego seminarium zdobył dyplom z prawa kanonicznego, uczył kilka lat kleryków, po czym został wysłany do Papieskiej Akademii Kościelnej w Rzymie, kuźni watykańskich dyplomatów. Szlify zdobywał w nuncjaturach Ameryki Łacińskiej (Ekwador, Urugwaj, Chile) oraz w Sekretariacie Stanu, gdzie zajmował się państwami bloku wschodniego (Węgry, Rumunia, NRD). W 1977 r. Paweł VI wyświęcił go na biskupa i mianował nuncjuszem w Chile.

Placówką dyplomatyczną kierował przez dziesięć lat, zaskarbiając sobie przyjaźń Augusta Pinocheta, któremu nieraz udzielał wsparcia (nawet po upadku dyktatury – jako sekretarz stanu zapobiegł ekstradycji Pinocheta z Wielkiej Brytanii do Hiszpanii, gdzie chciano postawić go przed sądem). Jako nuncjusz organizował pokojowe mediacje pomiędzy Chile

→ a Argentyną, toczącymi wojnę o Kanał Beagle. Traktat pokojowy, podpisany w Watykanie, do dziś jest podawany jako przykład skuteczności watykańskiej dyplomacji za Jana Pawła II.

W 1987 r. przygotowywał papieską pielgrzymkę do Chile. Pokazanie się Jana Pawła II z dyktatorem na balkonie nuncjatury było jego pomysłem – jak mówił mi jeden z naocznych świadków, Sodano doprowadził do tego podstępem, nie informując papieża, że w miejscu, skąd miał pozdrowić tłum, czeka na niego prezydent.

Dyplomatyczne i organizacyjne zdolności, jak również antykomunistyczne przekonania, zostały docenione: rok później ściągnięto go do Watykanu i powierzono szefostwo nad Radą Spraw Publicznych (potem przemianowaną na Sekretariat ds. Relacji z Państwami), co można porównać z wręczeniem teki ministra spraw zagranicznych. W czerwcu 1991 r., po odejściu na emeryturę Agostina Casarolego, Angelo Sodano został kardynałem i sekretarzem stanu.

Układ sił

Jeśli chwalimy – szczególnie dziś – Jana Pawła II za zdecydowaną postawę podczas wojen, musimy pamiętać, że klawrowne stanowisko Watykanu, wyrażające troskę o pokój, ale dalekie od utopijnego pacyfizmu, było wspólną zasługą papieża i sekretarza stanu. Głos Stolicy Apostolskiej brzmiał jednoznacznie – czy to w przypadku krytyki amerykańskiej interwencji w Iraku, czy aprobaty dla humanitarnej interwencji NATO na Bałkanach, w której widziano ostatnią szansę zatrzymania ludobójstwa.

Czas rządów Sodano to także stopniowe przejmowanie władzy od coraz bardziej chorego papieża. Prawdą jest, że Jan Paweł II także wcześniej na to pozwalał, zostawiając kierowanie urzędem innym i koncentrując się na swojej „misji wyjścia do świata”. Wojtyła od początku traktował kurię jako odrębny mechanizm, który lepiej lub gorzej, ale jednak działa. „Ciekawe, jak oni sobie z tym poradzą?” – zastanawiał się podczas kolacji z przyjaciółmi, gdy wybuchła afera Banco Ambrosiano, a Watykanowi groziło bankructwo. Za to, co się dzieje, nie czuł się odpowiedzialny.

W drugiej połowie pontyfikatu widać to było jeszcze wyraźniej. Stery Kościoła przejął „apartament”, który tworzyli naj-

„Jesteśmy nieprzygotowani.

Musimy dłużej się zastanowić.

Nawet jeśli oskarżenia
zostaną udowodnione, dobro
Kościoła nie może zginąć”
– mówił kard. Angelo Sodano
o sprawie księdza-gwałciiciela
Marciała Maciela.

bliżsi współpracownicy papieża: Stanisław Dziwisz – osobisty sekretarz, Mieczysław Mokrzycki – drugi sekretarz (dziś arcybiskup Lwowa), kardynałowie Camillo Ruini, Giovanni Battista Re oraz – najbardziej z nich doświadczony i wpływowy – kard. Angelo Sodano. Luigi Accattoli, watykanista „Corriere della Sera”, opowiadał mi, że pod koniec życia Jana Pawła II w Watykanie mówiono wręcz o triumwiracie (Wojtyła–Sodano–Dziwisz), który decydował o najważniejszych sprawach w Kościele i podejmował decyzje personalne. Biorąc pod uwagę, że papieski sekretarz i sekretarz stanu nie darzyli się zaufaniem, ich „współrzędzenie” nie opierało się na współpracy: jeden i drugi prowadzili własną grę, jeden przed drugim ukrywał swe zamiary. Ten układ sił zaciążył na wizerunku Watykanu i sprzyjał powstawaniu afer – finansowych, obyczajowych i kryminalnych. Oraz ich ukrywaniu.

Nieprzygotowani

Sprawa Groera nie była jedyną aferą wyciszoną przez kard. Sodano, który za wszelką cenę chciał unikać skandali, zwłaszcza gdy oskarżenia dotyczyły osób na wysokich stanowiskach lub cieszących się szczególnym autorytetem. Najbardziej znanym przykładem jest historia Marciała Maciela, założyciela Legionistów Chrystusa, drapieżcy seksualnego, seryjnego gwałciiciela, hojnego sponsora wielu papieskich inicjatyw i fundatora licznych, całkiem prywatnych fortun w Watykanie.

Skargi na niego napływały do Rzymu już w latach 40., ale wiele osób затroszczyło się, by nigdy nie ujrzały światła dziennego. Sprawa nabrała rozgłosu pod koniec XX wieku, gdy skalę przestępstw Maciela opisał włoski tygodnik

„L'Espresso”. Luigi Accattoli pamięta, że gdy w 1999 r. przeprowadzał wywiad z kard. Sodano na temat wojny w Bośni, sekretarz stanu zapytał go o wiarygodność doniesień na temat meksykańskiego duchownego. Wątpliwe, by sam jej nie mógł ocenić – dowody przestępstw od dawna gromadzone były w Watykanie. Najpewniej chciał wysondować, jaki będzie oddźwięk najnowszych publikacji.

Gdy dziennikarz zapewnił, że dobrze zna autora tekstu i jest przekonany o jego rzetelności, Sodano zapytał, co w takim razie należy zrobić. Accattoli wołał nie udzielać żadnych rad, odpowiedział więc krótko: „Nie wiem”. Sekretarz stanu powiedział wtedy: „My też nie wiemy. Jesteśmy nieprzygotowani. Będziemy musieli dłużej się nad tym zastanowić. I uważać, aby nie wylać dziecka z kąpielą. Nawet jeśli wszystkie oskarżenia zostaną udowodnione, dzieło, które stworzył Maciel i które przyniosło tyle dobra Kościołowi, nie może zginąć”.

Dobro Kościoła było dla niego ważniejsze niż wyrządzone krzywdy. Nad rozwiązaniem sprawy Watykan zastanawiał się więc kolejnych kilka lat. W tym czasie założyciel Legionistów Chrystusa świętował 60. rocznicę święceń: został przyjęty na specjalnej audiencji przez Jana Pawła II, uroczystą mszę jubileuszową odprawiał z nim kard. Sodano i inni kardynałowie z kurii. Dopiero w 2006 r. Benedykt XVI zakazał Macielowi pełnienia urzędów publicznych i zobowiązał go do „życia w modlitwie i pokucie”. Ale zgodził się, by odstąpiono od procesu kanonicznego „z uwagi na stan zdrowia oskarżonego”. Pomimo dowodów, które sam wcześniej, jako prefekt Kongregacji Nauki Wiary, nakazał zebrać.

Niemila niespodzianka

Wraz ze zmianą papieża pracę tracą szefowie kurialnych urzędów. 2 kwietnia 2005 r., w dniu śmierci Jana Pawła II, kard. Angelo Sodano zakończył 14-letni okres rządów w Sekretariacie Stanu. Miał 78 lat.

Peter Seewald, biograf Josepha Ratzingera, pisze, że podczas konklawe, które wybrało Benedykta XVI, pozycja byłego sekretarza stanu była słaba – w dwóch pierwszych głosowaniach jego nazwisko wskazało 4 kardynałów. Zauważa też, że wybór Ratzingera uznano w sekretariacie stanu za „niemiłą niespodziankę”. Biorąc pod uwagę różnicę zdań i stylów pracy Sodano i Ratzingera, mało kto się

spodziewał, że Włoch po raz drugi obejmie najważniejsze w kurii stanowisko.

Decyzja Benedykta XVI, by pozostawić go na czele Sekretariatu Stanu, była zaskoczeniem. Tłumaczono ją nieporadnością nowego papieża w podejmowaniu personalnych decyzji: Ratzinger doceniał zalety intelektu ewentualnych kandydatów, ale nie zwracał uwagi na ich kompetencje ani tym bardziej wady. Wolał zostawić urządzenie kurii doświadczonemu i prowadzącemu od lat politykę personalną Sodano. Dopiero rok później poprosił go o rezygnację „ze względu na podeszły wiek”, mianując sekretarzem stanu swojego bliskiego współpracownika z Kongregacji Nauki Wiary, kard. Tarcisia Bertonego.

Sodano nie potrafił się z tym pogodzić: demonstracyjnie odmówił oddania mieszkania i biura swojemu następcy (który, *nota bene*, szybko sobie tę stratę powetował, wydając 400 tys. euro z kasy watykańskiego szpitala na remont wybranego dla siebie apartamentu). Nie ustawał też w podważaniu kompetencji nowego sekretarza, co nie było specjalnie trudne: Bertone rzeczywiście nie nadawał się do tej funkcji, nie miał żadnego doświadczenia w dyplomacji, a w dodatku zaniedbywał swoje obowiązki z powodu częstych wyjazdów. I marnotrawił watykańskie pieniądze. Jednak Benedykt XVI bronił go i zatrzymał na stanowisku aż do swojej abdykacji. „Gdybyście wiedzieli, co wyrabiał Sodano, nie krytykowalibyście Bertonego” – odpowiadał na krytyki.

Czarny charakter

W 2005 r. Angelo Sodano został wybrany dziekanem kolegium kardynalskiego. Ta honorowa funkcja pozwoliła mu po odejściu z sekretariatu stanu zachować wpływ na pracę kurii i pozostać w Watykanie. A jako że cieszył się opinią wszechwładnego mistrza intryg, można było oskarżać go o wszystko i obarczać winą za każdy grzech, bez względu na to, czy go popełnił, czy nie – wystarczyło samo przekonanie, że mógł.

Mówiono, że to on okłamał papieża Franciszka, zapewniając o niewinności chilijskiego biskupa Juana Barros, którego oskarżano o tuszowanie przestępstw innego charyzmatycznego dewianta, ks. Ferdinanda Karadimy. Skończyło się dymisją chilijskiego episkopatu, którego członkowie w ogromnej więk-

szości zawdzięczali swą karierę Sodano – nuncjuszowi w ich kraju i sekretarzowi stanu.

Sugerowano, że inwigilował kardynałów, a nawet samego Benedykta XVI. Gdy w 2012 r. do mediów wyciekły tajne dokumenty Watykanu, w tym również prywatna korespondencja papieża, oskarżony o ich wyniesienie papieski kamerdyner Paolo Gabriele przyznał, że od lat sporządzał po dwie kopie każdego dokumentu – jedną dla siebie (te trafiły później do mediów), a drugą dla „innych osób”. Dziennikarze opisujący aferę VatiLeaks podejrzewali, że wśród zleceniodawców kradzieży dokumentów był kard. Sodano i jego bliscy współpracownicy. W czasie procesu wątek ten jednak pominięto, zakładając z góry, że kamerdyner działał sam, powodowany chorobliwą manią ratowania papieżstwa i Kościoła.

Szeptano o jego homoseksualizmie. Frédéric Martel wyjawiał, że „kard. La Mongolfiera”, z jego książki „Sodoma”, patron homoseksualnego lobby w Watykanie, to sekretarz stanu Angelo Sodano. Martel nie jest wiarygodnym źródłem i nie byłby wart cytowania, gdyby informacji z jego książki nie potwierdził (choć bez nazwisk) Peter Seewald, a ponieważ i sam papież-emeryt, mówiąc w biografii, że informacje o homoseksualnych schadzках, organizowanych przez ludzi z kurii w podmiejskiej willi albo rzymskiej saunie, zszokowały go, ale nie były powodem abdykacji (raport na ten temat otrzymał na dwa miesiące przed rezygnacją z urzędu; sporządziła go powołana przez papieża trzyosobowa komisja kardynałów, która badała aferę VatiLeaks i inne nadużycia w watykańskiej kurii).

Na odpowiedzialność sekretarza stanu za wszystkie grzechy kurii wielokrotnie wskazywał też kard. Stanisław Dziwisz, broniąc w ten sposób dobrego imienia Jana Pawła II. Gdy w 2018 r. pytałem go o milczenie papieża na temat afer seksualnych, emerytowany metropolita krakowski przekonywał, że wszystkie informacje o nadużyciach kierowane były do kompetentnych kongregacji, a nad dalszym ich losem czuwał Sodano. On też miał odpowiadać za decyzje personalne, w tym niefortunne nominacje biskupie i kardynalskie. Swoją rolę Dziwisz widział skromną: nie pełnił w Watykanie żadnej oficjalnej funkcji, nie ponosi więc żadnej odpowiedzialności – był prostym sekretarzem, pilnującym papieskiego

grafiku spotkań. Na szczęście wspomnienia innych osób, jak również ujawnione dwa lata temu dokumenty na temat ekskardynała McCarricka, przywracają roli osobistego sekretarza właściwe proporcje – wynika z nich, że wsparcie „trzeciego triumwira” również bywało kluczem do kariery dla zdemoralizowanych księży i biskupów.

Koniec epoki

Głównym zadaniem, jakie w 2013 r. kardynałowie postawili przed nowym papieżem, była reforma kurii rzymskiej. Nikt nie miał wątpliwości, że będzie to oznaczało starcie z potężnym kardynałem Sodano, który stał się symbolem „starej kurii”. Franciszkom przytyki na temat biurokracji, korupcji, koterii i lizusostwa emerytowany sekretarz traktował bardzo osobiście. Odwdzięczał się krytyką każdego posunięcia papieża – od jego przeprowadzki do Domu św. Marty, poprzez decyzje personalne, po reformę prawa kanonicznego i zmiany strukturalne. Torpedował też prace nad nową konstytucją – już nie osobiście, ale poprzez swoich stronników, których nie brakowało, a którzy w nieskończoność przeciągali konsultacje i zgłaszanie poprawek, co sprawiło, że przygotowanie dokumentu trwało dziewięć lat.

Franciszek tolerował ten stan, próbując od czasu do czasu przemówić do sumień kurialistów i zachęcając ich do duchowej przemiany, a także wymieniając sukcesywnie szefów najważniejszych urzędów i obsadzając je ludźmi niezwiązanymi wcześniej z papieskim dworem, często wywodzącymi się z zakonów, głównie jezuitów, do których miał większe zaufanie. Z każdą taką zmianą opozycja traciła ludzi i siły.

Pod koniec 2019 r. papież zmienił przepisy regulujące prace kolegium kardynalskiego, wprowadzając kadencyjność dziekana – funkcji sprawowanej dotąd dożywotnio. 92-letni Angelo Sodano, po 60 latach pracy dla Stolicy Apostolskiej, stracił swój ostatni przyczółek. Luis Badilla, chilijski dysydent i watykanista, znający dobrze byłego nuncjusza z Santiago, powiedział mi wtedy: „To koniec stylu prowadzenia Kościoła, który powinien zostać wykorzeniony na zawsze”.

Angelo Sodano zmarł 27 maja 2022 r., na tydzień przed wejściem w życie nowej konstytucji, reformującej kurie rzymską.

© P EDWARD AUGUSTYN

Pod tym dachem nie ma wrogów

O. PAWEŁ KRUPA, DOMINIKANIN:

Łatwo pomyśleć: „Ruscy”. Przyjąć, że to są potwory (może oprócz paru moich przyjaciół). Czuję, że taka atmosfera mnie otacza, próbuje mnie wciągnąć.

MACIEJ MÜLLER: Możemy bezpiecznie rozmawiać?

PAWEŁ KRUPA OP: Nie wiem, czy akurat teraz ktoś nas słucha, wiem natomiast, że czytane są moje teksty czy wywiady publikowane w Polsce. Ten zapewne też będzie przeczytany.

Jak Ojciec się czuje jako Polak w Rosji?

W mediach regularnie słyszę, że Polska jest państwem wrogim, że działa przeciw Rosji, że Polacy to rusofobi itd. Ale w relacjach z ludźmi nigdy nie usłyszałem nic podobnego, także od tych, którzy popierają „operację wojskową”. Jasne, boję się, że to, co płynie z telewizji, w końcu może skłonić kogoś do agresji – ale dotychczas nikt mi nie wspominał, że jestem Polakiem.

Nie wolałby Ojciec wrócić do kraju?

Nie, choć czasem takie myśli przychożą do głowy. Mieszkam w Petersburgu od trzech lat, a od ponad półtora roku mam pozwolenie na czasowy pobyt. 5 kwietnia złożyłem podanie o pobyt stały – to pozwala oficjalnie być proboszczem, ułatwia podróżowanie itp. Zastanawiałem się, czy mnie odeślą z kwitkiem, czy pomyślą, że wariat – bo wszyscy chcieliby w drugą stronę, a ten z własnej woli zostaje? Ale dokumenty przyjęto bez mrugnięcia okiem. Czekam na decyzję.

Czy po 24 lutego coś znacząco jakościowo zmieniło się w życiu wspólnoty?

Tak, jeden z naszych braci postanowił wrócić do Polski. W pierwszych dniach wojny usiedliśmy i szczerze, po bratersku podzieliliśmy się obawami i zamierzeniami. I jeden z nas powiedział, że wyjeżdża. Nikt nie ma o to do niego pretensji. Zostało nas pięciu, w tym jeden brat Rosjanin. Nasz zakon jest tu od 30 lat, kiedy kościół św. Katarzyny został otwarty z powrotem dla kultu. Wcześniej dominikanie służyli w nim od 1815 r. aż do rewolucji październikowej. Pomimo zmieniających się warunków nikt nas nie wygania. Nie chcę popadać w jakiś patos. Po prostu jesteśmy, ciągniemy to, co robiliśmy dotychczas, żadnego bohaterstwa w tym nie ma.

A relacje z tym bratem Rosjaninem się skomplikowały?

Jesteśmy ciekawą wspólnotą. Czterech Polaków i jeden Rosjanin. Każdy ma spory bagaż doświadczeń, bo większość z nas zbliża się do sześćdziesiątki. Polacy i Rosjanin na „operację wojskową” poglądy mają różne – to mogło sprawić, że okropnie się potniemy, ale tak się nie stało. Nie rozmawiamy o wojnie, nie przekonujemy się wzajemnie, nie kłócimy – czasem wymienimy jakiś komentarz. Nikt się nie umawiał, zadziałaliśmy intuicyjnie. Za to czuję, że jest w nas jakby więcej solidarności w pracy, w modlitwie, w pomaganiu sobie nawzajem, jakbyśmy starali się być dla siebie lepsi, łagodniejsi, bardziej wyrozumiali. W końcu i my, i on myślimy o tym, co się dzieje, z podobnym niepokojem. Patrząc na te nasze starania ze wzruszeniem i myślę, że jako wspólnota braci zdajemy ten trudny egzamin, jak do tej pory, całkiem poprawnie.

A w parafii?

To najstarsza parafia katolicka w Rosji. Kościół powstał za zgodą i błogosławieństwem carcy Katarzyny Wielkiej. Leży w samym centrum Petersburga, to ważne miejsce na mapie miasta. Przed pandemią na mszach niedzielnych zbierało się ok. tysiąca osób, więc całkiem sporo. Nie wszyscy jednak wrócili, a wojna też w tym na pewno nie pomaga. Choć z drugiej strony pojawiają się tacy, którzy chcą się wypowiadać po bardzo długiej przerwie albo pytają o chrzest dla dzieci.

Przed ołtarzem spotykają się ludzie o przeciwnych poglądach na wojnę

i w ogóle na politykę. Dla nas, jako duszpasterzy, to trudne wyzwanie. Musimy mimo wszystko zaproponować jakąś platformę jedności. Przecież oni klęczą przed tym samym ołtarzem, wspólnie podchodzą do komunii, mówią „Ojcze nasz”. Z drugiej strony jako kaznodzieje musimy być ostrożni, żeby nie narażać siebie ani parafian. Katolicyzm jest w Rosji wyznaniem mniejszościowym, więc jako księża i nie-Rosjanie staramy się być delikatni, bardziej uczyć się, niż nauczać. To skłania do pokory, zwłaszcza przybywszy z Polski. Cieszę się, że pracowałem wcześniej we Francji i Włoszech, bo to mnie oczyściło z nie najlepszych naleciałości polskiego, pewnego siebie stylu duszpasterstwa. I to dobrze tutaj działa.

Czyli uważa Ojciec na słowa?

Jak wiadomo, za samo użycie słowa „wojna” grozi odpowiedzialność karna. Ale jeśli naprawdę nie da się go obejść, to je wypowiadam. Uważam, że rzeczy należy nazywać po imieniu, inaczej znajdziemy się w jakimś matriksie.

No dobrze, więc mamy przed ołtarzem człowieka, który popiera linię władz, i kogoś, kto przeciw „akcji specjalnej” protestował na ulicach. Naprawdę można wskazać im jakieś wspólne wartości?

Chyba jedyne, co możemy zaproponować, to żeby oni patrzyli na siebie jak na ludzi. Jak tylko podnieśmy wzrok wyżej, na widzenie świata, polityki, społeczeństwa, to natychmiast zaczynamy się rozchodzić. Więc niech do spotkania dochodzi na najbardziej podstawowym poziomie. Ten, kto stoi obok mnie, to człowiek, mój brat, który tu przyszedł, bo potrzebuje Chrystusa. Tak jak ja.

Kilka dni temu przed mszą jedna z parafianek, starsza pani, aktywnie broniąca demokracji (jej rodzina bardzo cierpiała w poprzednim systemie), rozpoznała w mężczyźnie, który wszedł do kościoła, czynnego funkcjonariusza FSB, którego spotkała wcześniej w niezbyt miłych okolicznościach. Podeszła do niego i powiedziała: „Jak miło pana tutaj widzieć, przyszedł się pan z nami pomodlić?”. Spłoszony człowiek nie został na mszy, ale zanim opuścił kościół, ukląkł, spędził tak dłuższą chwilę, a wychodząc, wrzucił do skrzynki ofiarę na biednych. Opowiedziano mi o tym zjściu na wpół z rozbawieniem, na wpół ze zdziwieniem.



O. PAWEŁ KRUPA (ur. 1965) jest dominikaninem, teologiem i mediewistą. Studiował w Krakowie, Paryżu i Rzymie, potem był m.in. dyrektorem Instytutu Tomistycznego. Od sierpnia 2021 r. jest przełożonym domu zakonnego w Petersburgu.

I rzeczywiście: być może przyszedł, żeby podsłuchać kazanie, ale właściwie dla czego by nie miał przyjść, żeby się pomodlić i złożyć ofiarę? Pamiętam z czasów komuny „Pieśń o śnie” Gintrowskiego i Kaczmarek o kraju, „gdzie lajdak pokaja się szczerze / gdzie złodziej odda swój łup / gdzie ktoś, zanim powie »nie wierzę«, / świętemu upadnie do stóp”. Śpiewaliśmy ją z nadzieją, że to jest możliwe.

Kiedy papież wezwał do zawierzenia Rosji i Ukrainy Niepokalanemu Sercu Maryi, 25 marca w kazaniu powiedziałem tak: „Wiem, że niektórzy z was chcieliby krzyknąć: »za Putina!«. A inni: »Precz!«. Jesteście tutaj, jedni i drudzy. Pamiętajcie, że pod tym dachem nie ma wrogów, tylko bracia i siostry. I mam nadzieję, że ten dach będzie się wciąż rozszerzał nad nami, na nasze miasto i kraj”.

Jak w ogóle w tych realiach głosić wiarę? Wiele tematów na ogół poruszanych w kazaniach wydaje się dzisiaj frazesami oderwanymi od rzeczywistości.

Nie przypominam sobie, żebym w życiu tak bardzo cierpiał z powodu Ewangelii. Najpierw był ból, kiedy czytałem katolickich publicystów dowodzących, że nie może być teraz mowy o miłosierdziu, przebaczeniu, że to sprawa Pana Boga, a nie nasza, bo my będziemy sądzić. Z drugiej strony był papież Franciszek, który mówił o miłości, przebaczeniu i nie chciał wskazywać Putina po imieniu jako winowajcy. Protestowano, że przecież on powinien „stać na czele...”. Ale właściwie czego? Bo przecież w tej wojnie nie ma hufców anielskich i diabelskich. Choć chrześcijanie lu-

bia tak to sobie czasem wyobrażać: na Wawelu jest obraz Tomasza Dolabelli przedstawiający bitwę pod Lepanto, na którym statkami tureckimi sterują diabły. Tak będzie może w tej ostatecznej, apokaliptycznej wojnie, ale na razie mamy wojnę z ludźmi, z całym ich dobrem i złem. Słucham więc tej publicystyki, a potem czytam w Ewangelii: „bądźcie miłosierni jak Ojciec wasz jest miłosierny”, „kochajcie się, jak Ja was ukochałem”. Przecież tego nikt w ogóle nie słucha. Świat się nie przemienił. Od trzydziestu lat głoszę te słowa, razem ze mną tysiące innych księży, a świat ma je „w poważaniu”.

Potem przychodzi jeszcze silniejszy ból: bo ja sam przecież, na litość Boską, czuję, jak trudno jest kochać tych ludzi. Łatwo pomyśleć: „Ruscy”. Przyjść, że to są świny i potwory, może oprócz paru moich przyjaciół. A czuję, że taka atmosfera mnie otacza, próbuje mnie wciągnąć. A ja ich kocham, ba, uważam, że tego być może najbardziej potrzebują.

Na początku marca słyszałem kazanie o tym, że Jezus polecił modlić się za nieprzyjaciół i nie wskazał żadnych wyjątków, więc dotyczy to nawet zbrodniarzy. Ale potem była Bucza. I tamte słowa wydały się z innego świata.

Zmusza mnie pan do użycia słów, których chciałem uniknąć, bo są wyświechtane. Przeżywamy czas jakiegoś nieprawdopodobnego oczyszczenia, właściwie ogołocenia. Po pierwsze, czujemy, że Ewangelia jest strasznie trudna, po drugie, że jesteśmy wobec niej bezbronni. Myślimy ją ubrali w tradycje, święta, poświęcenia,

odpusty, procesje, w dobre uczynki: ustąpić staruszcze w tramwaju, nie płuć na kolegów. I nagle ona okazuje się czymś takim, że głowa boli od samego myślenia. Kochać swoich nieprzyjaciół to straszne wyzwanie. W książce „Mąż z Nazaretu” autorstwa Szaloma Asza, polskiego Żyda, pisarza jidysz, jest scena, w której Jezus idzie w okolice Tyru i Sydonu. W tych portach produkowano słynną purpurę, a do jej barwienia używano żrących substancji, czym zajmowały się dzieci-niewolnicy. Kwasy wyżerały im ciało, bito je i głodzono. Jezus zobaczył, jak ktoś katuje takie dziecko. Apostołowie spodziewali się, że zaraz spuści grom. Ale On w płaczu wołał do nieba: „Ojcie, zmiłuj się”. Asz pisał to w początkach XX wieku, nie mógł wiedzieć, że nadciągają dwie wojny światowe. Opisywał Jezusa jako człowieka, ale tak bardzo ludzkiego, że w tym człowieczeństwie staje się boski.

Nie chcę robić ze swojego życia literatury. Ale jest we mnie jakaś przeszkoda, która mi nie pozwala odebrać człowiekowi człowieczeństwa, nawet kiedy on sam je sobie odbiera. Ktoś powie: bo to nie twoje dziecko zgwałcili żołnierze. To prawda, spotykałem się ze złem, ale nigdy aż takim. I oczywiście tak jak wszyscy odczuwam nienawiść i wściekłość, czasem bardzo mocno. Mimo to coś nie pozwala mi odczłowieczyć ludzkiego potwora do końca.

Może dla chrześcijanina ostatnią barierą będzie to, że nawet mordercy dzieci nie będzie życzył potępienia?

Odetchnijmy na moment. Jestem kierowcą. Prowadzenie samochodu wzbudza we mnie masę negatywnych emocji. Zasadniczo nie lubię grubych słów i nawet jak jestem sam, to ściszę głos, gdy przeklinam. W końcu jednak stwierdziłem, że to nie licuje: jedzie zakonnik i wysyła ludzi do diabła. Więc kiedy ktoś wymusi pierwszeństwo albo zajędzie mi drogę, mówię Bogu: „Boże błogosław go, bo ja bym mu nogi z d... powyrywał!”. Daję upust wściekłości, informuję Boga, ➔

→ co bym najchętniej zrobił, ale to Jemu powierzam działanie w tej sytuacji.

Myślę, że to może być namiastka postawy wobec tragedii, którą dzisiaj obserwujemy. Mam prawo wykrzyknąć moją nienawiść, poczucie krzywdy, żal; nie mogę udawać, że ten koszmar się nie dzieje. Wielu myśli, że chrześcijaństwo zakazuje odczuwania nienawiści. Nie może zakazać odczuwania, bo to naturalne, to ludzka reakcja na krzywdę, którą komuś zrobiono. Ewangelia wzywa: poślij w to Boga. Nie bądź w tym sam, oddaj to Jemu, zrzuć na Niego. On się nie załamie. On coś z tym zrobi.

Tu ważna uwaga. Otóż to nie działa jak automat: mnie nienawiść – Bogu miłosierdziu. To ja muszę oddać mojego wroga Bożemu miłosierdziu, inaczej nie idę drogą Ewangelii. Trochę jak Jurand ze Spychowa, który z wylupionymi oczami i wyrwanym językiem, świadom, co zrobiono jego córce, przecina więzy swojego krzyżackiego kata i wypuszcza go na wolność. Sienkiewicz chyba czuł, że tę scenę będzie trudno czytelnikom znieść, dlatego Krzyżak dręczony wyrzutami sumienia wiesza się na przydrożnym drzewie. Możemy odetchnąć z ulgą. Jednak Jurand, kiedy zwracał wolność wrogowi, nie wiedział, jaki ten zgotuje sobie koniec. I jeszcze jedno: fakt, że mnie osobiście nie zadano krzywdy, nie zwalnia mnie z ewangelicznego wymogu miłosierdzia, bo i ja, choć bezpośrednio zło mnie nie dotyka, mogę czuć nienawiść i chęć zemsty wobec wrogów mojego narodu, religii czy rodziny.

Nie wydaje się Ojcu, że Bóg beczynnie patrzy na Ukrainę?

Miałem kiedyś taką *quasi*-mistyczną wizję. Objawienia prawdziwych proroków przekraczały ich poznanie, więc wyrażali je kategoriami, które znali – pisali o rydwanie ognia, przedziwnych zwierzętach. Ja miałem wizję na moją miarę. Zobaczyłem Boga w postaci sokowirówki. Wpadało w nią całe nasze życie, całe dzieje świata – dobre, złe, krwawe. W tej maszynie nożem czy tłokiem był Krzyż. W efekcie z jednej strony wylatywały wszystkie brudne odpady, a z drugiej płynęła strużka czystego soku. Coś takiego może zrobić tylko Krzyż Chrystusa. Uprowadzając pytanie: nie mam pojęcia, jaki czysty sok wydobędzie Bóg ze śmierci niewinnych dzieci. Wspominam dzisiaj tę wizję, szukając jakiejś

nadziei. Mówiąc wprost, mam nadzieję – choć po ludzku to wydaje się niemożliwe – że Bóg temu podoła, że oddzieli zło, wyrzuci je, unicestwi i – tu dopiero jest cud największy i przekraczający moją wyobraźnię – wydobędzie z tego wszystkiego dobro.

Oczywiście tu na ziemi powinno dojść do osądzenia zbrodniarzy. Ale sąd nad mordercą nie zwróci życia zabitemu i tylko częściowo ulży tym, którzy stracili bliskiego. Sąd nad mordercą nie odbuduje dobra. Wierzę, że w Bogu to właśnie się dokonuje. I wierzę, że możemy mieć w tym nasz skromny udział.

Rosyjska hierarchia prawosławna doszła do wniosku, że Ewangelia pozwala błogosławić bomby.

To, że ktoś ma mitrę i kościelny urząd, nie stanowi gwarancji, że wie, o co chodzi w wierze. Włodzimierz Sołowjow, wybitny filozof końca XIX wieku, napisał „Krótką opowieść o Antychryście”. Ów Antychryst obiecuje stworzenie takiego Kościoła, w którym każdy z odłamów otrzyma to, co dla niego najważniejsze: katolicy prawo kanoniczne, protestanci Pismo Święte, a prawosławni liturgię. Idą za nim tłumy, nieliczni zostają jednak przy trzech hierarchach: patriarche prawosławnym, papieżu i biskupie luterskim. Zapytani, dlaczego nie poszli, ci trzej odpowiadają: bo dla nas najważniejszy jest Chrystus.

Dzisiaj coraz częściej myślę, że to raczej „góra” może jako pierwsza pobiec za Antychrystem, który obieca złote góry, przywileje, wolność i ewentualnie pieniądze na głodujących. Podobno kardynał Wyszyński uprzedzał księży, by kierowali się własnym sumieniem, bo może przyjść taki czas, że otrzymają od biskupa polecenie, które nie będzie chrześcijańskie. Ale pamiętajmy, że wśród prawosławnych są różne postawy; czasem na YouTube słucham takich, którzy krytycznie patrzą na to, co się dzieje. Szkoda, że są w mniejszości.

Na te wszystkie sprawy Zachód, także Polska, musi patrzeć z właściwej perspektywy. Dopóki nie zrozumiemy, że w Rosji mamy do czynienia z pewną specyficzną mentalnością, nasze działania wobec niej będą chybione. Oni mogą nie mieć Facebooka, Netflixa, jeść ziemniaki z kaszą gryczaną i wciąż zachowują silną świadomość, że bronią swojej ojczyzny oraz imperium.

Tylko czy twierdzenie o istnieniu specyficznej rosyjskiej mentalności to nie jest perspektywa, do której chce nas przekonać rosyjska propaganda? Czy to nie usprawiedliwia napadu na Ukrainę?

Wielokrotnie, kiedy mówię o tym, że Rosjan trzeba zrozumieć, słyszę zarzut, że w ten sposób usprawiedliwiam ich postępowanie. Nic podobnego! Po prostu stwierdzam, że nie znamy i nie rozumiemy tych ludzi, ich historii, kultury i właśnie tego, co nazywa się mentalnością, a co jest wynikiem tak wielu czynników. I dlatego nasze relacje z nimi są prowadzone nieco na oślep, metodą prób i błędów.

Działacz katolicki w Petersburgu, dziś zapomniany, ks. Antoni Około-Kulak, który jeszcze przed I wojną światową prowadził szeroko zakrojoną akcję edukacyjną wśród robotników w Rosji, wydając między innymi w tysiącach egzemplarzy (po polsku, rosyjsku i łotewsku) czasopismo „Wiara i Życie”, kiedy został zmuszony do opuszczenia Rosji w 1918 r., niemal natychmiast założył w Lublinie Instytut Misyjny, który miał przygotowywać katolickich księży do pracy w Związku Radzieckim. W jednej ze swoich broszur, wydanej w 1932 r., utyskiwał: „I oto gdy inni się szykują, gdy uczą się rosyjskiego Belgowie, Francuzi, Niemcy i Czesi, gdy się tworzy w Belgii wschodni odłam benedyktynów, gdy dominikanie w Lille we Francji kształcą księży dla Rosji, gdy w Rzymie Papież stwarza specjalną Komisję dla spraw Rosji i założył Seminarium rosyjskie, w Polsce nie znaczą ruchu i zainteresowania się tym kierunkiem”. Wydaje mi się, że od tamtej pory tak naprawdę niewiele się zmieniło. Rosja nas nie interesuje, więc się jej nie uczymy. A potem nie możemy pojąć, dlaczego są inni niż my, i często traktujemy ich jak gorszą wersję nas samych. Zrozumieć nie znaczy zgodzić się, ale nawet żeby się nie zgodzić, trzeba rozumieć.

Są też Rosjanie, którzy protestowali.

Oczywiście, ale to mniejszość. Są tacy, którzy wyjeżdżają, tacy, którzy mówią: ja tego dłużej nie wytrzymam, i idą na wewnętrzną emigrację, są do tego przyzwyczajeni. Kiedy władza próbuje zmieniać podręczniki do historii w Polsce, to przynajmniej można krzyczeć. Tu się je po prostu zmienia.

Pamiętam, jak w 1980 r. poszedłem do liceum. To był czas Solidarności, eu-

foria, wszyscy profesorowie chodzili ze znaczkami w klapie. A potem przyszedł 13 grudnia, szkołę zamknęli na dwa tygodnie, a jak wróciliśmy, to nie było po tym wszystkim śladu. Zejdźmy więc z tego polskiego koturnu, bo nasze własne doświadczenia pozwalają nam zrozumieć, dlaczego Rosjanie się nie buntują. A w Polsce nie było 70 lat komunizmu z ciężkim, krwawym stalinizmem. Dramatem Rosji jest to, że w jej dziejach nigdy nie było czasu, żeby społeczeństwo wywalczyło sobie to, co na Zachodzie nazywamy demokracją. Państwa zachodnie szły do niej przez rewolucje i wojny domowe, aż do skutku. W Rosji nigdy się to nie udało do końca; w momentach największego chaosu zawsze pojawiał się zamordysta, który obiecywał: ja wam przyniosę spokój i comiesięczną wypłatę. Duża część mieszkańców Petersburga wspomina lata po rozpadzie ZSRR z trwogą. Bo była bieda, kartki, a na ulicach rządziły gangi. Wtedy pojawił się Putin i powiedział: będzie porządek, będą pensje. I dotrzymał słowa. Porządek jest tu ważniejszy niż wolność, imperium jest ważniejsze niż osobiste szczęście.

Powiedział już Ojciec, na czym polega jego nadzieja. A jakiej chwytają się ludzie, których Ojciec zna?

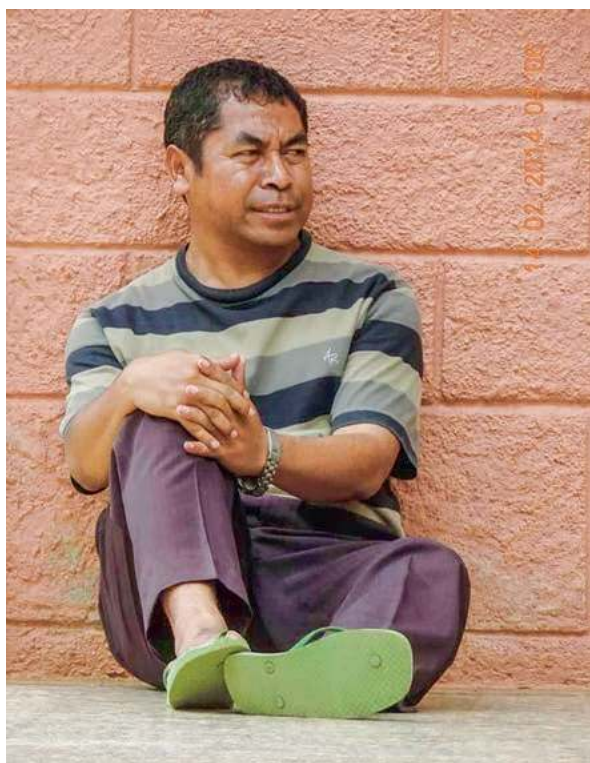
Najlepsza jest ta na przemianę systemową – nie wierzą w nią nawet niezależni dziennikarze. Rosjanie są mistrzami w relacjach międzyludzkich, ale jeśli chodzi o sprawy państwowe, to „car daleko, Bóg wysoko”. Gdzie tam nam ustroje zmieniać...

Wyraźne jest natomiast oczekiwanie zakończenia wojny. Jakiegokolwiek. To dramatyczne, nawet tragiczne oczekiwanie. Bo to, co się dzieje, jest po prostu straszne: rozdarcie wewnątrz narodu, niepokój o rodzinę – wielu Rosjan ma więzy krwi z Ukraińcami – niepokój o przyszłość.

U bliskich mi ludzi widzę zaś nadzieję, że ochronimy w sobie przyjaźń, solidarność i dobroć, że nie stracimy tego, co się w tym czasie zawiązało między nami. Kiedy wielka historia przewała się nad głowami, najważniejsze jest zachowanie poczucia: żebyśmy mogli ci ufać, żebyśmy mogli na ciebie liczyć.

© Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

ARCHIWUM PRYWATNE



Kardynał nominat Virgilio do Carmo da Silva z Timoru Wschodniego – fotografia z oficjalnej strony José Ramosa-Horty, prezydenta Timoru Wschodniego

Nominacje bez pytania

PIOTR SIKORA

Franciszek znów mianował kardynałami ludzi z kościelnych „peryferii”. Niekoniecznie jednak je w ten sposób dowartościowuje.

W OSTATNIĄ NIEDZIELĘ MAJA papież Franciszek ogłosił nazwiska 21 nowych kardynałów, z których 16 nie przekroczyło 80. roku życia, a zatem znajdują się w gronie elektorów posiadających głos na konklawe.

Nominacje kardynalskie wzbudzają zainteresowanie opinii publicznej właśnie dlatego, że to kardynałowie wybierają papieża. Owszem, posiadanie kapelusza kardynalskiego wiąże się z pewnymi uprawnieniami i ma symboliczne znaczenie dla Kościołów lokalnych, ale, jak pokazują przykłady, można być jedynym nieemerytowanym kardynałem w kraju i arcybiskupem stolicy, a mimo

to nie odgrywać pierwszoplanowej roli w życiu instytucji kościelnych.

Spojrzenie na peryferie

Nominacje, zwłaszcza kardynałów-elektorów, wpisują się w praktykę Franciszka – zwracania uwagi na „peryferie” katolicyzmu (przynajmniej dotychczasowe peryferie). Papież już wielokrotnie pomijał w swoim wyborze biskupów Kościołów „tradycyjnie” kardynalskich, mianując ordynariuszy mniejszych diecezji.

Tym razem postąpił podobnie, nawet wzmacniając swój przekaz. Wśród nominatów znalazł się na przykład administrator apostolski Mongolii, bp Giorgio Marengo (48 l.), którego wspólnota liczy niespełna półtora tysiąca wiernych. Innym, bardzo mocnym symbolicznym sygnałem jest fakt, że kapelusze kardynalskie otrzymał arcybiskup Anthony Poola z diecezji Hajdarabad w Indiach – pochodzący z kasty dalitów, czyli „niedotykanych”. Indie zyskają zresztą jeszcze jednego kardynała – to Filipe Neri António Sebastião do Rosário Ferrão, arcybiskup Goa i Damanu, dawnych kolonii portugalskich.

W ogóle najwięcej nominatów ma związki z Azją – kardynałami (wszyscy z prawem głosu na konklawe) będą jeszcze biskupi Singapuru i Timoru Wschodniego oraz prefekt Kongregacji →

→ ds. Duchowieństwa, Koreańczyk Lazarus You Heung-sik. Czterech elektorów to biskupi europejscy (dwóch pracuje w kurii rzymskiej), trzech jest z Ameryki Łacińskiej, dwóch z Afryki, jeden z USA.

Informacje, które można odnaleźć na temat kardynałów nominatów, układają się w dość spójny wzorzec biskupa, nadającego się – zdaniem Franciszka – do kolegium kardynalskiego. Powinien to być człowiek zaangażowany duszpastersko, zwłaszcza wśród osób marginalizowanych, jak na przykład Richard Kuuiia Bawobu z diecezji Wa w Ghanie, który rozwija i wspiera rozmaite formy opieki nad ludźmi z zaburzeniami psychicznymi – stygmatyzowanymi w miejscowej kulturze, albo jak William Goh Seng Chye – Chińczyk urodzony w Singapurze, zaangażowany w pomoc migrantom. Dobry kandydat na kardynała powinien także unikać wplątywania Kościoła w polityczne wojny kulturowe – jak biskup San Diego Robert McElroy, dystansujący się od wyrokowania, czy politykom dopuszczającym cywilne prawo do aborcji powinno się odmawiać komunii.

Kardynał z tradycji – kardynał z wyboru

Zwrócenie przez Franciszka uwagi na kościelne „peryferie” jest często kojarzone z ideą decentralizacji Kościoła. Tak też zwykle jest odczytywana polityka nominacji kardynalskich obecnego papieża. Sprawa jednak nie jest oczywista.

Przez wieki było tak, że niektóre stolice biskupie były tradycyjnie związane z pozycją kardynalską ich ordynariusza. Franciszek jednak, co obserwujemy już od dawna, zdecydował się przerwać tę tradycję – i powołuje do kolegium kardynalskiego biskupów z diecezji, w których kardynałów nigdy nie było – czasami z wyraźnym pominięciem dotychczasowych zwyczajów.

Jest tak i tym razem. Kardynałem został biskup diecezji Como, a nie arcybiskup pobliskiego Mediolanu. Albo: biskup San Diego, a nie Los Angeles. Decyzje tym bardziej znamienne, że Como wchodzi w skład kościelnej metropolii mediolańskiej, zaś San Diego – metropolii z Miasta Aniołów.

Struktura lokalnych metropolii kościelnych, w których arcybiskupi metropolici posiadają pewną władzę nad biskupami diecezji wchodzących w skład ich metropolii, ma starożytne pochodzenie. Franciszek, mianując kardynałami biskupów podległych metropolitom, a nie samych metropolitów, w pewien sposób zaburza jasną hierarchię w kościelnej strukturze.

Ktoś może powiedzieć, że to dobrze, iż papież wskazuje, by nie przywiązywać się do zastanych, uporządkowanych struktur. Z pewnego punktu widzenia jest w tym sporo racji. Jednak patrząc z takiej perspektywy, możemy stracić z oczu fakt, że owe lokalne struktury często odzwierciedlały rzeczywistą tkankę społeczną i były wyrazem życia kościelnego powstałego wła-

śnie na bazie miejscowych uwarunkowań, niezależnych od kościelnej centrali w Rzymie. Z tego punktu widzenia zonglowanie nominacjami kardynalskimi w sposób, który uwzględnia bardziej osobisty sposób patrzenia papieża niż lokalne tradycje, nie musi być przejawem decentralizacji, lecz przeciwnie – centralizmu opartego na woli biskupa Rzymu.

Problem ten staje się szczególnie wyraźny w przypadku nominacji kardynalskiej dla nigeryjskiego biskupa Petera Okpaleke. Był on bowiem bohaterem historii, w której papieska wizja Kościoła zderzyła się gwałtownie z wizją dalekiego od Rzymu, lokalnego afrykańskiego Kościoła. Otóż bp Okpaleke został w 2012 r. wyznaczony (jeszcze przez Benedykta XVI) na ordynariusza diecezji Ahiara. Spotkał się jednak z brakiem akceptacji miejscowej ludności i księży – powodem było inne pochodzenie etniczne – i nie wpuszczono go do diecezjalnej katedry. Konflikt trwał kilka lat, aż w 2017 r. Franciszek zagroził księżom suspensą, jeśli nie podporządkują się biskupowi. Ci nadal protestowali. Ostatecznie bp Okpaleke zrezygnował w roku 2018, a w 2020 r. papież mianował go biskupem nowo powstałej diecezji Ekwulobia.

Sytuacja w diecezji Ahiara miała wiele wymiarów, trudno jednoznacznie określić, kto miał rację – papież czy miejscowi katolicy. Jedno jest pewne – prawdziwość i zdanie miejscowego Kościoła odnośnie do tego, kto ma być jego biskupem, nie były długo brane pod uwagę przez Watykan. Zastanawiające – czy Franciszek myślał o ludziach z „peryferyjnej” diecezji Ahiara, gdy decydował, by uczynić kardynałem tak długo odrzućanego przez nich biskupa?

Decentralizacja instytucji o światowym zasięgu, jaką jest Kościół katolicki, wymaga silnych struktur pośrednich – pomiędzy Rzymem a małymi lokalnymi wspólnotami. Co więcej – wpływ na kształt owych struktur pośrednich powinny mieć także i „peryferie”. W tym względzie papieska polityka kardynalskich nominacji decentralizacji nie sprzyja. Owszem – stanowi mocny symboliczny wyraz ewangelicznej prawdy, że ważne jest to, co może wydawać się małe. Być może te dwie perspektywy mogłyby się spotkać – na przykład gdyby i „peryferie” miały wpływ na to, kto zostanie kardynalski kapelus.

W Sądzie Rejonowym w Przysusze pod sygn. akt I Ns 500/21 toczy się postępowanie z wniosku Namysłowskiej Spółdzielni Mieszkaniowej z siedzibą w Namysłowie o stwierdzenie nabycia spadku po Janinie Boraczyk, c. Michała i Józefy z d. Błach, zm. 19 sierpnia 2020 r. w miejscowości Gałki, gmina Gielniów, woj. mazowieckie i tam mającej ostatnie miejsce zwykłego pobytu.

Wzywa się spadkobierców ww. zmarłej, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Przysusze i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Sanoku Wydział I Cywilnym pod sygn. akt I Ns 116/22 toczy się postępowanie z wniosku Władysława Forsy o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie prawa własności nieruchomości położonej w Długiem, gm. Zarszyn, oznaczonej numerem ewidencyjnym 277 o powierzchni 0,7650 ha, dla której w Sądzie Rejonowym w Sanoku prowadzona jest księga wieczysta KS15/00034792/5.

Sąd wzywa osoby zainteresowane, a w szczególności Marię Burczyk c. Michała i Apolinii bądź jej spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły swój udział w sprawie i wykazały własność, gdyż w przeciwnym wypadku Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie udowodnione.

ZUZANNA

Radzik:

Prawdziwe ciało



ZBUDUJEMY TEN NOWY ŚWIAT RAZEM – mówił jeden z metadyrektorów, rozczając przed gośćmi ekscytującą, choć wciąż niekonkretną wizję metawersum. Nie rozumiem, po co nam ten świat, choć wizja uczenia się o starożytności

poprzez chodzenie po ulicach metastarożytnego Rzymu nawet przez moment mnie uwiodła. Czy świat rzeczywisty przynosi za mało ekscytacji i odpowiedzialności? Pytania z sali były zaś głównie o odpowiedzialność firmy za jego kształt i wpływ, potencjalną polityczną moc, bezpieczeństwo, moderację treści, z którą, jak wiemy, dziś w swoich produktach zmagają się firmy. Tydzień później okazało się, że awatar badaczki metawersum (wyglądający i mówiący jak kobieta) został zgwałcony przez inne awatary.

Ten sam dyrektor wyjaśniał już wcześniej, że „w świecie fizycznym, jak i w internecie, ludzie krzyczą, przeklinają i robią różne nieprzyjemne rzeczy, które nie są zabronione przez prawo, a także nękać i atakować ludzi w sposób, który jest zabroniony. Nie inaczej będzie w metawersum”. Innego świata nie będzie, w każdym razie lepszego. Zbudujemy w wirtualu taki sam, a może nawet gorszy, bo na razie nie wiadomo, według jakich będzie się rządził reguł. A ponieważ firma uciekła od ciągnącego się za nią smrodu w nową nazwę i nowy wielki projekt, to warto pamiętać, że budując wirtualny świat do zamieszkania dla nas wszystkich, może być równie niefrasobliwa i zdziwiona konsekwencjami.

Wiemy, że już na starcie jest w nowym świecie molestowanie. Oraz ta sama kpina, co w rzeczywistości – że histeria, że trzeba było włączyć ochronę osobistą (wirtualny świat posiada ponoć funkcję trzymania na dystans nieznajomych) i że jak można zgwałcić awatara, który ma tylko tułów. Sama badaczka zaznacza, że było to dezorientujące doświadczenie fizyczne, bo dotyk innego uczestnika stymuluje wibracje joysticka. Powtarzała sobie, że to nie jej prawdziwe ciało, ale doświadczenie naruszenia pozostało.

Nie jest to jedyne doniesienie o gwałcie. Inna użytkowniczka zraportowała gwałt zbiorowy przez 3-4 męskie awatary, który zdarzył się już w pierwszych 60 sekundach jej obecności na platformie. A poza tym lżenie i rasizm, o którym jeden z czarnoskórych użytkowników mówił, że wywołuje ten sam efekt, co w świecie rzeczywistym. Jak piszą autorzy raportu „Sum of Us”, biorąc pod uwagę, że platforma ma tylko 300 tys. użytkowników, zdumiewające jest, jak szybko wypełniła się niebezpiecznymi treściami. I ostrzegają, że bez regulacji będzie się stawać mrocznym i toksycznym otoczeniem.

Nie ignoruję wagi tej toksyny, ale nie wiem, czy nie bardziej zmartwiło mnie w tym raporcie, że firma jest na drodze do osiągnięcia monopolu także w tym obszarze, bo skupuje

rozwiązania techniczne i gry odnoszące sukcesy w dziedzinie wirtualnej rzeczywistości. Lada chwila nikt jej nie podskoczy. Zmartwiło też, że reakcje galek ocznych, których zapisy pozyska od użytkowników, to kolejne dane wrażliwe, którymi będzie można handlować. Odczytywać preferencje, stan zdrowia, wiek, uczucia, a potem zaprzęgać do sprzedawania nam produktów, ale również manipulowania wyborami. Jak metawiat wpłynie na nasze demokracje?

Toksyna, która sprawia, że awatar, który wygląda i brzmi jak kobieta, staje się w 60 sekund obiektem seksualnej przemocy, pochodzi z naszego, zupełnie niewirtualnego świata. Toksyna patriarchy, bycia w prawie. O jej skutkach słucham od koleżanek kawa za kawą, nadrabiając towarzyskie zaległości w Warszawie. Któraś znów widziała na biznesowym zjeździe hostessy i poważnie zadaje pytanie, czy czas stanął w miejscu. A ta, która ogłosiła publicznie, że kolega na branżowej konferencji dobijał się w nocy do jej pokoju hotelowego, jest przekonana, że ona jedna mówi o tym głośno, a nie jej jednej się to zdarzyło.

Tymczasem na Dzień Dziecka kupiłam sobie książkę Melissy Febos o dziewczynstwie, a właściwie dziewczynskim dzieciństwie, czy może o konsekwencjach momentu, gdy się ono kończy, bo zdradza cię twoje ciało. Czytam i daję się Febos prowadzić po autobiograficznych esejach współczując, ale też wiedząc, że każda z nas ma jakąś taką historię.

Febos pisze, że jej ciało z godnego zaufania zmieniło się tak, że trudniej było zniknąć. I dodaje: „Moja matka kupiła mi książkę pod tytułem »Co się dzieje z moim ciałem? Książka dla dziewczynek«. Wyjaśniała burzę hormonów, piersi i włosy łonowe. Ale to nie było »Co się stało ze światem, jaki znałam?«. »Książka dla dziewczynek« nie wyjaśniała, czemu bycie jedyną dziewczyną w drużynie koszykówki już nie dawało poczucia triumfu. Nie wyjaśniała, czemu dorośli mężczyźni w samochodach, dla których dotąd byłam szczęśliwie niewidoczna, teraz się na mnie gapili. Nie wyjaśniała ani nie przyznawała, że to, co dzieje się z moim ciałem, zmienia moją wartość w świecie”. ©

POZEGNANIE

Z głębokim żalem zegnamy

Kaia Bumanna

wybitnego dyrygenta, pedagoga oraz dyrektora artystycznego Filharmonii Pomorskiej im. I.J. Paderewskiego w Bydgoszczy.

Kai Bumann był wielkim przyjacielem Polski, miłośnikiem kultury polskiej, wielbicielem myśli księdza Józefa Tischnera, naszym wiernym czytelnikiem i przyjacielem.

„TYGODNIK POWSZECHNY”
I FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

TAK SIĘ WALCZY Z ŁUKASZENKĄ

W białoruskich aresztach przebywa kilkunastu ludzi, o których niektórzy mówią: współcześni partyzanci.

Podczas ofensywy armii rosyjskiej na Kijów sabotowali jej logistykę.

BARTOSZ RUMIEŃCZYK

NAGRANIA VIDEO SĄ OGÓLNODOSTĘPNE, pod warunkiem, że potrafimy poruszać się po białoruskim komunikatorze Telegramie. Proszę więc o pomoc.

– To jest kanał prorządowy, więc nie podawaj jego nazwy – zastrzega się Marina Kasinerawa. Jest działaczką Dissidentby – białoruskiej organizacji opozycyjnej, wspierającej więźniów politycznych. Obecnie mieszka w Poznaniu, więc zgadza się na podanie swojego imienia i nazwiska.

Ten kanał na Telegramie jest prowadzony przez GUBOPiK – specjalny wydział białoruskiego ministerstwa spraw wewnętrznych, oficjalnie do walki z korupcją i zorganizowaną przestępczością. Jest on wykorzystywany przez reżim Łukaszenki także do prześladowania opozycji.

Kasinerawa nie chce, aby oprawcom nakręcać ruch na ich kanale.

Pierwsze nagranie przedstawia zatrzymanie trójki mężczyzn. Jeden z nich ma opuchnięty oczodół, drugi zakrwawione czoło, a trzeciemu łamie się głos, gdy przyznaje się do wszystkiego, co zarzucają mu mężczyźni w kominiarkach.

Drugie nagranie jest bez dźwięku. Kamera zagląda do samochodu przez szybę szybko i przybliża obraz tak, aby widz przyjrzał się leżącej na fotelu pasażera broni. Następny kadr obejmuje płamę

krwi na jezdni oraz leżącego obok mężczyznę. Ludzie w kominiarkach zakładają mu wenflon i rozcinają spodnie. Nogi na wysokości kolan ma obandażowane.

Oba nagrania uzupełniają przebitki zdjęć: spalona budka z przekaźnikami elektrycznymi przy torach kolejowych oraz zdjęcia pistoletów, krótkofalówek, lornetek i innego sprzętu. Mają sugerować, że właśnie rozbito zorganizowaną i bardzo groźną grupę.

GUBOPiK pisze, że jest to wideo operacyjne z zatrzymania, którego dokonano 28 marca. Ujęcia mężczyzny leżącego w kałuży krwi pokazywano także w państwowej telewizji.

Gdyby mężczyźni zostali zatrzymani dziś, groziłaby im nawet kara śmierci.

Kolejowi partyzanci

18 maja Aleksandr Łukaszenka, od sierpnia 2020 r. bezprawnie uważający się za prezydenta Białorusi, podpisał nowelizację kodeksu karnego, która rozszerzyła możliwość stosowania kary śmierci (wcześniej także dopuszczanej w kodeksie). Nowe prawo weszło w życie dzień dni później – dziś w Białorusi władza może rozstrzelać każdego, kogo uzna za terrorystę.

Nie ma wątpliwości, że jest to odpowiedź reżimu na akty sabotażu w pierwszych dniach rosyjskiej inwazji przeciw



Ukrainie. Władze w Mińsku stanęły w niej po stronie Rosji i choć Łukaszenka nie wysłał białoruskich żołnierzy na front, to udostępnił terytorium swojemu wielkiemu sojusznikowi.

To z białoruskiego lotniska w Brześciu – zaledwie kilka kilometrów od granicy z Polską – prowadzono ostrzał rakietowy terytorium Ukrainy, a białoruskimi kolejami dostarczano broń i sprzęt żołnierzom rosyjskim podczas ofensywy na Kijów. To spotkało się z aktami oporu, które media nazwały „kolejową partyzantką”.

Współcześni partyzanci w swoich działaniach skupili się na niszczeniu budek z przekaźnikami, aby w ten sposób wyłączać zdalne sterowanie ruchem kolejowym i opóźniać lub zatrzymywać rosyjskie transporty wojskowe. Trudno jednoznacznie ocenić, jaki wpływ na przebieg sytuacji na froncie miały akcje sabotażowe po stronie białoruskiej – wiadomo,



Transport sił rosyjskich, które miały atakować Kijów od północy, odbywał się głównie koleją. Gdzieś na Białorusi, 19 stycznia 2022 r.

że rosyjska logistyka w znacznym stopniu opiera się na kolejach. Zwłaszcza że wtedy, pod koniec lutego i na początku marca, transport drogowy był utrudniony z powodu warunków atmosferycznych – obfite opady śniegu i deszczu zamieniły wiele poleskich dróg w grzęzawiska.

Co najmniej osiemdziesiąt

Na pewno wiemy też jeszcze jedno: reżim w Mińsku podszedł do tych działań śmiertelnie poważnie.

– Samo tylko białoruskie MSW podawało, że takich ataków było ponad osiemdziesiąt, więc możemy śmiało założyć, że było ich znacznie więcej – ocenia Andrei Stryzhak z Fundacji BYSOL, która od 2020 r. wspiera ofiary represji w Białorusi.

Białoruskie Centrum Praw Człowieka Wiasna zidentyfikowało jedenastu aresz-

towanych. Wśród nich są mężczyźni, których zatrzymanie oglądałem na telegramowym kanale GUBOPiK-u. To Jauhen Minkiewicz, Dzmitrij Klimau i Władimir Auramtsau.

Zostali oskarżeni o zniszczenie dwóch budek z przekaźnikami kolejowymi, co reżim uznał za próbę zamachów terrorystycznych. Jak informuje Wiasna, mężczyźni usiłowali uciekać podczas próby zatrzymania. Policjanci otworzyli do nich ogień, przynajmniej jeden został ranny.

Do jedenastu aresztowanych, o których wie Wiasna, doliczyć trzeba przynajmniej czterdziestu zatrzymanych pracowników kolei. Ale Andrei Stryzhak przekonuje, że aresztowanych zapewne jest więcej, choć ilu dokładnie, nie wiadomo, bo sądy często prowadzą sprawy polityczne za zamkniętymi drzwiami.

Udaje mi się nawiązać kontakt z mężczyzną, którego żona została oskarżona o wspieranie partyzantów. Mężczyzna nie chce rozmawiać: obawia się, że mogłoby to zaszkodzić jego żonie. Zapewnia jedynie, że nie przyznaje się ona do winy i nie współpracuje ze śledczymi.

Sabotaż polityczny

Wszyscy zatrzymani w sprawie kolejowej partyzantki, o których wie Wiasna, zostali uznani przez białoruskie organizacje walczące o prawa człowieka za więźniów politycznych.

– Ale nazywanie ich „partyzantami” nie oddaje w pełni charakteru ich czynu – mówi mi prezes Białoruskiego Komitetu Helsińskiego Aleh Hulak.

Prasa zagraniczna, opisując działanie Białorusinów, rysowała porównania z partyzantką antyhitlerowską z czasów

→ II wojny światowej. Ukraińcy dziękowali im za wsparcie, a niektórzy białoruscy działacze opozycyjni mówili, że to cegiełka wolnych Białorusinów w walce z agresją Putina.

Hulak woli ważyć słowa. – Nie doszło do narażenia ani ludzkiego życia, ani zdrowia. Celem tych działań nie było np. wywołanie pociągu, lecz jedynie wywołanie opóźnienia lub wstrzymanie ruchu. Do podobnych aktów sabotażu dochodziło także przed wybuchem wojny w Ukrainie. Pracownicy kolei potwierdzili wówczas w sądzie, że w wyniku takich działań nie ma żadnego zagrożenia dla ludzi – ocenia.

Biorąc powyższe pod uwagę, Białoruski Komitet Helsiński podpisał się pod deklaracją, w której działania aresztowanych Białorusinów uznano za dopuszczalny z punktu widzenia prawa międzynarodowego protest polityczny. Ale dla Łukaszenki jest to kolejny, inspirowany przez zagranicę, atak na państwo białoruskie.

I owszem, na łamach prasy zagranicznej odpowiedzialność za akty sabotażu wzięli na siebie przedstawiciele BYPOL-u – grupy byłych i obecnych pracowników białoruskich służb specjalnych, którzy popierają Swiatłanę Cichanouską (rywalkę Łukaszenki w sfalszowanych przez niego wyborach prezydenckich w sierpniu 2020 r.; Cichanouska najprawdopodobniej wygrała z nim w drugiej turze) – a także Cyberpartyzanci, prowadzący ataki hakierskie od 2020 r. białoruscy pracownicy sektora IT, którzy w marcu 2022 r. uderzyli w systemy kolejowe.

Szef BYPOL-u, były pułkownik Aleksander Azarov, mieszka dziś w Warszawie, a rzeczniczka Cyberpartyzantów Juliana Szemetovets w Nowym Jorku – co wpisuje się w narrację Łukaszenki. Ale działania sabotażystów – choć wspierane z zagranicy – były przede wszystkim działaniem oddolnym i zdecentralizowanym.

„Nie ma żadnego dowództwa” – mówił Azarov na łamach „Washington Post”.

Mimo to na nagraniach udostępnionych przez GUBOPiK zatrzymani mężczyźni są zmuszani do zeznawania, że kierowali nimi właśnie BYPOL.

Od Białorusinów można usłyszeć, że aresztowani działali oddolnie, z odruchu serca.

Czy prawo działa wstecz?

– Terroryzmem, według reżimu Łukaszenki, może być nawet rozsypywanie gwoździ przed autami milicyjnymi jadącymi w stronę protestującego tłumu – wskazuje Hulak. – Mimo że w tym przywołanym przypadku efektem było jedynie przebiecie milicyjnych opon.

Na liście osób oskarżanych o powiązania z terroryzmem – choć nie oskarżanych wprost o terroryzm – jest już ponad 60 nazwisk, na czele z przebywającą na uchodźstwie Swiatłaną Cichanouską czy Marią Kalesnikavą oraz Maksimem Znakiem, odsiadującymi wyroki 10 lat oraz 11 lat uwięzienia w koloniach karnych. I choć trudno sobie wyobrazić, by reżim zechciał w myśl nowego prawa postawić Kalesnikavą czy Znaka przed plutonem egzekucyjnym, to opozycjoniści, z którymi rozmawiam, mówią, że w Białorusi możliwe jest wszystko.

– W przypadku kolejowych partyzantów prawo może zadziałać wstecz – uważa mąż kobiety zatrzymanej w sprawie domniemanych sabotażystów (podkreśla, że prosi o pełną anonimowość). – Wystarczy, że dopiszą nowy punkt w akcie oskarżenia.

Podobną praktykę już stosowano, o czym mówią mi działacze białoruskiego Anarchistycznego Czarnego Krzyża – kolejnej organizacji wspierającej więźniów politycznych, z którą się kontaktuję.

– Skazywano już ludzi za działalność w rzekomo ekstremistycznych organizacjach, zanim te organizacje zostały uznane za ekstremistyczne – mówią przedstawi-

ciele ACK. Odbывало się to tak, że zatrzymanym wcześniej podczas protestów otwierano nową sprawę karną i wydawano wyroki na mocy prawa, które jeszcze nie istniało, gdy zostali zatrzymani.

Za ekstremistyczne reżim uznaje w zasadzie wszystkie organizacje pozarządowe oraz niezależne media. Wystarczy śledzić na Telegramie kanał Nexta – jeden z najbardziej popularnych kanałów informacyjnych – aby zostać uznanym za ekstremistę.

Anarchiści zamienili więc twórczo oskarżenie w slogan „Ekstremista”, który drukują na koszulkach, a zysk z ich sprzedaży przeznaczają na wsparcie uwięzionych towarzyszy.

Lawina represji

Wydaje się, że to wojna w Ukrainie jest głównym powodem, dla którego Łukaszenka dokręca dziś śrubę. Jednak Aleh Hulak podkreśla, że to dokręcanie trwa nieprzerwanie od 2020 r. – Łukaszenka robi wszystko, by utrzymać władzę i tu nie ma miejsca na półśrodki – tłumaczy Hulak.

Z kolei Marina Kasinerawa przyrównuje mechanizm represji do lawiny: – Takie procesy, raz uruchomione w społeczeństwie, w ten czy inny sposób rozszerzają się, rozprzestrzeniają i przybierają coraz bardziej wyrafinowane formy oraz masowy charakter.

Kasinerawa powtarza też to, co słyszę od anarchistów z ACK oraz od męża zatrzymanej kobiety, gdy pytam, czy Białoruś zmagą się z terroryzmem, skoro władza podejmuje aż tak radykalne kroki, by z terroryzmem walczyć. – Odpowiedź na twoje pytanie brzmi „tak!”. Białoruś ma ogromne problemy z terroryzmem. Tylko że jedyną organizacją terrorystyczną jest tu reżim Łukaszenki – mówi opozycjonistka.

Kasinerawa dodaje, że ta państwowa „organizacja” stanowi zagrożenie nie tylko dla obywateli, ale i dla państw sąsiednich. Za przykład podaje sprowokowany przez reżim Łukaszenki kryzys humanitarny na granicy polsko-białoruskiej. – Ponadto organizacje terrorystyczne często wspierają zbrodniarzy wojennych takich jak Putin, co widać w obecnej sytuacji – zaznacza.

– Natomiast jeśli chodzi o zmiany w ustawie o terroryzmie, to jest to tylko próba usystematyzowania terroru przeciwko wszystkim, którzy nie zgadzają się z obecną władzą Białorusi – puentuje.

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Mokotowa w Warszawie w II Wydziale Cywilnym, pod sygn. akt II Ns 661/19 toczy się postępowanie spadkowe z wniosku Marii Józefy Przytuły o stwierdzenie nabycia spadku po Janie Przytule, nazwisko rodowe Przytuła, s. Bartłomieja i Katarzyny, ur. 8 stycznia 1934 r. w miejscowości Ulicko Zarębno, zm. 7 lipca 2016 r. w Warszawie, ostatnio stale zamieszkałym w Warszawie przy ul. Edwarda Dembowskiego.

Wzywa się, by spadkobiercy w ciągu trzech miesięcy od dnia dokonania ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Rewizja, czyli rearanżacja

Przeglądałam inne nagrania na kanale GUBOPiK-u. Moją uwagę zwraca wesoła melodyjka, która towarzyszy kamerze sunącej przez pokoje, w których wszystko powywracano – efekt rewizji.

W pewnym momencie w dłoni kamerzysty pojawia się banknot studolarowy i dowód osobisty na nazwisko Janina Sezanovich. Gdy kamerzysta wskazuje na kupkę podartych fotografii, unosi w górę kciuk na znak triumfu. Podpis pod wideo: „Przeprowadzona rewizja rozwiązała trzy kwestie jednocześnie: sprawdzono mieszkanie pod kątem broni, narkotyków i innych zakazanych przedmiotów, oczyszczono je z nielegalnych lokatorów i przeprowadzono swobodną rearanżację”.

Mieszkanie należy do matki Janiny Sezanovich, ale ani ona, ani jej córka w Białorusi już nie mieszkają. Sezanovich prowadzi opozycyjną „Czarną Księgę Białorusi”: kanał na Telegramie, który m.in. ujawnia tożsamość funkcjonariuszy GUBOPiK-u. Tajniacy nie mogli dopaść jej osobiście, więc zdemolowali jej mieszkanie. Podarli nawet plakat z pamiątkowymi zdjęciami z liceum.

Na innych nagraniach oglądam osoby, które zostały zmuszone do przyznania się do działań antypaństwowych. To stała praktyka: w ten sposób reżim chce pokazać, że nie ma żadnego bohaterskiego ruchu oporu, że każdego można złamać.

Jednym z najgłośniejszych takich nagrań było złożenie samokrytyki przez Ramana Pratasiewicza, byłego redaktora naczelnego Nexty. Aby go zatrzymać, w maju 2021 r. reżim uprowadził samolot linii Ryanair z Aten do Wilna z opozycjonistą na pokładzie, gdy wleciał on w białoruską strefę powietrzną. Światowe me-

Władze twierdzą, że było 80 aktów sabotażu na kolei.

Faktycznie było ich zapewne więcej.

dia analizowały nagranie pokazane w państwowej telewizji – zasinienia w okolicach oczu i nadgarstków miały świadczyć, że mężczyzna był torturowany.

Coraz wyższe wyroki

Wielu nagrań nie trzeba specjalnie analizować – jak choćby tego z zatrzymania Mikołaja Dziadoka, anarchisty, który obecnie odsiaduje wyrok pięciu lat kolonii karnej. Przed wyznaniem samokrytyki Dziadok został skatowany: potraktowano go gazem i pobito. Ślady są widoczne, gdy mężczyzna przyznaje się do wszystkiego, co tylko chcą jego oprawcy.

Ten obraz wstrząsnął białoruskim ruchem anarchistycznym – podobnie jak rekordowe jeszcze do niedawna wyroki dla anarchistów-partyzantów, skazanych za próby czynnego oporu wobec reżimu. Dmitrij Dubouski, Dmitrij Rezanowicz, Ihar Alinevich i Sierhei Ramana dostali od 18 do 20 lat.

W minionym tygodniu pojawiła się informacja o wyroku aż 22 lat kolonii karnej dla Wiaczasława Malejczuka. Został skazany za rzekome przygotowywanie zamachu terrorystycznego, miał podkładać ładunki wybuchowe m.in. na osiedlu wojskowym Piecze pod Borysowem.

Moi rozmówcy zwracają uwagę, że w Białorusi obniża się próg tolerancji wo-

bec przemocy. Reżim wydaje coraz wyższe wyroki, a opozycjoniści są gotowi ryzykować coraz więcej. Dokręcanie śruby i postępującą radykalizację potęguje tocząca się obok wojna, w której bierze udział także białoruski oddział.

Mówi się, że gdy białoruscy ochotnicy z Batalionu imienia Kastusia Kalinowskiego (dowódcy powstania styczińskiego na ziemiach białoruskich), którzy walczyli w szeregach ukraińskiej Obrony Terytorialnej; m.in. uczestniczyli w obronie Kijowa, pokonają już Putina, wrócą do ojczyzny, aby zrobić porządek z Łukaszenką.

W kontekście wojny

Rosyjska inwazja przeciw Ukrainie zmienia też relacje Łukaszenki z Zachodem, co odbija się nie tylko na więźniach politycznych, ale i na całym społeczeństwie. Zmienia także sposób patrzenia Zachodu na cały region.

– Więźniowie polityczni dla Łukaszenki są jak waluta. Kiedyś mógł obiecywać Zachodowi, że zwolni część z nich w zamian za złagodzenie sankcji – mówi Stryzhak z BYSOL-u. – Ale dziś stawki są wyższe. Wyobrażam sobie, że taką walutą stanie się np. zgoda na transport ukraińskiego zboża przez Białoruś, co w obliczu kryzysu żywnościowego wywołanego rosyjską agresją będzie miało większą wartość dla Zachodu niż jacyś więźniowie.

Czy więc gdy Łukaszenka – chcąc zastraszyć Białorusinów – zdecyduje się sięgnąć po karę najwyższą, świat wzruszy ramionami? Ile będzie znaczyć rozstrzelanie anonimowego dla świata białoruskiego więźnia politycznego w obliczu ujawnianych rosyjskich zbrodni w Buce, Irpieniu czy Mariupolu?

Oby nie trzeba było tego sprawdzać.

© BARTOSZ RUMIENIŃCZYK



„Tygodnik” z Cracoviae Merenti

Redaktor Naczelny i Redaktor Senior „Tygodnika” (na zdjęciu) uczestniczyli w uroczystym posiedzeniu Rady Miasta Krakowa, podczas którego nasze pismo z rąk prezydenta Miasta Jacka Majchrowskiego otrzymało **srebrne wyróżnienie Cracoviae Merenti**.

„»Tygodnik« jest medium niezłomnym, otwartym, pełnym szacunku dla każdego Czytelnika. Nade wszystko jest częścią krakowskiego ducha i tożsamości” – czytamy w uzasadnieniu.

Tegorocznymi laureatami srebrnych medali Cracoviae Merenti zostały także **Muzeum Narodowe** i krakowskie **Wodociągi**.

Serdecznie dziękujemy za to wyjątkowe wyróżnienie.



WONG MAYE / AP / EAST NEWS

Miejsce pamięci przed szkołą podstawową Robba w Uvalde w Teksasie. 30 maja 2022 r.

Biden ma dość

MARTA ZDZIEBORSKA

Ile jeszcze osób musi zginąć, by w Stanach Zjednoczonych zaostrzono dostęp do broni? Amerykańska prawica wciąż ignoruje problem.

TRUMNY Z UCHWYTAMI W KOLORZE wściekłego różu i zdjęciami nieżyjących już uśmiechniętych dzieciolatek – to deprymujący widok z Uvalde, gdzie pochowano ofiary największej szkolnej strzelaniny w USA od dekady. Z rąk licealisty Salvadora Ramosa, który kupił sobie na osiemnastkę półautomatyczny karabin AR-15, pod koniec maja zginęło 19 dzieci i 2 nauczycieli. Napastnik, podobnie jak w wielu tego rodzaju przypadkach, nie zachowywał się jak kandydat na seryjnego mordercę, a po zajęciach w szkole dorabiał w sieci barów szybkiej obsługi Wendy's.

Zatrudnijcie strażników

Po masakrze w Robb Elementary School 15-tysięczne teksańskie miasto stało się symbolem sporu o dostęp do broni. Podczas gdy prezydent Joe Biden obiecywał mieszkańcom Uvalde zaostrzenie przepisów, jego były wyborczy rywal Donald Trump brylował na kongresie Na-

rodowego Stowarzyszenia Strzeleckiego (NRA) w Houston. Otoczony republikanскими politykami i sprzedawcami broni przekonywał, że zamiast zabierać ludziom karabiny, należy zainwestować w lepszą ochronę szkół. Jego zdaniem placówki, już teraz otoczone wysokim płotem niczym zakłady karne, powinny mieć tylko jedno wejście, którego pilnowaliby uzbrojeni strażnicy.

W obronie drugiej poprawki do konstytucji gwarantującej dostęp do broni opowiedzieli też się inni politycy Partii Republikańskiej. Gubernatorka Dakoty Południowej Kristi Noem wykrzykiwała, że przeciwnicy poprawki są „uczniami Marksa i Lenina”, zaś senator z Teksasu Ted Cruz perorował, że pozbawienie Amerykanów prawa do noszenia broni doprowadzi... do zwiększenia przestępczości na ulicach.

Kongres NRA odbył się trzy dni po masakrze w Uvalde. W protestach przeciw niemu brał udział m.in. Beto O'Rourke,

Demokrata startujący w listopadowych wyborach na gubernatora. Kilka dni wcześniej narobił on rabanu podczas konferencji piastującego obecnie ten urząd Grega Abbotta. O'Rourke podszedł do podium i wykrzyczał rywalowi, że w stanie, gdzie obowiązują zbyt łagodne przepisy, „takie tragedie jak ta w Uvalde nikogo nie dziwią”. Gubernator dał się już wciągnąć do przedwyborczej walki: najpierw odwołał swój udział w kongresie NRA, a potem pojechał do Uvalde, gdzie pogrążonych w żałobie mieszkańców przekonywał, że chce rozmawiać o reformach.

Jak przełamać impas

Na fali tragicznych wydarzeń Demokraci znowu zaapelowali o załatwienie luk prawnych, dzięki którym w internecie lub na specjalnych targach broń może kupić w zasadzie każdy. Choć Republikanie usiedli już z Demokratami do rozmów o reformie przepisów, zapewne i tym razem wykorzystają fakt, że o wszystkim i tak zadecydują reprezentanci kilku słabo zaludnionych, republikańskich stanów. Dzieje się tak, gdyż do uchwalenia legislacji w Senacie potrzeba poparcia 60 senatorów, w tym co najmniej 10 Republikanów, pochodzących ze stanów, gdzie dostęp do broni palnej jest rzeczą świętą. Zmęczony impasem Joe Biden podczas przemówienia z 2 czerwca krzyczał, że ma „dość” i wezwał Kongres do wprowadzenia zakazu sprzedaży broni szturmowej, większej kontroli nabywców i zniesienia ochrony producentów broni przed pozwami.

A potrzeba zmian jest paląca, bo tylko w ciągu dziewięciu dni po masakrze w Teksasie w całych Stanach odnotowano 20 masowych strzelanin. Eksperci spekulują, że ostatnie wydarzenia mogą utrudnić Republikanom walkę o odzyskanie kontroli w Senacie. Kluczowe dla listopadowego wyścigu są bowiem głosy mieszkańców przedmieść, którzy zmęczeni rządami Bidena i wysoką inflacją mogą przekierować uwagę na walkę o zaostrzenie kontroli dostępu do broni. A tego najbardziej obawiają się Republikanie sięgający po argumentację, że przemoc w USA winne są głównie problemy psychiczne napastników, a zabranie obywatelom broni palnej „nie powstrzyma szaleńców przed diabelskimi atakami”. Przed listopadowymi wyborami do Kongresu wszystkie chwytły są dozwolone. ©

Kartoteka z Sinciangu

PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

Zdjęć i dokumentów są tysiące. Pochodzą z Sinciangu, zachodniej prowincji Chin, i stanowią ewidencję represji, którym poddawani są muzułmańscy Ujgurzy.

FOTOGRAFIE TWARZY OPATRUJE KRÓTKA informacja: wiek, rodzaj oskarżenia, obecny status. Przykładowo 60-letnia Tajigul Tahir odpowiada za „nielegalne głoszenie wiary” i przechodzi teraz reedukację. Najmłodsza z ujawnionych osób ma 15 lat, najstarsza 73. Większość zdjęć zrobiono na terenie zamkniętych placówek, zwanych oficjalnie „centrami przysposobienia zawodowego i edukacji”. Według chińskich władz „uczniowie” dobrowolnie wyrzekają się tam swoich ekstremistycznych poglądów. Zdaniem organizacji praw człowieka i wielu zachodnich stolic chodzi raczej o przymusowe pozbawianie islamskich grup etnicznych ich kulturowej, a zwłaszcza religijnej tożsamości. Na „reedukację” trafia się za noszenie brody, niechęć do spożywania alkoholu, wakacje spędzone w którymś z muzułmańskich kra-

jów, a nawet za wyłączoną komórkę – bo to utrudnia służbom inwigilację.

Wśród tych zdjęć – opublikowanych jednocześnie przez kilkanaście gazet na całym świecie pod koniec maja – są także sceny obozowej indoktrynacji, badań lekarskich i transportowania zatrzymanych, gdy są skuci łańcuchem, z zawiązanymi oczami. Z kolei wśród ujawnionych dokumentów znaleźć można dane kontaktowe policjantów, rozporządzenie dotyczące zabijania uciekających i wskazówki dotyczące metod represjonowania prowadzące na szczyt chińskich władz.

ANONIMOWI HAKERZY, którzy kilka miesięcy temu pozyskali te dane z serwerów chińskiej policji (dotyczą one lat 2017-18), przekazali je Fundacji Upamiętniającej Ofiary Komunizmu w Waszyngtonie, skąd trafiły do konsorcjum dziennikarzy śledczych, skupiającego znane światowe redakcje. Dokumentację poddano naukowej weryfikacji. Jej waga polega także na tym, że potwierdza wcześniejsze ustalenia i przypuszczenia, za źródła mające często poszlaki, zdjęcia satelitarne i pojedyncze relacje świadków. „Materiał nie był redagowany, jest surowy, zróżnicowany, mamy tu wszystko” – mówi znawca tematu Adrian Zenz. Z całości wyodrębnił on tylko dane dotyczące okręgu Shufu. Okazuje się, że zamkniętej reedukacji poddano tu 12 proc. ludności, co w skali całego Sinciangu daje liczbę 1,2 mln i bliskie jest wcześniejszym szacunkom.

Publikacja ukazała się tuż przed przyjazdem do Chin Wysokiego Komisarza ONZ ds. Praw Człowieka. Występująca w tej roli Michelle Bachelet podczas

6-dniowej wizyty miała odwiedzić także Sinciang i – jak można było przypuszczać – weszła w pułapkę zastawioną przez Pekin. Zobaczyła tylko opustoszałe miejsce reedukacji, która zdaniem władz dobiegła już w Sinciangu końca. Spotkania z miejscową ludnością były aranżowane, a prasa centralna rozpisywała się o rzekomych zachwytach komisarza nad stanem praw człowieka w Chinach. Jej biuro dementowało te wypowiedzi, o czym nikt jednak w miejscowych mediach nie doniósł. Szef chińskiej dyplomacji Wang Yi sprezentował za to Bachelet książkę, w której prezydent Xi Jinping przedstawia własną wykładnię praw człowieka.

Ostatniego dnia pobytu wysłanniczka ONZ poświęciła trzy kwadranse dziennikarzom. Dotknęła wtedy problemów Tybetu i Hongkongu, a wobec Sinciangu wspomniała o braku prawnej przejrzystości dla funkcjonowania miejsc reedukacji. Równocześnie przejęła jednak chińską narrację, łącząc obecność tych placówek z groźbą islamskiego ekstremizmu. Uwadze obserwatorów nie umknął też fakt, że najwięcej czasu poświęciła odpowiedzi na pytanie chińskich mediów o strzelaninę w Teksasie i prawa człowieka w USA. Cała wizyta, która wedle wymagań Pekinu miała mieć „przyjazny charakter”, z pewnością nie rozwiała wątpliwości o rosnących wpływach Chin na funkcjonowanie agencji ONZ.

PUBLIKACJA „KARTOTEKI” z Sinciangu miała zapewne równoważyć wydźwięk wizyty Bachelet. Pytanie, czy znaczenie ma też moment jej ujawnienia – w czasie rosyjskiej agresji na Ukrainę. Jeśli z początku ktoś miał nadzieję, że Chiny ujmą się choćby za mordowanymi tu cywilami, teraz ma jasność: komentarze Pekinu dotyczące tej wojny nie wychodzą poza krytykę USA i NATO.

Szeroko zakrojoną publikację dokumentów z Sinciangu można postrzegać zatem jako próbę wywarcia wpływu zwłaszcza na europejskie społeczeństwa, a przez to i na ich władze, które wciąż myślały o bliskich relacjach z Pekinem. Czołowi dyplomaci Starego Kontynentu uznali już nowe materiały za szokujące. Taki klimat sprzyja wizji administracji USA, aby nowy ład światowy tworzyły dwa przeciwne obozy: demokratyczny i autorytarny. To oczywiście tylko przypuszczenia, nie brak dla nich jednak logicznych przesłanek. ©

Ujawnione akta chińskiej policji zawierają tysiące ujęć ujgurskich dzieci, kobiet i mężczyzn



ARCHIWUM POLICJI Z SINCANGU



MAX MUMBY / INDIGO / GETTY IMAGES

Na balkonie Pałacu Buckingham, Londyn, 2 czerwca 2022 r.

Niech żyje Elżbieta!

PATRYCJA BUKALSKA ZE SZKOCJI

Tysiące flag, uliczne przyjęcia, parady, koncerty – Brytyjczycy świętują Platynowy Jubileusz królowej. Władza Zjednoczonym Królestwem już 70 lat.

KIEDY PIERWSZEGO DNIA UROCZYSTOŚCI w Londynie dobiegała końca wojskowa parada, a aleję The Mall wypełniły tysiące wiwatujących Brytyjczyków oraz turystów, w rybackiej przystani w szkockim Macduff dzień toczył się zwykłym rytmem. Jednak kilkadziesiąt metrów dalej, przed ratuszem, zaczęli już gromadzić się mieszkańcy, a o 13.45 radny Mark Findlater w tradycyjnym kilcie zadzwonił dzwonkiem i zawołał: „Oyez, oyez, oyez. Dziś nasz naród – i cała Wspólnota Narodów – obchodzi wspaniałą Platynowy Jubileusz naszej Królowej...”

Właśnie tak mieszkańcy miasteczka w północno-wschodniej Szkocji zostali oficjalnie poinformowani o królewskim jubileuszu – choć chyba nie ma na Wyspach nikogo, kto by o tym nie wiedział.

Obchody duże...

Wielkie obchody Platynowego Jubileuszu – pierwszego takiego w historii Wielkiej Brytanii, bo żaden monarcha nie pozo-

stał na tronie tak długo – starannie zaplanowano na cztery dni. Uroczystości rozpoczęły się 2 czerwca w Londynie paradą Trooping the Colour. Wzięło w niej udział 1450 żołnierzy, orkiestra wojskowa, 200 koni i jeden pies. Na balkonie pałacu Buckingham pojawiła się zaś nie tylko królewska rodzina, ale i sama Elżbieta II – ze względu na jej wiek i stan zdrowia nie można było być tego pewnym.

Większe i mniejsze uroczystości – w tym kilkanaście tysięcy pikników oraz ulicznych przyjęć – odbywały się w tych dniach w całej Wielkiej Brytanii.

Brytyjczycy mają za sobą dwa lata pandemii, a przed sobą perspektywę lawinowo rosnących kosztów utrzymania i rosnącej inflacji. Te cztery dni świętowania nie rozwiążą ich problemów, ale może dadzą coś innego – poczucie przynależności i wspólnoty. Jubileusz to także okazja, by przemysł turystyczny i pamiątkarski w końcu nadrobił straty z ostatnich lat. W całym kraju od tygodni sprzedawano flagi, proporczyki, kubki, kapelusze – ocenia się, że tylko na królewskie gadżety Brytyjczycy wydadzą 61 mln funtów, w barach i pubach mogą zaś zostawić znacznie, znacznie więcej.

...i nieco mniejsze

W Macduff jubileusz widać na sklepowych wystawach, gdzie wystawiono rozmaite regalia: książki o królewskiej rodzinie, zdjęcia królowej, filizanki i przedmioty związane z czasem jej panowania. Niektóre tylko na pokaz, jak np. piknikowy kosz *vintage* i kieliszki do szampana w oknie agencji nieruchomości, inne rzeczwiście do kupienia – jak haftowana ręcznie scena z koronacji z 1953 r. w sklepie z antykami w pobliskim mie-

ście Banff za jedyne 38 funtów. Przywiązanie do monarchii prezentują też zwykli Szkoci, choć jednak bardziej powściągliwie niż Anglicy – brytyjskie flagi powiewają tu przed nielicznymi domami. Mniejszy entuzjazm Szkotów dla jubileuszu potwierdza majowy sondaż, w którym zainteresowanie uroczystościami wyraziło jedynie 48 proc. mieszkańców północy. Dla porównania: ekscytuje się nim aż 73 proc. Walijczyków.

Co po Elżbiecie

Jak wynika z tego samego sondażu zleconego przez *think tank* British Future, za utrzymaniem monarchii opowiada się sześciu na dziesięciu Brytyjczyków, natomiast aż 85 proc. spodziewa się, że przetrwa ona przynajmniej kolejne 10 lat. Gdy jednak o to samo zapytano Szkotów, zwolennikami monarchii okazało się tylko 45 proc. z nich. Co więcej, 36 proc. szkockich poddanych uważa, że Elżbieta II powinna być ostatnią monarchią, a później Wielka Brytania powinna stać się republiką. Tę opinię podziela podobny odsetek młodych Brytyjczyków.

Rządząca północą od lat Szkocka Partia Narodowa (SNP) dąży do uzyskania przez Szkocję niepodległości, ale oficjalnie deklaruje, że suwerenna Szkocja pozostałaby monarchią parlamentarną, a królowa formalną głową państwa. W szeregach SNP nie brakuje jednak republikanów; republiki chcą też współrządzić z SNP szkocki Zieloni.

W Macduff pierwszy z jubileuszowych wieczorów był pogodny, morze otaczające miasteczko lśniło szaro-srebrzyste, trawa na wzgórzu The Knowes nabrała głęboko zielonego koloru. Dokładnie o 21.45 na wzgórzu został zapalony *beacon* – jeden z ponad 3 tysięcy sygnałowych ognisk, pochodni i latarni, jakie zapłonęły tego wieczoru w całym Zjednoczonym Królestwie, a także na Wyspie Man, Wyspach Normandzkich oraz w krajach Wspólnoty Narodów.

Na wzgórzu wraz z innymi mieszkańcami był Mark Findlater: – Świętujemy 70 lat naszej wspaniałej królowej na tronie! Przygotowania wymagały mnóstwa pracy, wysiłku wielu osób, ale właśnie dlatego ta uroczystość tak łączy naszą społeczność – mówił „Tygodnikowi”. – To niezwykle moment, bo coś takiego już nas nie spotka. Nie będzie kolejnego Platynowego Jubileuszu, nie za naszego życia. ©P



JEFF J. MITCHELL / GETTY IMAGES

Marsz niepodległości Szkocji. Glasgow, 14 maja 2022 r.

BRYTYJSKI JĘZYK MIGOWY (British Sign Language, BSL) niedawno uznano za oficjalny język w Wielkiej Brytanii; odąd osoby głuche mają tu prawo używać tego języka w kontaktach z instytucjami państwowymi czy w placówkach ochrony zdrowia. W samej Szkocji taki status język migowy ma już od 2015 r. W maju 2021 r., po szkockich wyborach, podczas inauguracyjnego posiedzenia nowego lokalnego parlamentu, na złożenie przysięgi poselskiej w BSL zdecydowała się Karen Adam, 47-letnia dziś posłanka Szkockiej Partii Narodowej.

W sali obrad poza angielskim rozbrzmiewały wtedy także inne używane w Szkocji języki: gaelicki, szkocki (Scots) i jego dialekty (dorycki z Aberdeenshire oraz ten z Orkadów i Szetlandów), niemiecki, walijski, arabski i pendżabski. Był to wspólny gest postów z różnych partii, którzy postanowili pokazać przedstawicielom mniejszości mieszkającym w Szkocji, że oni również są reprezentowani w parlamencie. Wśród nich także społeczności osób głuchych. W Szkocji językiem migowym w domu posługuje się ponad 12 tys. osób (w całej Wielkiej Brytanii 151 tys., z czego 87 tys. to osoby głuche).

Zapytana o jej wizję niepodległej Szkocji, Karen Adam sięga po argumenty społeczne: mówi, że to „kraj równości, w którym ludzie traktowani są z szacunkiem i uczciwością”. © P PB

Wszystkie języki Szkocji

KAREN ADAM, POŚLANKA SZKOCKIEJ PARTII NARODOWEJ:

Niepodległa Szkocja byłaby prosperującym krajem. Pierwszym krokiem ku temu musi być nowe referendum.

PATRYCJA BUKALSKA: Zapisła się Pani w historii szkockiego parlamentu – nikt wcześniej nie składał przysięgi w języku migowym.

KAREN ADAM: Nie jestem głucha, ale BSL to mój drugi język, którym posługuję się całe życie – byłam wychowywana przez głuchego ojca. Jestem CODA, czyli dziecko głuchego rodzica. Takie osoby uczą się języka migowego od pierwszych chwil. To część mojej kultury, dlatego użyłam go w miejscu, gdzie zapadają decyzje dotyczące obywateli.

Jakie ma Pani tutaj wspomnienia?

Wiele razy widziałam, jak ludzie ignorują ojca i zwracają się do mnie zamiast do niego. Jak traktują go z poślizgiem, jakby był dzieckiem,

a nie dorosłym mężczyzną, który po prostu nie słyszy. To było frustrujące. Doświadczaliśmy tylu barier – aby załatwić zwykłe codzienne sprawy, musiał pokonywać wiele przeszkód. Umówienie wizyty u lekarza, sprawa w banku, zapytanie o emeryturę – to wszystko wymagało mojej pomocy. I nie, nie dlatego, że on tej pomocy wymagał! Dlatego, że wszystkie te firmy i instytucje nie były w stanie wypełniać swoich obowiązków wobec niego jako obywatela.

W Szkocji rozważa się wprowadzenie BSL jako przedmiotu w szkole.

Jest tzw. BSL Action Plan. W Szkocji BSL jest uznany za odrębny język (*recognised language*), co oznacza, że ma status prawny. To z kolei znaczy, ➔

→ że można go włączyć w program nauczania w szkołach. Jak BSL Action Plan będzie wdrażany, to zależy jednak od władz samorządowych i potrzeb w danym regionie, a także od tego, czy mogą zatrudnić nauczycieli BSL.

Istotne jest jednak to, że podejmując teraz rozmaite decyzje, lokalne władze muszą brać BSL pod uwagę, np. mieć tłumacza, organizować kursy BSL dla urzędników itd. Dzięki temu wzrasta świadomość potrzeb społeczności osób głuchych. To dobry początek, ale wiele jest jeszcze do zrobienia. Chciałabym, aby BSL był jednym z języków oferowanych do wyboru uczniom w szkołach. Są lekcje francuskiego czy niemieckiego, mogą być też BSL. Wielu uczniów mówi, że zapisałoby się na takie lekcje. Skoro jest zainteresowanie, powinniśmy na nie odpowiedzieć.

Mówi Pani o zwiększaniu społecznej świadomości tego, czym jest BSL.

Jakie są najlepsze ku temu metody?

Nie jest to łatwe. Jeśli nie żyje się w tym środowisku, wielu rzeczy nie jest się świadomym. Dlatego ważne, aby przy stole decyzyjnym zasiadli też ludzie, którzy mają takie osobiste doświadczenia. Gdy byłam radną, dowiedziałam się, że przygotowywany wtedy BSL Action Plan będzie analizowany przez radnych, czyli także przeze mnie. Wzięłam projekt do domu i pokazałam ojcu, prosząc o opinię. Przegadaliśmy wiele godzin i dzięki temu na posiedzeniu lokalnych władz mogłam przedstawić listę proponowanych poprawek. Wszystkie przyjęto. Plan BSL w Aberdeenshire jest naprawdę dobry – dzięki uwagom kogoś ze środowiska, którego ta sprawa dotyczy.

Jakie są założenia tego planu?

W Aberdeenshire jednym z celów było zwiększenie świadomości o sytuacji środowiska głuchych. Sposobów jest mnóstwo – to może być i większa kampania, i choćby plakat w gabinecie lekarza pierwszego kontaktu czy na pocztce. A gdyby kwestie BSL i osób głuchych zaczęto omawiać już w szkołach podstawowych, zmieniłoby to radykalnie sytuację. To oczywiście wymaga czasu. Jestem jednak zdeterminowana, aby BSL trafił do szkół. To może sprawić, że nasza kultura stanie się inkluzyjna. Uczniowie, którzy będą mogli nauczyć się choćby podstaw BSL, dorosną, a jeśli kiedyś to oni będą po-

dejmować decyzje, może pomyśleć: „A co zrobiliśmy, by komunikować się z osobami głuchymi w naszej firmie, w naszej instytucji?”

Te dwie rzeczy – edukacja ludzi młodych i zaproszenie do procesu decyzyjnego osób z doświadczeniami ze środowiska głuchych – mają fundamentalne znaczenie.

Jak wyglądała Pani droga do parlamentu? Zajął się Pani polityką dopiero po referendum niepodległościowym w 2014 r.

Pochodzę z rozpolitykowanej rodziny, gdzie otwarcie wyrażano poglądy. Zwłaszcza za czasów Margaret Thatcher. Pamiętam, jak cała rodzina gromadziła się, by wypić wspólnie kawę i rozmawiała wtedy o Thatcher. Nienawidzili polityki, którą ówczesna premier wymuszała na Szkocji. Rodzice byli wyborcami SNP, a na przełomie lat 60. i 70. XX w. zwolennikami ruchu domagającego się autonomii Szkocji.

Także we mnie polityka zawsze wzbudzała namiętności. Założyłam jednak rodzinę [Adam ma sześćoro dzieci, w tym autystyczne – red.]. Kolejnych obowiązków nie mogłam sobie dokładać. Ale przez te wszystkie lata byłam tłumaczką mojego ojca, opiekunką dzieci, musiałam walczyć o wsparcie i pomoc dla nich. Społeczna niesprawiedliwość, której wtedy doświadczaaliśmy, sprawiła, że gotowałam się z wściekłości. Czułam, że za każdym razem, gdy staram się rozmawiać z ludźmi, od których coś zależy, oni nie rozumieją mojej sytuacji, tego, z czym się borykam. Dotarło do mnie, jak wiele rzeczy mogłoby funkcjonować lepiej i kosztować mniej, gdyby tylko ludzie, którzy podejmują decyzje, lepiej rozumieli te kwestie. Zaczęłam też zauważać różnicę między tym, jak rządzone są Szkocja i Anglia.

A potem przyszło referendum.

Media społecznościowe załapa polityka. Ja też nagrałam telefonem film, w którym mówiłam, dlaczego uważam, że Szkocja powinna być niepodległa. To było tak: odwiozłam dzieci do szkoły, wróciłam do domu i nagrałam go, pokazując na czynia, które trzeba umyć, i pranie, które trzeba rozwiesić, a jednocześnie tłumaczyć, dlaczego wynik referendum jest ważny dla mnie, moich dzieci, ich przyszłości, dla kolejnych pokoleń.

Mówiłam, że jestem tylko mamą zajmującą się domem, ale mam własne zdanie. Nagranie zaczęło się rozprzestrzeniać, aż zdecydowałam się je usunąć, bo wystraszyłam się takiego efektu.

Ale to nie był koniec?

Pojawiły się sugestie, że powinnam pojawić się w biurze miejscowego oddziału Szkockiej Partii Narodowej, może zaangażować się w roznoszenie ulotek, w pukanie do drzwi wyborców. Zgodziłam się, wzięłam udział w kilku kampaniach parlamentarnych i samorządowych. Potem zaproponowano mi, abym wystartowała w wyborach do rady miejskiej. Wahałam się.

Dlaczego?

Bo nie byłam pewna, co mogę tam robić, nie mam przecież uniwersyteckiego wykształcenia ani politycznego doświadczenia. Choć miałam poglądy i miałam do nich prawo jako kobieta, matka i członek społeczeństwa, to zawodowa strona polityki zawsze wydawała mi się nie dla mnie. Niepokoila mnie też konieczność godzenia polityki z życiem rodzinnym. Ale się zdecydowałam – i oto jestem.

To był rok 2017. Teraz jest Pani posłanką Szkockiej Partii Narodowej w lokalnym parlamencie.

To prawda, choć nigdy tego nie planowałam, nie myślałam o karierze w polityce. Wszystko, co robię, dzieje się tak trochę przypadkiem.

Obawiam się, że kobiety nadal mają skłonność do wyjaśniania swoich sukcesów takim „przypadkiem”.

Jeden z przyjaciół zawsze mi powtarza, że muszę przestać tak myśleć, bo wpadnę w „syndrom oszustki” [zjawisko psychologiczne powodujące brak wiary we własne osiągnięcia – red.]. To takie myślenie, że nie powinnam tu być, że tu nie pasuję. Mężczyźni raczej tak nie mają.

Nicola Sturgeon, stojąca na czele szkockiego rządu, jest najbardziej popularną polityczką w Szkocji.

W rządzie i parlamencie zasiada też wiele innych kobiet. Czy rzeczywiście dla kobiet kariera polityczna nadal jest trudniejsza?

Zdecydowanie tak. Oczekiwania są większe, poprzeczka jest wyżej. Kobieta

musi być lepsza, robić więcej, a i tak obserwuje się i ocenia jej każdy krok.

Podam przykład: wiem dużo o BSL i prezentując kiedyś opinię na ten temat, usłyszałam od obecnego na spotkaniu polityka: „No naprawdę, nie oszczędziła nam pani szczegółów. Chyba musiała się pani wygadać”. Gdybym była mężczyzną, nigdy by tego nie powiedział. Polityka jest nadal otwarcie mizoginiczna. Kiedy kobieta mówi o czymś z pasją, słyszy, że jest histeryczką, że kieruje się emocjami. Typowe jest też traktowanie nas, jakbyśmy były dziećmi. Ale nawet gdybym była młodą dziewczyną, to co? Moje opinie nie byłyby wiarygodne, ważne? Znam mnóstwo fantastycznych, wykształconych, zdolnych dziewczyn, mających dwadzieścia parę lat.

Ten rok zaczął się dla Pani nieprzyjemnie. Po przekręconej przez politycznych przeciwników wypowiedzi stała się Pani celem internetowego hejtu, a także – nie po raz pierwszy – grożono Pani śmiercią. Sprawą zajęła się policja. Nie żałuje Pani w takich chwilach, że zajęła się polityką?

Nawet jeśli, to trwa to krótką chwilę. Tak naprawdę wyprowadza mnie z równowagi niesprawiedliwość, przede wszystkim ta społeczna. Ale te groźby, wyzwiska też były niesprawiedliwe i dlatego wywołały we mnie tylko gniew, sprawiły, że jestem jeszcze bardziej zdeterminowana w tym, co robię. Jeśli pod wpływem ataków wycofałabym się z polityki, to tylko zwolniłoby się moje miejsce przy stole i decyzje zaczęliby podejmować ci, którzy mnie atakują. Nie poddam się.

To, przez co Pani przeszła, musiało być jednak trudne.

Mam wokół siebie potężny system wsparcia. Gdy jestem zdenerwowana, nie boję się do tego przyznać, potrafię poprosić o pomoc przyjaciół i współpracowników.

Scena polityczna potrafi być przerażająca. Nie da się na niej przetrwać w pojedynkę – na szczęście mam wspierających ze spół, a wśród współpracowników również przyjaciół. No i wielką rodzinę, która jest kompletnie niezainteresowana polityką i traktuje to, co robię, jako hobby mamusi. „O, byłaś w telewizji, super. Ale gdzie są moje skarpetki? I co dziś na obiad?” – potrafi zapytać moje dziecko i to



KAREN ADAM:

Wyniki kilku ostatnich wyborów w Szkocji pokazują, że Szkoci wybierają inną drogę niż mieszkańcy Anglii. Powinniśmy mieć więc prawo do własnych decyzji.

jest coś, co trzyma mnie mocno na ziemi. Tylko czasami, gdy spaceruję sama, bywam niespokojna i częściej oglądam się za siebie. Jednak jako kobieta zawsze musiałam to robić.

Zagubione skarpetki są ważne i pozwalają zachować równowagę w życiu. Potwierdzam to jako matka dwóch synów.

Starsi synowie przejęli już wiele domowych obowiązków, a odwożenie młodszych dzieci do szkoły i ich odbieranie to teraz moja ulubiona chwila dnia. W poniedziałki i piątki, gdy jestem w domu, a nie w Edynburgu, planuję wszystko tak, abym mogła to zrobić.

W wywiadzie sprzed kilku lat mówiła Pani, że jest polityczką, bo chce zmienić życie ludzi na lepsze. Jakie są problemy mieszkańców północno-wschodniej Szkocji?

Mój okręg wyborczy, Banffshire and Buchan Coast, został mocno dotknięty skutkami wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej, bo znaczącą rolę odgrywają tu rybołówstwo i rolnictwo. Zmiana przepisów i procedur, trudniejszy eksport, brak pracowników, w tym tych sezonowych na farmach – to wszystko miało negatywny wpływ, a pandemią pogorszyła sytuację. Teraz rosną ceny i koszty utrzymania, wielu ledwo wiąże koniec z końcem. Co będzie, jeśli ceny

jeszcze bardziej pójdą w górę? Tysiące ludzi może przekroczyć próg ubóstwa.

W referendum brexitowym większość Szkotów opowiedziała się za pozostaniem w Unii, jednak to nie mogło zmienić decyzji całej Wielkiej Brytanii. Odtąd Szkocka Partia Narodowa zapowiada, że jeśli Szkocja uzyska niepodległość, będzie chciała wrócić do Unii. Jednak o ile poparcie dla niepodległości wzrosło znacząco w apogeum pandemii, to teraz spadło i w ostatnich sondażach Szkoci dzielą się niemal po równo na jej zwolenników i przeciwników, z małą przewagą tych ostatnich.

Referendum niepodległościowe jest naszym celem, ale trzeba znaleźć właściwy moment – rok temu byliśmy w środku pandemii. Nie stać nas jednak na to, aby odkładać to w nieskończoność. Gdybyśmy mogli podejmować niezależne decyzje, to wierzę, że życie ludzi w Szkocji byłoby lepsze. Podam kilka przykładów z ostatnich lat. Mamy udany projekt wyprawek dla nowo narodzonych dzieci, wprowadziliśmy darmowy dostęp do menstruacyjnych produktów sanitarnych, ma być zwiększony dodatek na dziecko. Mamy darmowe posiłki w szkołach. Rozumiemy, że pomoc dla dziecka oznacza zmniejszenie ubóstwa, ale też mniejszą traumę tego dziecka, które wyrośnie na silniejszego, stabilniejszego człowieka i obywatela.

Z ubóstwem wiąże się problemy zdrowotne, a one z kolei oznaczają obciążenie dla systemu ochrony zdrowia. Te wszystkie kwestie są powiązane. Tymczasem decyzje, które podejmujemy w Szkocji, jedynie łagodzą skutki decyzji podejmowanych w Londynie.

Jeśli popatrzymy na wyniki kilku ostatnich wyborów w Szkocji, widać wyraźnie, że Szkoci wybierają inną drogę niż mieszkańcy Anglii. Powinniśmy mieć więc prawo do własnych decyzji. Niepodległa Szkocja byłaby wspaniałym prosperującym krajem. Pierwszym krokiem musi być referendum i jestem przekonana, że mamy ku niemu solidne podstawy.

Jaka jest Pani wizja Szkocji?

Właśnie taka: kraj równości, w którym ludzie traktowani są z szacunkiem i uczciwością. Wierzę, że możemy to osiągnąć.

©© Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA

LIPIEC ROKU 1963 – jak to zwykle na Bałkanach – był upalny i parny. Większość mieszkańców Skopje, stolicy Macedonii – wtedy należącej do federacji jugosłowiańskiej – szukała wytchnienia na plażach Dalmacji lub w górskich wioskach. O świcie 26 lipca miasto zaskoczyło trzęsienie ziemi. Zginęło ponad tysiąc osób. Gdyby nie sezon wakacyjny, liczba ofiar byłaby o wiele większa.

Choć wstrząsy nie były specjalnie silne, okazały się dla miasta zabójcze: zniszczyły ponad 65 proc. zabudowy (niektóre źródła mówią nawet o 80 proc.). Najbardziej niszczycielski był poziomy wstrząs, jakby szarpnięcie, który spowodował przesunięcie dolnych pięter budynków w stosunku do górnych. To był dziwny, nieoczekiwany widok. Polscy urbaniści, którzy przybyli do Skopje kilka tygodni po katastrofie, spodziewali się morza ruin. Tak nie było – najstarsze budynki się zawaliły, ale większość wciąż stała, choć ich konstrukcja była zniszczona i nie nadawały się do zamieszkania. Jak to opisał ówczesny korespondent belgradzkiego dziennika „Politika” Jovan Popovski: „Miasto umarło stojąc”.

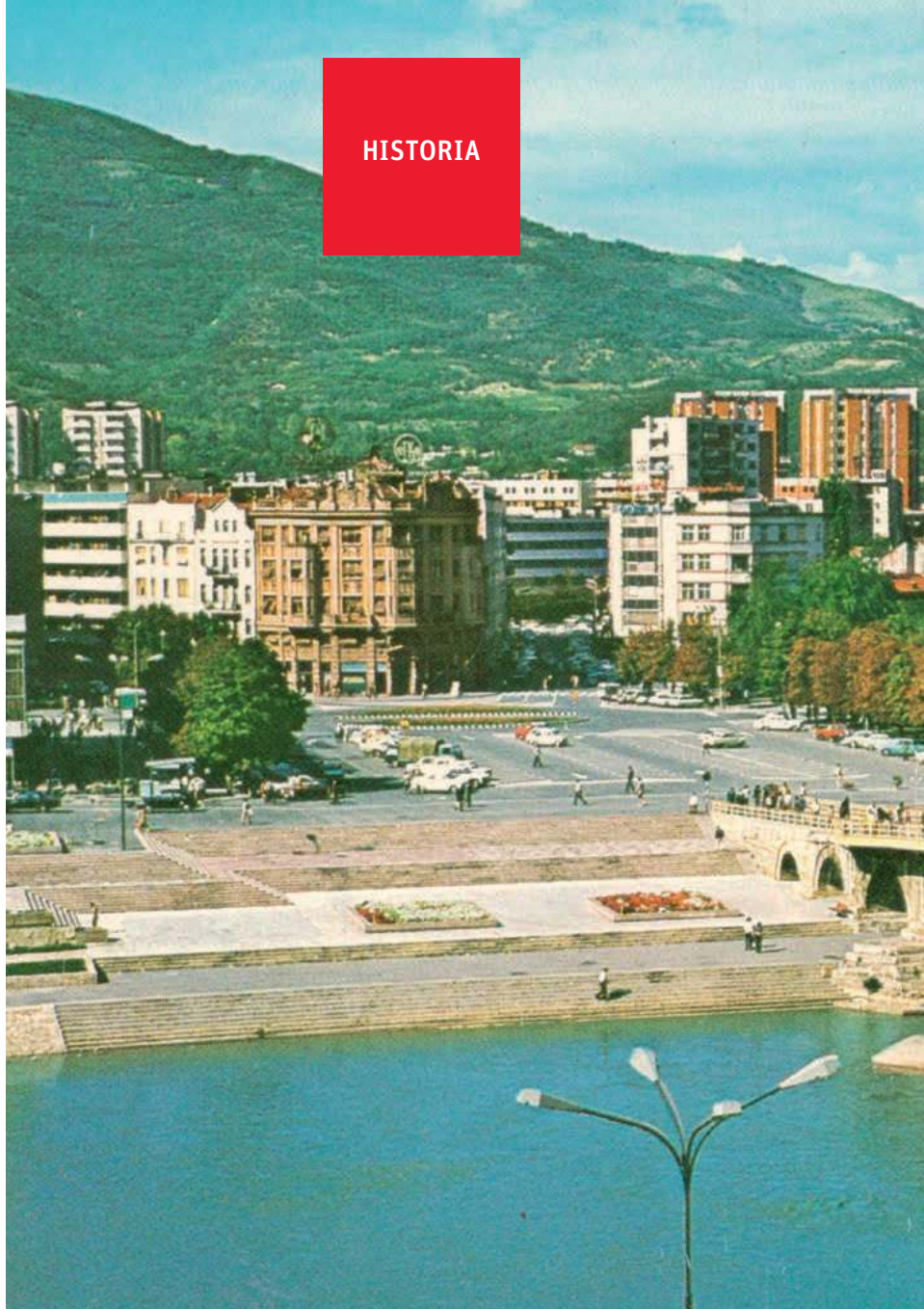
Może to pozostające w pamięci zniszczenia własnych miast podczas nieodległej wciąż II wojny światowej sprawiły, że świat zareagował wyjątkową solidarnością. W 1964 r. zaczął się bezprecedensowy w historii ONZ i świata projekt odbudowy macedońskiej stolicy jako miasta międzynarodowej solidarności. Niebagatelny swój udział mieli w tym dziele Polacy, m.in. warszawski Zespół Skopje z Pracowni Urbanistycznej Warszawy. Oni wiedzieli, co to znaczy zburzone miasto – świeża była pamięć o odbudowie własnej stolicy.

O odbudowie Skopje i zapomnianej dziś roli warszawskich urbanistów opowiada książka „Warszawa rysuje Skopje”, wydana przez Fundację Centrum Architektury. Jej autorka Kinga Nettmann-Multanowska – językoznawczyni, menadżerka kultury zainteresowana architekturą i urbanistyką – spędziła w Skopje ponad cztery lata. Towarzyszyli tam mężowi Jackowi, który pełnił funkcję ambasadora w macedońskiej stolicy.

Ważnym elementem jej działań w Skopje było odkrywanie polskich śladów w Macedonii, co zaowocowało m.in. powstaniem filmu „Skopje. Sztuka solidarności” czy wystawą „Skopje. Miasto, architektura i sztuka solidarności” w krakowskim Międzynarodowym Centrum Kultury.

© MARTA SZPALA

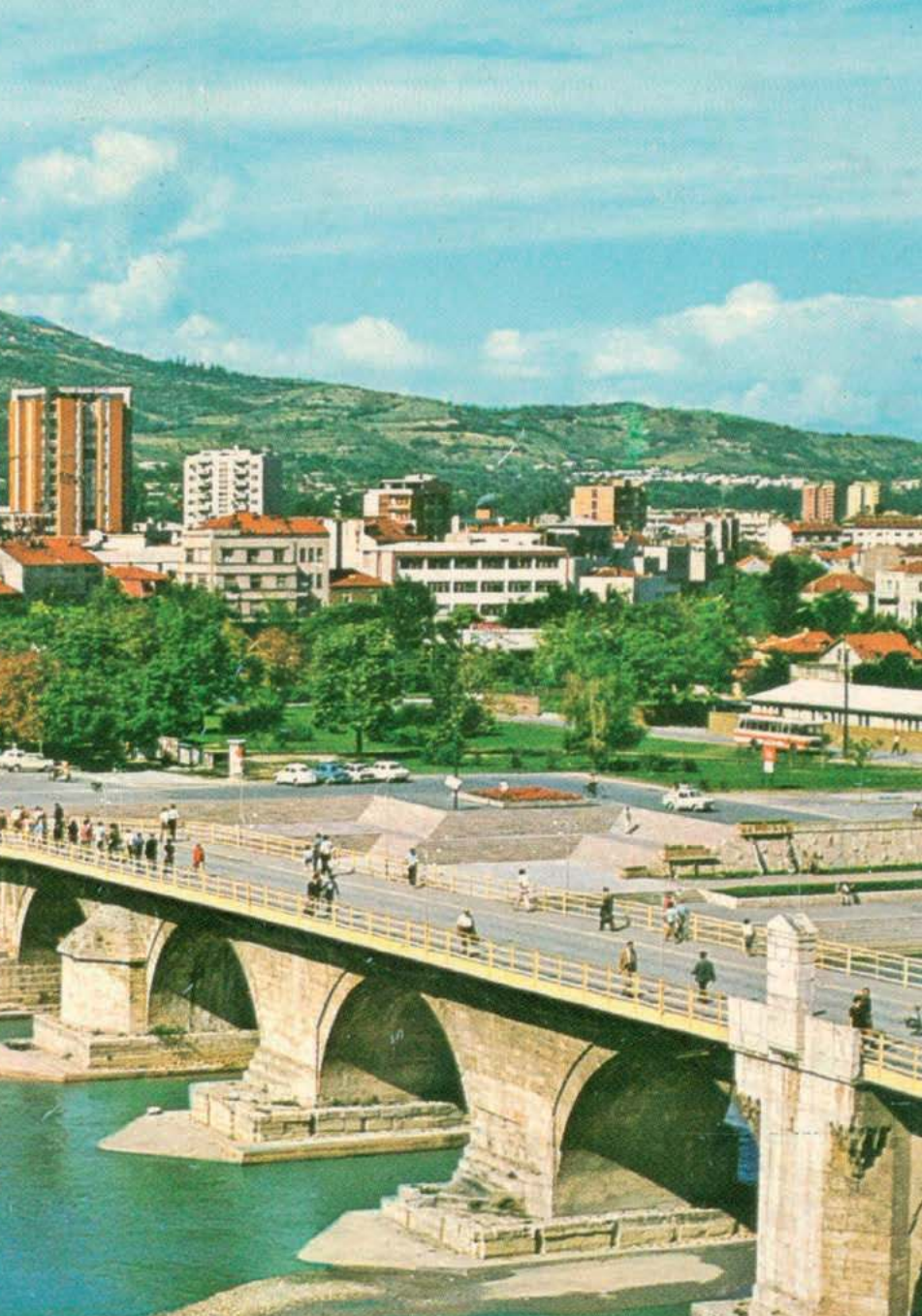
HISTORIA



JAK POLACY KREŚLILI SKOPJE

KINGA NETTMANN-MULTANOWSKA:

Odbudowa macedońskiej stolicy 60 lat temu to nie tylko triumf polskiej myśli urbanistycznej, ale też wyznaczenie wzorców dla wykorzystywania socjologii w planowaniu miasta.



POCZTÓWKA Z ARCHIWUM KINGI NETTMANN-MULTANOWSKIEJ // „WARSZAWA RYSUJE SKOPIE”

Plac Marszałka Tity (obecnie plac Macedonii) w Skopje, koniec lat 70.

MARTA SZPALA: Skąd pomysł, by napisać książkę o roli polskich urbanistów w odbudowie Skopje?

KINGA NETTMANN-MULTANOWSKA: Gdy przeprowadzałam się do Skopje, niewiele o nim wiedziałam. Mój pobyt to było odkrywanie, jak wiele wnieśli tam Polacy. Po powrocie do kraju uczestniczyłam w przygotowaniach do wystawy w krakowskim MCK. Podczas kwerendy w polskich archiwach znalazłam mnóstwo dokumentów i świadectw dotyczących polskiego zaangażowania w odbudowę. Czułam żal, że ta historia została zapomniana. W Skopje jest ulica Warszawska i ulica Adolfa Ciborowskiego, architekta i urbanisty, ale rola Polaków

nie jest szerzej znana, szczególnie młodym mieszkańcom miasta. Chciałam napisać tę książkę przede wszystkim dla nich, aby pokazać, jak duży wpływ na obecny kształt Skopje mieli nasi urbanisci, a także socjolodzy.

Miałam to szczęście, że siedmiu członków warszawskiego Zespołu Skopje zgodziło się podzielić swoimi wspomnieniami. Nieoceniona była też rola dzieci polskich urbanistów. To z nimi tworzymy teraz opowieść o odbudowie miasta oczami dzieci: co zapamiętały z wydarzeń sprzed prawie 60 lat, gdy odwiedzały pracujących tam ojców. Bo ten zespół był prawie wyłącznie męski, była w nim tylko jedna kobieta – Maria Niemczyk.

Jak to się stało, że polscy urbanisci odegrali kluczową rolę w przygotowaniu planu odbudowy po trzęsieniu ziemi?

Był to splot uwarunkowań politycznych, osobistej determinacji ówczesnego naczelnego architekta Warszawy Adolfa Ciborowskiego i doświadczeń polskich urbanistów, którzy chcieli wykorzystać swoje umiejętności, by pomóc innemu zniszczonemu miastu.

Zacznijmy może od polityki.

Tragedia Skopje spowodowała wybuch międzynarodowej solidarności po obu stronach żelaznej kurtyny. Polityka balansowania Jugosławii między Wschodem a Zachodem przełożyła się na zaangażowanie ponad 80 państw z obu ówczesnych bloków politycznych. Projekt odbudowy macedońskiej stolicy jako miasta międzynarodowej solidarności był także pierwszym tak wielkim przedsięwzięciem ONZ i organizacji bardzo na nim zależało. Miała to być jej wizytówka.

ONZ zleciła przygotowanie wstępnego planu urbanistycznego greckiej pracowni architektonicznej sławy – Constantinosa Doxiadisa. Mieli pracować z Macedończykami. Zważywszy jednak na trudne relacje między Skopje a Atenami podejrzewam, że nie była to decyzja dobrze przyjęta w Skopje. Poza tym Macedończycy, których odrębność została uznana dopiero niedawno, wtedy – w ramach komunistycznej Jugosławii – chcieli mieć wpływ na kształt swojej stolicy. Mówiąc wprost, wcześniej Skopje kształtowali i Turcy, i Serbowie, więc Macedończycy pewnie szukali kogoś, kto będzie ich traktował po partnersku. I tu pojawia się polski zespół, reprezentujący wschodni blok.

Z Adolfem Ciborowskim na czele.

Pomysł zaproponowania Jugosławii doradztwa planistycznego wyszedł najpewniej od niego. Dla władz PRL uczestnictwo w odbudowie Skopje było projektem prestiżowym, elementem polskiego *soft power* i budowania wizerunku nowoczesnego kraju wysokiej klasy specjalistów. Eksport „polskich mózgów” był tym, na czym władzom zależało. Najprawdopodobniej dlatego poparły ten pomysł.

Ciborowski i jego koledzy byli dumni z odbudowy Warszawy i chcieli przekazać oraz pokazać swoje *know how* światu. Było to genialne wykorzystanie okazji. Wśród ➔

→ urbanistów, którzy pracowali w Skopje, krąży opowieść, jak Ciborowski – wtedy członek grupy międzynarodowych ekspertów – podczas oficjalnego przyjęcia w marcu 1964 r. „załatwił” Polakom ONZ-owski kontrakt w Jugosławii, przedstawiając na papierowej serwetce prezydentowi Jugosławii Josipowi Broz Ticie założenia polskiego planu. Polacy zostali poproszeni o przygotowanie alternatywy wobec opracowania grecko-jugosłowiańskiego.

Dostaliśmy się do tego projektu fortelem, a okazaliśmy się lepsi?

Polska koncepcja planu ogólnego była rezultatem trzech miesięcy wyężonej i ochotniczej pracy. Jej efekty zaprezentowano na konferencji międzynarodowych ekspertów w Ochrydzie w lipcu 1964 r. Opracowanie warszawskie, bazujące na polskich doświadczeniach, okazało się w porównaniu z koncepcją Doxiadis bardziej ekonomiczne i łatwiejsze do wykonania. Grecki architekt, upraszczając, zaproponował porzucenie zniszczonego miasta i jego odbudowę w innym miejscu, ale było to rozwiązanie bardzo drogie i wymagałoby czasu. Mieszkańcy nie mogli czekać tak długo – miasto należało jak najszybciej przywrócić do życia, a Jugosławii, przeżywającej właśnie kryzys gospodarczy, nie było stać na „gwiazdorski” plan.

Co więcej, polski plan opracowano przy użyciu najnowocześniejszego cyfrowego wynalazku: polskiego komputera ZAM-2. Dzięki tej maszynie dokonano analizy kosztów realizacji różnych wariantów od-

budowy miasta i jego późniejszej eksploatacji. To zaimponowało zwłaszcza Amerykanom. Dzięki zastosowaniu opracowanej wcześniej dla Warszawy metody tzw. optymalizacji warszawskiej Polacy pokazali też, które tereny najlepiej nadają się pod budowę dużej liczby tak potrzebnych mieszkań i wskazali, jak miasto powinno się dalej rozwijać.

ONZ zwróciła się do polskiego rządu o zgodę na zaangażowanie Ciborowskiego na stanowisku dyrektora Projektu Planu Skopje z ramienia Funduszu Specjalnego ONZ. Polacy zaczęli pracę w Skopje 1 grudnia 1964 r. Niektórzy spędzili tam prawie dwa lata. Choć nie zrezygnowano całkowicie z zaangażowania Greków. Ci jednak, co przewija się we wspomnieniach warszawskich urbanistów, do końca traktowali ich chłodno. Mieli pewnie żal do Polaków, że odebrali im część ONZ-owskiego kontraktu.

W książce barwnie opisujesz spory między urbanistami i socjologami.

Z dokumentów i wspomnień wynika, że podejście polskiego zespołu do odbudowy Skopje opierało się na partnerstwie i współpracy z lokalnymi specjalistami. Polacy chcieli zbudować miasto z nimi, nie dla nich. Przyjechali jednak budować drugą Warszawę, a narzędzia zastosowane u nas okazały się nieprzystające do wielokulturowego miasta, jakim było Skopje. Dobitnie pokazało to pionierskie badanie, socjologicznie przygotowane na zlecenie ONZ również przez Polaków, które opisywało oczekiwania różnych grup et-

nicznych zamieszkujących macedońską stolicę i wykazywało podziały, zwłaszcza między wyznawcami różnych religii.

Dla gwiazd ówczesnej urbanistyki liczyła się forma i statystyka, z kolei władze komunistyczne chciały wykorzystać odbudowę do homogenizacji mieszkańców miasta. Tymczasem polscy socjologowie akcentowali uwzględnianie różnych potrzeb i oczekiwań mieszkańców, zachowania tradycyjnych więzów sąsiedzkich – i ostatecznie przekonali planistów.

Trudniej było przekonać władze. Odbudowa Skopje to nie tylko triumf polskiej myśli urbanistycznej, ale także wyznaczenie wzorców dla wykorzystywania socjologii w planowaniu miasta. Projekt ten był pierwszą taką okazją, by przy realizacji przedsięwzięcia o takiej skali tak szczegółowo przyglądać się miastu i jego mieszkańcom. Stał się wzorem dla późniejszych ONZ-owskich realizacji w innych częściach świata.

Macedończycy chcieli jednak zbudować sobie nowoczesne macedońskie miasto.

Jugosławia, a może zwłaszcza Macedończycy, chcieli zatrzeć pamięć o tureckiej przeszłości miasta. Była dla nich balastem. Chcieli zrewitalizować stare dzielnice – w domyśle: zburzyć „skopijskie slumsy”, w tym starą Čaršiję i jej czarne karawansaraje, które dziś przyciągają tylu turystów. Były to elementy niepasujące do nowoczesnej stolicy, którą chcieli zbudować. Podobnie zresztą jak ludność sympatyzująca z islamem nie pasowała „do obrazka”, a jej potrzeby spychano na dalszy plan.

Polacy nie do końca zdawali sobie sprawę z tego kontekstu. Traktowali Čaršiję jako symbol dziedzictwa i skopijskie Stare Miasto, które trzeba zachować i zintegrować z nowoczesnym centrum po drugiej stronie rzeki. Wielkimi obrońcami otomańskiej dzielnicy byli Ciborowski i Juliusz Wilski – im zawdzięczamy jej przetrwanie. Im i jej mieszkańcom. Čaršija bowiem odbudowała się sama, wysiłkiem samych mieszkańców.

Te zasługi nie są dziś pamiętane.

Po rozpadzie Jugosławii i upadku komunizmu Skopje szukało nowej opowieści o sobie. Polacy powiązani z jugosłowiańską i socjalistyczną przeszłością miasta byli częścią historii, od której

Sąd Rejonowy w Brzesku informuje, że w sprawie sygn. akt I Ns 483/20 o zasiedzenie z wniosku Józefa Syrka przedmiotem zasiedzenia jest działka nr 1998, a nie jak błędnie podano nr 1988.

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Przysusze pod sygn. akt I Ns 510/21 toczy się postępowanie z wniosku Gminy i Miasta Przysucha o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie własności nieruchomości, stanowiących drogi, położonych: w miejscowości Jakubów, gm. Przysucha, woj. mazowieckie, oznaczonej jako działka nr 469 o pow. 0,1500 ha; w miejscowości Dębiny, gm. Przysucha, woj. mazowieckie, oznaczonej jako działka nr 1078 o pow. 0,9600 ha oraz w miejscowości Smogorzów, gm. Przysucha, woj. mazowieckie, złożonej z działek oznaczonych numerami: 1043 o pow. 0,7800 ha i 1033 o pow. 0,1200 ha – nieruchomość przedstawiona na mapie wydanej przez Starostę Przysuskiego za nr kancelaryjnym GK.I.6621.1472.2021.

Wzywa się wszystkie osoby zainteresowane, by w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się i wykazały swoje prawa do tej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi nabycie własności przez posiadacza samoistnego – zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.



Maria Niemczyk z kolegami z Zespołu Skopje w skopijskim Instytucie Urbanistyki i Architektury, grudzień 1964 r. Na zdjęciu od lewej: Bożydar Rząd-Górnicki, Tihomir Arsovski, Maria Niemczyk, Stanisław Jankowski, Juliusz Wilski, Olgierd Kuncewicz.

chciano się odciąć. Szukano też kontrpunktu dla projektu Skopje 2014, zakładającego wznoszenie antykizujących gmachów w centrum miasta, który je ośmieszył. Skopjanie chcieli pokazać, że kiedyś ich miasto było nowoczesne, że są z niego dumni. Symbolem tej nowoczesności stał się Kenzō Tange: guru metabolistów, nowej architektury lat 60., który zwyciężył w osobnym rozpisany przez ONZ konkursie na plan samego centrum. Choć jego wizjonerska koncepcja została zrealizowana tylko w części, w powszechnym odczuciu jest on twórcą planu urbanistycznego Skopje.

Tymczasem Polacy dali Skopje nie tylko plan urbanistyczny, ale także Muzeum Sztuki Współczesnej.

Po trzęsieniu ziemi władze miasta zwróciły się do artystów z prośbą o pomoc w odbudowie miejskich zasobów muzealnych, gdyż podczas kataklizmu przepadły zabytki kultury macedońskiej. Spotkało się to z niesamowitym odzewem: do Skopje zaczęły napływać dary artystów z całego świata, w tym Pabla Picassa, Aleksandra Caldera czy Victora Vasarely'ego. Samego budynku muzeum jednak nie było.

Tymczasem w mieście powstawały budynki użyteczności publicznej – symbole międzynarodowej solidarności z miastem. Austria ufundowała szpital chorób zakaźnych, Rumunia poliklinikę, a Wielka Brytania budynek Teatru Dramatycznego. Lista darczyńców była długa. Polski w tym gronie nie było. Pomyśl, aby Polacy przygotowali projekt budynku Muzeum Sztuki Współcze-

snej, miał wyjść od Ciburowskiego, ale nie udało się mi znaleźć potwierdzenia tej informacji w dokumentach.

Macedończycy marzyli, by ten budynek zbudował dla nich sam Le Corbusier, legenda architektury.

Ten jednak odmówił i to my przygotowaliśmy projekt. Według mnie budynek muzeum to jeden z najbardziej szlachetnych i wyrafinowanych estetycznie gmachów w mieście, a zarazem najpiękniej położony. Usytuowanie muzeum na wzgórzu – skąd rozciąga się przepiękna panorama doliny Wardaru, tuż obok osmańskiej twierdzy zwanej z turckiego Kale – to też pomysł Ciburowskiego. Tym samym ślady przeszłości sąsiadują z symbolem uosabiającym dążenie macedońskiego społeczeństwa do nowoczesności.

Projekt lekkiego białego budynku zawieszonego nad miastem stworzyli Wacław Kłyszewski, Jerzy Mokrzyński i Eugeniusz Wierzbicki – trzej architekci nazywani „Tygrysami”. Niestety, gdy dziś polscy turyści przyjeżdżają do Skopje, szukając tu śladów Orientu, kierują się prosto na Kale i Čaršiję, pomijając z niewiedzy tę perłę modernizmu – jedną z lepszych polskich realizacji powstałych poza granicami kraju.

A piwnice tego budynku kryją skarby cenne także dla polskiej kultury...

Kolekcja muzeum liczy ponad 5 tys. dzieł, z tego ponad połowa to prace międzynarodowych artystów darowane po trzęsieniu ziemi – w tym ponad 200 dzieł ponad 130 polskich artystów. To niezwy-

kły zbiór, różnorodny pod względem technik i stylów. Taka kapsuła czasu prezentująca dorobek artystów tworzących w latach 60. wieku XX: od przedwojennych pionierów awangardy po ówczesnych młodych eksperymentatorów. Największe nazwiska polskiej sztuki – Brzozowski, Berdyszak, Lenica, Łunkiewicz-Rogoyska, Makowski, Nowosielski, Pągowska, Stażewski, Strumiłło, Ziemiński.

Niestety muzeum jest zbyt małe, by prezentować na co dzień te prace. Jego międzynarodowe zbiory są przecież ogromne. Fragment polskiej kolekcji polska publiczność mogła oglądać na wystawie w krakowskim MCK, a badanie tych zbiorów może być kolejną przygodą dla fachowców. Gorąco namawiam do odwiedzenia muzeum.

W obecnej sytuacji w Europie, gdy Rosja atakuje Ukrainę, aktualne wydają mi się słowa Zbigniewa Makowskiego, jednego z darczyńców: „We wszystkich językach jest parę wielkich słów: wolność, miłość ojczyzny, braterstwo, solidarność. Solidarność to święte słowo. Skrzydlate. I tyle”. Zapamiętałam też rozmowę z Janem Berdyszakiem, który wspominał, że wysłał do Skopje swoje prace bardziej jako człowiek niż jako artysta, bo wciąż pamiętał traumę wojny i wielkiej straty.

Twoja książka ukazała się w szczególnym momencie, gdy miasta ukraińskie są systematycznie burzone przez rosyjską armię. Choć końca tej wojny nie widać, coraz częściej pojawiają się pytania o odbudowę zniszczonego kraju.

Doświadczenie zburzonego przez trzęsienie ziemi Skopje trudno porównywać z obecną sytuacją Ukrainy. Jak mówił Adolf Ciburowski – ślepy żywioł jest mniej okrutny niż człowiek dokonujący z premedytacją dzieła zniszczenia. Doświadczenie odbudowy Skopje może być jednak drogowskazem, który pokazuje, jak istotna jest bezwarunkowa chęć niesienia pomocy, a zarazem zrozumienie i poszanowanie woli mieszkańców. Pomoc w odbudowie Ukrainy będzie testem naszego człowieczeństwa i wyrazem solidarności. Będzie wymagała tytanicznej, a może raczej mrówczej pracy. Jednocześnie historia Skopje daje nadzieję: pokazuje, że ludzie i ich zaangażowanie są w takich sytuacjach najważniejsi.

© Rozmawiała MARTA SZPALA

TYRAN, CESARZ I KRÓLOWA

W ostatnich dekadach dowiedzieliśmy się, że najslynniejszy z dinozaurów, *T. rex*, nie był samotnikiem. I tego, jak bardzo zmienił ekosystem. Domyślamy się już nawet, dlaczego miał kuriozalnie małe łapy.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

POSZUKIWANIA TRWAŁY PONAD PÓŁTORA roku. To może zaskakiwać, bo zaginiony do kruszynek nie należy. Waży 5,6 tony, ma 3,6 metra wzrostu, ponad 11 metrów długości. I przeszło 67 milionów lat.

A jednak Stan, jeden z najslynniejszych i najbardziej kompletnych (zawiera ok. 70 proc. kości) szkieletów *Tyrannosaurus rex* na świecie, jakby się rozpułnął w powietrzu. Odkryty w 1987 r. w formacji skalnej Hell Creek w Dakocie Południowej, zniknął po licytacji w domu aukcyjnym Christie's. W październiku 2020 r. tajemniczy nabywca zapłacił za niego prawie 32 mln dol. – najwyższą kwotę, na jaką wyceniono kiedykolwiek skamielinę. Wcześniej przez dekady Stan znajdował się w prywatnym Instytucie Badań Geologicznych Black Hills, który wykorzystywał go do produkcji odlewów, następnie sprzedawanych muzeom i prywatnym kolekcjonerom.

Gdy sprzedaż doszła do skutku, a szkielet zniknął, do akcji wkroczyli detektywi-amatorzy. Podejrzenie padło na aktora Dwayne'a Johnsona: podczas jego występu w telewizji ESPN w tle pojawiła się czaszka uderzająco podobna do tej Stana. Aktor jednak zaprzeczył, jakoby to on był tajemniczym nabywcą szkieletu – czaszka

była jednym z wielu odlewów wykonanych przez poprzednich właścicieli.

Na początku tego roku dziennikarze „National Geographic” w końcu ustalili, że 5,6-tonowa przesyłka o wartości 31 847 500 USD została wysłana z Nowego Jorku do Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Wydział Kultury i Turystyki w Abu Zabi potwierdził, że Stan zamieszka w budowanym właśnie Muzeum Historii Naturalnej na wyspie Saadiyat.

Zęby jak banany

Astronomiczna kwota zapłacona za szkielet dawno wymarłego zwierzęcia budzi obawy paleontologów o to, że może nakręcić czarny rynek skamieniałości i utrudnić badaczom dostęp do najciekawszych znalezisk. Stanowi też dobrą, wymierną wycenę tego, jak bardzo pociągają nas dinozaury. A zwłaszcza ten ogromny mięsożerca, o zębach wielkości bananów.

– Kiedy pytamy małe dzieci, dlaczego lubią dinozaury, odpowiadają na różne sposoby, ale zazwyczaj sprowadza się to do tego, że dinozaury są wielkie, groźne i wymarłe, więc nie mogą ich skrzywdzić – mówi „Tygodnikowi” prof. Kevin Padian, kurator Muzeum Paleontologii Uniwersytetu Kalifornijskiego.

– Tyranozaury były najgroźniejszymi drapieżnikami swoich czasów, a wszystko, czego dowiedzieliśmy się o nich w ciągu ostatnich 20 lat, tylko umacnia je na tej pozycji – dodaje.

Dla naukowców najciekawsze jest to, jakie pytania stawiają przed nami dinozaury. W przypadku *T. rex*a wiele odpowiedzi udało się już znaleźć.

Pierwsze zęby tego zwierzęcia odnaleziono w 1874 r. w Kolorado. Pierwsze stosunkowo kompletne szkielety – w 1900 i 1902 r. To właśnie te szkielety w 1905 r. zostały ochrzczone przez prezesa Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej Henry'ego Osborna imieniem *Tyrannosaurus rex*, czyli „królewski jaszczur-tyran”.

Początkowo olbrzym był uważany, podobnie jak pozostałe dinozaury, za wielką, letargiczną jaszczurkę. Do końca lat 50. nasza wiedza o dinozaurach utknęła w miejscu, w dużym stopniu przez wielki kryzys gospodarczy i wojny. Dopiero w latach 60. rozpoczął się prawdziwy paleontologiczny renesans. I bardzo szybko udało się ustalić,





KEVORK DJANSEZIAN / GETTY IMAGES

*Fragment szkieletu młodego Tyrannosaurusa
rexa na wystawie w Muzeum Historii
Naturalnej w Los Angeles, luty 2011 r.*

że te zwierzęta, bliżej spokrewnione z kanarkami niż legwanami, zdecydowanie letargiczne nie były.

– Dinozaury były przedstawiane jako wielkie, głupie, ociężałe zwierzęta, zazwyczaj żyjące w pojedynkę – mówi prof. Padian. – Dziś wiemy, że żyły w złożonych grupach, miały mózgi proporcjonalnie większe niż typowe gady. Rosły bardzo szybko, co oznacza, że miały szybki metabolizm i dobre ukrwienie mózgów.

Zalety małej łapy

Sam Padian przeprowadził niedawno badanie, które miało rozwiązać jedną z tyranozaurzych zagadek, od lat zaprzatającą uwagę paleontologów oraz autorów złośliwych komiksów, szydzących z ułomności megadrapieżnika. Cho-

dzi o przednie kończyny, w porównaniu z ogromnym cielskiem mięsożercy niemal komicznie małe. Mierzący 180 cm wzrostu człowiek o podobnych proporcjach miałby ręce o długości 20 cm.

Na pierwszy rzut oka przednie łapy *T. rex* wydają się zupełnie bezużyteczne. Tuż po odkryciu pierwszych w miarę kompletnych szkieletów tyranozaura paleontolog Henry Fairfield Osborn zasugerował, że łapy mogły służyć czepianiu się tyranozaurów podczas kopulacji. Problem w tym, że były zbyt krótkie i bardzo mało mobilne, co utrudniało wykorzystanie ich w jakikolwiek kreatywny sposób.

– Około dwudziestu lat temu pojawiły się wyliczenia, z których wynikało, że te kończyny były dostatecznie silne, by *T. rex* mógł wycisnąć na ławce 200 kg – mówi prof. Padian. – Tyle że nie byłby

w stanie zbliżyć się do niczego na tyle blisko, by to złapać – dodaje.

Ten sam problem towarzyszył innym proponowanym wyjaśnieniom zagadki: że łapki *T. rex* służyły do przytrzymywania ofiary, pomagały zwierzęciu podźwignąć się z ziemi, były używane do dźgania wrogów czy ułatwiały wykonywanie zwrotów podczas biegu. Pojawiła się też hipoteza, że służyły do komunikacji. Ale jeśli wizja dwóch spotykających się na prehistorycznej polanie *T. rex*ów machających do siebie przyjaźnie nie jest dostatecznie komiczna, niedawno zaproponowano, że ogromni drapieżcy mogli korzystać z kończyn do... przewracania śpiących roślinożerców, takich jak triceratopsy.

Ta praca została przedstawiona niedawno na jednej z konferencji, ale potem nie została opublikowana. Jesteśmy w miarę pewni, że to był żart – mówi prof. Padian.



⇒ On sam podszedł do problemu z innej strony. Przodkowie tyranozaurów mieli ramiona o zdecydowanie bardziej użytecznych rozmiarach i zdecydowanie bardziej mobilnych stawach. Skoro tak, to pytanie nie powinno brzmieć: „jaką funkcję pełniły krótkie ramiona *T. rex*?”, ale raczej: „co zyskały te zwierzęta na redukcji rozmiaru łap?”.

– Żadna z proponowanych funkcji ramion nie działa w praktyce, a we wszystkich z nich zdecydowanie lepiej sprawdziłyby się dłuższe kończyny – przekonuje prof. Padian. – Uważam więc, że powinniśmy przestać zastanawiać się nad tym, do czego służyły, a zaczęły patrzeć na nie przez pryzmat reguły wykorzystywania i niewykorzystywania – dodaje.

Bezpieczeństwo na uczcie

Prof. Padian posłużył się więc analogią do współczesnych wielkich, gadzich drapieżników: waranów z komodo. Gigantyczne jaszczurki polują w grupach, ale przy stole nie lubią się dzielić. Największe zwierzęta pierwsze dopadają zdobyczy i gwałtownie ją rozszarpują, pozostawiając dla mniejszych pobratymców ochłapy. Mniejsze warany starają się trzymać z daleka od uczty tych silniejszych, bo zbliżenie się do nich podczas jedzenia jest niezwykle ryzykowne. Większym waranom nie robi wielkiej różnicy to, czy wyrwą kawał mięsa ze zdobyczy, czy z krewniaka.

– Co by się stało, gdyby kilka dorosłych tyranozaurów zebrało się wokół zwłok? Masz obok siebie kilka ogromnych paszcz rozdzierających mięso i rozgryzających kości. Jeśli jeden z kolegów podczas takiej uczty uzna, że nieco za bardzo zbliżasz się do jego części posiłku, może w ramach ostrzeżenia odgryźć ci ramię – mówi prof. Padian. – Zacznieś krwawić, możesz doznać szoku i umrzeć. Zwłaszcza że nawet jeśli tyranozaurowy nie miały jadu, to ich paszcze pewnie były pełne chorobotwórczych bakterii. A jeśli umrzesz, koledzy cię zjedzą – dodaje.

Redukcja przednich kończyn tyranozaurów miała więc być sposobem na uniknięcie przypadkowego zranienia podczas takich zbiorowych uczt. Korzyści ze zmniejszenia ryzyka zranienia przez innego tyranozaura miały być o wiele większe niż straty wynikające z faktycznej utraty możliwości korzystania z przednich łap. A o tym, że maniery przy stole były rzeczywiście dość osobliwe, do-

Młodociane tyranozaurowy były zbudowane podobnie do strusi.

Miały wąskie, długie czaszki, były szybkie i bardzo zwinne. Z ekologicznej perspektywy funkcjonowały jak osobny gatunek.

bitnie świadczyć może fakt, że na wielu szkieletach *T. rex*ów i innych wielkich drapieżników znajdowano ślady obrażeń najwyraźniej dokonanych przez zęby ich pobratymców.

Nie można wykluczyć, że w dalszym toku ewolucji przednie kończyny tyranozaura zanikłyby zupełnie. Podobny proces wystąpił choćby u karnotaurusa – dwunożnego drapieżcy, który grasował po Ameryce Południowej kilka milionów lat przed erą tyranozaurów, a którego przednie kończyny zmieniły się w małe wyrostki.

Proponowane przez Padiana rozwiązanie zagadki rąk tyranozaura wiąże się z innym odkryciem, które zmieniło to, jak naukowcy postrzegają dziś tych wielkich mięsożerców. Jeszcze w „Parku Jurajskim” były one przedstawiane jako samotni łowcy, bardziej podobni swoim zachowaniem i miejscem w ekosystemie do tygrysów niż do wilków czy lwów. Tymczasem odkopane w ostatnich latach szczątki sugerują, że mogły być zwierzętami niezwykle towarzyskimi. Żeby nie powiedzieć – rodzinnymi.

– Znaleźliśmy kilka stanowisk, na których w jednym miejscu znajdowały się szczątki kilku zwierząt w różnym wieku – mówi paleontolog. – Gdyby takie stanowisko było tylko jedno, trudno byłoby wyciągać z tego wnioski. Ale skoro ta sytuacja się powtarza, musimy przyjąć, że jest możliwe, iż te drapieżniki polowały w grupach mieszanych wiekowo.

Nisza dla nastolatków

Różnice anatomiczne między dojrzałymi a młodocianymi tyranozaurami były na tyle znaczące, że z perspektywy ekologii mogły one funkcjonować jak dwa różne

gatunki. W opublikowanej w ubiegłym roku analizie zespół Katlin Schroeder twierdził, że ten dymorfizm wiekowy naznaczył cały ekosystem w dużej części mezozoiku (erze trwającej od ok. 252 do 66 mln lat temu).

Wśród znanych nam drapieżnych dinozaurów brakuje bowiem „średniaków” – oprócz wążących tony gigantów, takich jak tyranozaurowy czy alozaurowy, w zapisie kopalnym pojawiają się głównie drobne drapieżniki (poniżej stu kilogramów), takie jak welociraptory. To tak, jakby na dzisiejszej sawannie nie było niczego pomiędzy łasicami a lwami. Tymczasem roślinożerne dinozaurowy występowały w rozmaitych kategoriach wagowych – gdzie podzielić się więc drapieżniki wążące setki kilogramów, które zjadałyby średniej wielkości ofiary? Według Schroeder tę niszę ekologiczną w całości zajęły właśnie dorastające giganty.

– Młodociane tyranozaurowy były zbudowane podobnie do strusi. Miały wąskie, długie czaszki, były szybkie i najwyraźniej bardzo zwinne – tłumaczy prof. Padian. – Dorosłe miały szerokie, mocne czaszki o potężnej sile zgryzu. Nie były szczególnie szybkie. Ale jeśli polowały w mieszanych wiekowo grupach, to nie ma znaczenia, że jesteś w stanie uciec największym ze zwierząt, skoro dopadną cię mniejsze.

Urozmaicenie kształtów i rozmiarów tyranozaurów stanowi jednak dla naukowców pewien problem. Niedawno opublikowana propozycja wywołała w paleontologii sporo zamieszania.

Trzy różne gatunki?

Badając 37 okazów tyranozaurów znajdujących się w rozmaitych kolekcjach, zespół Gregory’ego S. Paula zidentyfikował powtarzające się w nich różnice anatomiczne. Niektóre ze zwierząt miały, mimo podobnych rozmiarów, stosunkowo delikatne kości udowe. Różnice pojawiały się też w pyskach: jedne osobniki miały pojedyncze siekacze, inne podwójne, wąskie zęby.

Do tej pory uważano, że za tę zmienność odpowiadają dymorfizm płciowy lub przypadkowe różnice genetyczne. Paul twierdzi jednak, że świadczą one o czymś więcej: o tym, że to, co uznawaliśmy dotąd za jeden gatunek niepodzielnie władający światem megajaszczurów, w rzeczywistości jest trzema osobnymi gatunkami, być może reprezentującymi

w różnym okresie tę samą linię ewolucyjną. Proponowanym przez siebie gatunkom uczeni nadali nowe nazwy: *Tyrannosaurus regina* i *Tyrannosaurus imperator* – „królowa” i „cesarz” jaszczurów-tyranów.

Hipotezę ma potwierdzać fakt, że różne formy tyranozaurów znajdowane są w nieco innych warstwach osadowych. 29 z badanych okazów pochodziło z północnoamerykańskich formacji liczących od 67,5 do 66 mln lat. Badacze wyróżniają trzy warstwy tych osadów. W najstarszych pokładach znajdowano jedynie grube kości udowe.

Warstwa górna zawierała wyrównaną mieszankę kości obu typów. Jednocześnie zwierzęta o lżejszym koście miałły mniej siekaczy.

Hipoteza jednak nie spotkała się z ciepłym przyjęciem. Większość badaczy uznała, że dowody są zbyt słabe, by pisać na nowo podręczniki paleontologii i scenariusze hollywoodzkich filmów. Ilustruje ona jednak dobrze fakt, że badając pozostałości świata sprzed 66 mln lat zawsze będziemy natrafiali na nowe zagadki. Zwłaszcza że pod ziemią wciąż mogą czekać miliony pozostałości prehistorycznych zwierząt.

Według paleontologów z Uniwersytetu Kalifornijskiego, którzy oszacowali potrzeby terytorialne i żywieniowe dorosłych *T. rexów*, a także ich tempo wzrostu i rozmnażania, przez 2-3 miliony lat rządów tyranozaurów przez Ziemię przewinęło się mniej więcej dwa i pół miliarda przedstawicieli tego gatunku (ok. 20 tys. osobników miało żyć w każdym z ponad 125 tys. pokoleń).

Ile z ich szkieletów czeka na odkrycie i ile ma dla nas nowe odpowiedzi oraz nowe zagadki? To już ich głęboka tajemnica.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI



Park Jurajski a rzeczywistość

Na to, jak wyobrażamy sobie dinozaury, najmocniej wpłynął Steven Spielberg. Jego „Park Jurajski” z 1993 r. i seria sequelei zmieniły statyczne istoty z naukowych ilustracji w żywe, aktywne stworzenia, równie przekonujące, co prawdziwe zwierzęta z przyrodniczych filmów dokumentalnych. Ale „przekonujący” to nie to samo, co „realistyczny”. Jak ma się filmowy wizerunek *T. rexa* do tego, co dziś wiedzą o nim naukowcy?

WOJCIECH BRZEZIŃSKI: W pierwszym „Parku Jurajskim” jest słynna scena, w której grany przez Sama Neilla prof. Grant twierdzi, że *T. rex* widzi jedynie poruszające się obiekty. Jak dobry był ich wzrok?

PROF. KEVIN PADIAN: Nie wiem, czy dałoby się w jakikolwiek sposób odczytać ze skamieniałości to, czy jakieś zwierzę widziało jedynie poruszający się obiekt. Ale wiemy, że *T. rex* miał całkiem dobre oczy. Widział zarówno obiekty przed sobą,

jak i z boku, jego pole widzenia miało ok. 180 stopni.

Filmowy *T. rex* jest w stanie utrzymać tempo uciekającego jeepa. Jak szybkie były w rzeczywistości?

Ten jeep jedzie z prędkością około 70 km/h. John Hutchinson, który badał muskulaturę dinozaurów, szacuje, że dorosłe *T. rexy* poruszały się z prędkością bliższą 17-20 km/h. A najnowsze badania jeszcze obniżają ten próg do 5-10 km/h. Prawdopodobnie

moglibyśmy im uciec na piechotę.

Na filmie tyranozaurowi mają skórę podobną do krokodyla, nie do końca gładką, ale też niezupełnie pokrytą łuskami. Jak wyglądała w rzeczywistości?

Nie jesteśmy pewni. Nie wiadomo mi o żadnych zachowanych odciskach skóry tyranozaura ani blisko spokrewnionego z nim albertozaura. Nie mamy na razie żadnych dobrych tropów. Jest możliwe, że nowo wykłute tyranozaurowi były pokryte izolacyjną warstwą puchu, podobnie jak małe słonie są pokryte sierścią. Ale w miarę wzrostu zwierzęcia izolacja staje się mniejszym problemem, a konieczność odprowadzania ciepła większym, dlatego najbardziej prawdopodobne jest, że dorosłe już upierzenia nie miały.

Czy tyranozaurowi ryczały? Były w stanie w ogóle wydawać dźwięki?

Wszystkie gady wydają rozmaite dźwięki. Tyranozaurowi niemal na pewno miały krtań, ale zapewne nie miały krtani dolnej [występującej u ptaków narząd odpowiadający za wydawanie dźwięków – red.], więc nie były kanarkami. Jednak krokodyle są w stanie

wydawać bardzo głośne odgłosy, żółwie syczą, rozmaite dźwięki wydają z siebie także jaszczurki – można więc założyć, że dinozaury wydawały dźwięki, choć nie jestem w stanie określić, jak brzmiały.

Filmowy *T. rex* jest uparty, ale niezbyt błyskotliwy. Co wiemy o ich potencjalnej inteligencji?

Nie jestem ekspertem od mózgu, ale ludzie zazwyczaj starają się określić inteligencję, mierząc proporcje wielkości mózgu do rozmiarów ciała. To rodzaj proporcji logarytmicznej, bo mózg nie musi rosnąć aż tak bardzo wraz ze zwiększaniem się rozmiarów zwierzęcia. Kluczowa jest złożoność mózgu; jak rozbudowane są jego różne obszary. Wiem na pewno, że tyranozaurowi były wystarczająco bystre, by przetrwać przez miliony lat. My mamy ogromne mózgi, jesteśmy zapewne najinteligentniejszym gatunkiem w historii planety, ale zobaczymy, jak długo sami pozwolimy sobie przeżyć.

© Rozmawiał
WOJCIECH BRZEZIŃSKI

PROF. KEVIN PADIAN jest paleontologiem, pracuje na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley.

Kogo stać na nowy ogon

ŁUKASZ KWIATEK

W wielu liniach ewolucyjnych zanikła zdolność do regeneracji utraconych części ciała. Właściwie dlaczego?

JEDNYM Z NAJWAŻNIEJSZYCH SŁÓW w biologii – przynajmniej w biologii ewolucyjnej – jest kompromis.

Wyobraź sobie, że jesteś krabem. Albo jaszczurką. Masz szczypce, którymi walczysz i zdobywasz pokarm, albo ogon, który pomaga ci się przemieszczać i utrzymywać równowagę (a może nawet stanowi osobistą spiżarnię, w której gromadzisz zapasy tłuszczu). Tak się składa, że te części ciała zbudowane są z segmentów, między którymi występuje połączenie przypominające gniazdko i wtyczkę. I gdy znajdziesz się w niebezpieczeństwie, możesz po prostu wyciągnąć wtyczkę z gniazdka. Odrzucisz ogon albo kończynę, by to na niej skupił się drapieżnik. Okaleczysz się, ale w kontrolowany i bezpieczny sposób – i ujdiesz z życiem.

Wiele gatunków jaszczurek i salamander, a także stawonogów i głowonogów posiada tę zdolność – biolodzy nazywają ją autotomią – i korzysta z niej najczęściej właśnie w sytuacji zagrożenia. Nie trudno zrozumieć przydatność autotomii, choć nie jest wcale jasne, w jaki sposób wyewoluowała (zresztą stało się to niezależnie u przynajmniej dziewięciu różnych grup zwierząt), tzn. jak doszło do powstania połączeń „wtyczka-gniazdko” w częściach ciała, bez których w ostateczności można się obejść. Choćby przez jakiś czas.

Jeśli bowiem masz trochę szczęścia, to należysz do tej grupy gatunków, które nie tylko potrafią odrzucić jakąś część ciała, ale także ją później zregenerować. Mogłoby się wydawać, że umiejętność wyhodowania utraconych kończyn rozwiązuje wiele problemów – i jeśli już pojawi się w jakiejś linii ewolucyjnej, to nie będzie powodu, by z czasem zanikła. A jednak wielokrotnie do tego doszło. Dlaczego?

Dlatego, że ewolucja to jedno wielkie pasmo kompromisów.



Kraby *Hemigrapsus nudus* zachowały umiejętność regeneracji utraconych kończyn.

Tara Prestholdt z Uniwersytetu w Portland i współpracownicy właśnie opublikowali w czasopiśmie „Behavioral Ecology” raport z eksperymentu, w którym sprawdzali, jak radzą sobie w życiu kraby z gatunku *Hemigrapsus nudus*, które dokonały autotomii szczypiec lub odnóży, w porównaniu z osobnikami, które nie musiały tego robić, oraz takimi, które zdążyły już zregenerować utraconą kończynę (jest ona mniejsza o ok. 10-15 proc. od oryginalnej, a więc jej wydajność powinna być niższa). Jak zapewniają badacze, wszystkie skorupiaki w docelowej kondycji odłowione zostały z naturalnego środowiska (występują powszechnie na zachodnim wybrzeżu Ameryki Północnej) – w laboratorium nie dochodziło do żadnych drastycznych scen.

Sprawność krabów testowano w czterech aspektach: zdobywania pożywienia, przemieszczania się, rywalizacji między samcami i płodności.

Najpierw nieco wyhodowane kraby wsadzano do wiadra z wodą, w której znajdował się kawałek ryby. Okazało się, że

skonsumowanie go zajmuje prawie tyle samo czasu zdrowym osobnikom, co tym ze zregenerowanymi szczypcami lub pozbawionym tylko jednej pary. Osobniki pozbawione obu par szczypiec radziły sobie znacznie gorzej – potrzebowały aż czterokrotnie więcej czasu na skończenie posiłku.

W drugiej części eksperymentu, także zgodnie z przewidywaniami, zaobserwowano, że kraby z amputowanymi odnóżami poruszają się wolniej od osobników zdrowych lub tych po regeneracji – i w ogóle częściej pozostają w bezruchu. Mają także większe trudności ze schodzeniem z większych wysokości.

W przypadku bezpośredniej konfrontacji, co ciekawe, samce pozbawione pary szczypiec zachowywały się porównywalnie agresywnie jak samce zdrowe i równie rzadko wycofywały się z pojedynków. Te samce, którym szczypce odrosły, były znacznie mniej agresywne i częściej uciekały z pola walki.

Płodność zmierzono z kolei u samic – skrupulatnie zliczając pod mikroskopem liczbę wyprodukowanych przez nie jajeczek. Zdrowe samice składały ich średnio 15 tys., okaleczone (pozbawione kilku odnóży lub jednej pary szczypiec) – powyżej 10 tys., podczas gdy samice ze zregenerowanymi kończynami – ok. 6 tys.

Ten wynik, jak twierdzą autorzy eksperymentu, może sugerować, dlaczego w niektórych liniach ewolucyjnych dochodzi do zaniku zdolności do regeneracji amputowanych kończyn. W przyrodzie nie ma bowiem niczego za darmo – żeby wyhodować na nowo utraconą część ciała, trzeba zainwestować czas i energię, które można by przecież spożytkować inaczej (np. płodząc potomstwo). I jeśli korzyści wynikające z regeneracji straconej kończyny nie przewyższają kosztów regeneracji, to taka umiejętność w toku ewolucji zostanie wyeliminowana – bo osobniki regenerujące kończynę z pokolenia na pokolenie będą mieć mniej dzieci, którym tę umiejętność przekażą. U krabów *H. nudus* jeszcze do tego nie doszło, a więc regeneracja musi im się nadal opłacać – przynajmniej w pewnych okolicznościach.

To właśnie w tym kontekście ewolucjoniści mówią o kompromisach. Jeśli jesteś krabem, to albo wyhodujesz nowe szczypce, albo będziesz mieć więcej dzieci. Wybór jednak nie zależy od ciebie.

TOMASZ

Stawiszyński: Mrok i słodycz



WIELOKROTNI ZASTANAWIAŁEM SIĘ NAD fenomenem nie tyle popularności, ile raczej kultowości Depeche Mode. Choć niewykluczone, że nie jestem do takich analiz najlepszym kandydatem. To zadanie niebawale trudne, a możliwe na-

wet, że niewykonalne: dokonać zobiektywizowanego zobioru jakiegoś zjawiska, pozostając w jego ścisłym wnętrzu. Podobnie jak rozważania o religii – dajmy na to, chrześcijańskiej – prowadzone przez katolika będą siłą rzeczy obarczone pewnym zakrzywieniem poznawczym, tak i moje rozważania o źródłach radykalnej czci, jaką fani i fanki otaczają Depeche Mode, również ulegną takiemu zakrzywieniu. Z prostego powodu, który najwyższy czas już wypowiedzieć na głos – otóż od 32 lat sam się zaliczam do grona wielbicieli, ba, wyznawców tej niezwyklej grupy. Grupy, której już nie ma – mówię to z pełną odpowiedzialnością – odkąd 26 maja 2022 r. zmarł Andrew Fletcher, jej współzałożyciel, a zarazem, podobnie jak David Gahan i Martin Gore (wspomnijmy też Alana Wildera, który odszedł z zespołu w latach 90.), jej nieusuwalna składowa, niemożliwy do zastąpienia element.

Oczywiście, Fletcher muzycznie nigdy nie odgrywał takiej roli jak dwaj pozostali. Niepowtarzalne brzmienie brytyjskiego tria, niepowtarzalna aura przez to brzmienie ewokowana, to przede wszystkim utwory Gore'a w interpretacji Gahana (tu ważne uzupełnienie: na ostatnich albumach pojawiły się także piosenki napisane przez tego ostatniego, niektóre brzmiące niczym esencjalne DM, choćby „Should Be Higher” z „Delta Machine”). Niemniej okoliczność, że ten złożony z bardzo intensywnych osobowości zespół przetrwał ponad 40 lat, niezmiennie wydając płyty i koncertując – to była w ogromnym stopniu właśnie zasługa Fletchera. Spełniał on funkcję swoistego intermediariusza, łącznika pomiędzy Gahanem i Gore'em, dzięki któremu – pomimo periodycznych kłótni i emocjonalnych zawirowań – ci dwaj byli w stanie tworzyć kolejne płyty. Czy więc bez Fletchera jeszcze jakieś – sygnowane marką Depeche Mode – powstaną?

Zastanawiają się nad tym dzisiaj miliony fanów na całym świecie. A raczej – znowu się poprawię – miliony wyznawców. Pojęć o konotacji religijnej uporczywie używam w tym tekście z pełną świadomością, choć – żeby było jasne – metaforycznie, a nie dosłownie. Nie chcę powiedzieć na poważnie, że miłość do muzyki Depeche Mode to religia, lecz raczej, że w tym specyficznym konglomeracie fanowskich emocji, wyobrażeń i postaw pobrzmiewa jakaś duchowa nuta. Bierze się to bezpośrednio z twórczości samego zespołu, nie bez powodu definiowanej czasami jako ekspresja wrażliwości bez mała gnostyckiej.

Jak ją najkrócej scharakteryzować? Oto pobieżna rekonstrukcja wraz z odnośnikami do poszczególnych utworów. Świat jest miejscem okrutnym, w którym mnóstwo cierpienia i śmierci („Fly on the Windscreen”, „New Dress”); relacje społeczne naznaczone są przemocą i pragnieniem dominacji („People Are People”, „Master and Servant”); nie istnieje żaden ogólny sens, żadna opowieść, dzięki której da się pomyśleć rzeczywistość jako coś więcej niż tylko ślepe, rządzone przypadkiem dzieło procesów fizycznych i przyrodniczych („Blasphemous Rumours”, „Nothing”); jedynym doświadczeniem zdolnym wyprowadzić poza ten bezsens i pustkę jest miłość, ale nie abstrakcyjna, tylko erotyczna, nie *agape*, lecz *eros* („Stripped”, „Black Celebration”, „World in My Eyes”, „I Feel You”, „Higher Love”).

Ten przekaz – rzecz jasna, o wiele bogatszy, można by jeszcze długo o nim pisać – współtworzą literackie, piękne teksty Martina Gore'a, oryginalna barwa wokalu Davida Gahana, specyficzna estetyka wypracowana przez Antona Corbijna oraz niepokojące, jedyne w swoim rodzaju muzyczne aranżacje. Daje to efekt niepowtarzalny, niepodrabialny, niepodobny do niczego innego. Dwoma zaś fundamentalnymi jakościami – z pozoru tylko pozostającymi w kontradycji – charakteryzującymi to dalece wykraczające poza muzykę popularną zjawisko, jakim jest Depeche Mode, są mrok i słodycz. Taka właśnie, mroczno-słodka, jest ich twórczość. Taki właśnie świat się z niej wyłania. Takie właśnie jest doświadczenie przez nią uruchamiane.

Dla wielu nastolatków w latach 80. i 90. – w tym i dla mnie – Depeche Mode oznaczało nie tylko ukochany zespół, specyficzny styl ubierania się, ale także światopogląd, sposób przeżywania, wrażliwość, perspektywę, z której patrzy się na rzeczywistość. I nawet jeśli w miarę dorastania nasz obraz świata, nasza filozofia zmieniła się, dojrzała, rozbudowała – jakiś zasadniczy depeszowski rdzeń pozostał niezmienny. To jest chyba najbardziej dobitny dowód nieprzemijalności przesłania Depeche Mode, choć śmierć Fletchera niewątpliwie kończy pewną epokę. ©

Przed Sądem Rejonowym w Tarnobrzegu w I Wydziale Cywilnym, pod sygn. akt I Ns 649/21 toczy się postępowanie z wniosku PGE Dystrybucji S.A. w Lublinie o stwierdzenie nabycia spadku po Józefie Winiarskim, s. Franciszka i Katarzyny, zm. 30 czerwca 2008 r. w Tarnobrzegu, jego ostatnim miejscu zwykłego pobytu.

Sąd Rejonowy w Tarnobrzegu wzywa spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny toczy się postępowanie pod sygn. akt I Ns 1109/21 o stwierdzenie nabycia spadku po Marku Uścińskim, zm. 21 lutego 2021 r. w Łosicach, ostatnio stale zamieszkałym w Lubominie.

Sąd wzywa, by spadkobiercy w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

HISTORIA ZAKORZENIONA

Żeby stworzyć lepsze państwo, potrzeba przede wszystkim lepszej mapy.
Najlepszą z dotychczasowych narysował Rafał Matyja.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

AUTOR „MIEJSKIEGO GRUNTU” SKĄPI NAM tego, czego inni dostarczają z nadstatkiem – łatwych odpowiedzi, oczywistych recept, jednoznacznego wskazywania wrogów. Zamiast po prostu powiedzieć, kto w trwającej od 250 lat polskiej „grze z nowoczesnością” wygrał, a kto jest przegranym, podejmuje próbę zrozumienia reguł samej gry i ukazania planszy, na której się ona toczy.

W ten sposób staje się autorem historii alternatywnej podwójnie. Jego ostatnia książka stanowi uzupełnienie zarówno szkolnej „historii głównego nurtu”, jak i coraz popularniejszych „przeciwhistorii” (choćby porywających „ludowych historii Polski” Adama Leszczyńskiego, Kacpra Pobłockiego, Michała Rauszera i innych). Nie chodzi o historię ludzi ani miejsc, ani nawet idei, lecz znacznie bardziej zagmatwanych relacji między nimi. Trzeba ją położyć obok „Jedwabnych szlaków” Petera Frankopana czy „Ratusza i rynku” Nialla Fergusona, którą już w „Tygodniku” omawiałem.

To rozproszenie sprawia, że nie wróżyłem pracy Matyi sukcesu, na jaki by zasługiwała. Bo który z warszawskich czy krakowskich „liderów opinii” będzie się chciał zagłębiać w dzieje Bielska-Białej, Nowego Sącza, Wałbrzycha lub Rzeszowa? I to w dodatku niesprowadzone do prostej, jednorodnej „prowincji” przeciwstawionej wielkomiejskiemu „centrum”, lecz ukazane w całej swej złożoności?

Ale może się myliłem? Może przyznana właśnie Matyi nagroda im. Marcina Króla sprawi, że „Miejski grunt” stanie się kluczowym punktem odniesienia w polskiej debacie publicznej? Oby.

Król był tylko jeden

Zmarły półtora roku temu Marcin Król był – jeżeli mogą sobie pozwolić na odrobinę prywaty – recenzentem mojej pracy magisterskiej. Recenzja była bardzo pozytywna, po obronie jednak profe-



sor podszedł do mnie i niezwykle uprzejmie wskazał wielgachne dziury w moim rozumowaniu. Nie dlatego, żeby mi dokuczyć, ale dlatego, że uznał mój pomysł za na tyle ciekawy, by warto było pracę napisać od nowa. Nasza rozmowa trwała znacznie dłużej niż sama obrona.

Wcześniej byłem zapalonym czytelnikiem prac prof. Króla, jednak od tamtego momentu zacząłem dostrzegać w nim przede wszystkim kogoś, kto widział więcej, wybiegał naprzód, a przede wszystkim – jak nikt potrafił obnażać banały. Był krytykiem, a nie krytykantem; dekonstruktorem, ale nie burzycielem. Jestem przekonany, że czymś takim powinna być historia idei. Nie ich kroniką, lecz właśnie wskazaniem dziur i głów-

nych linii napięć. Po to, by na błędach się nauczyć i zbudować coś lepszego. Dlatego ucieszyłem się, gdy Fundacja Batorego ustanowiła nagrodę im. Marcina Króla za „najlepszą książkę z dziedziny historii idei i badań nad przyszłością, filozofii i myśli społecznej i politycznej, refleksji nad cywilizacją i kulturą, wprowadzającą nowe idee, koncepcje czy sposoby myślenia”. Moja radość była jeszcze większa, kiedy okazało się, że nagrodę otrzymał właśnie „Miejski grunt”.

U Matyi przeczytamy zarówno o cywilizacyjnych dokonaniach Rosjan okupujących Warszawę, jak też o fatalnych konsekwencjach zaborów dla rozwoju sieci łączącej polskie miasta; przeczytamy o wyzwaniach cywilizacyjnych, z jakimi

wiązało się odzyskanie niepodległości, i o rżących nadużyciach II RP; o awansie cywilizacyjnym, jaki umożliwiła PRL, i o absurdach gierkowskiej ekonomii; o wykorzystanych i zmarnowanych szansach transformacji. Jest to zatem książka zaskakująco apolityczna, jeżeli chodzi o wspieranie stron, demaskowanie winnych i przyznawanie racji. Zarazem jednak „Miejski grunt” to praca na wskroś polityczna w sensie bliskim Królowi – pokazuje, jak powstaje polityka i czym jest uwarunkowana. To książka, która zakorzenienia idee w rzeczywistości zbudowanej nie z dobrych chęci i wzniosłych haseł, lecz z drewna, stali, betonu albo szkła.

Muzyka sfer

W jednym z rozdziałów Matyja proponuje, żeby na fasadach budynków publicznych umieszczać napis „Tu próbujemy zapanować nad własnym losem”. Gra z nowoczesnością jest właśnie tym – próbą opanowania nieprzewidywalnej rzeczywistości. Wynik tej gry ma kluczowy wpływ na nasze funkcjonowanie, a jednak zazwyczaj nie zdajemy sobie z tego sprawy.

To dlatego, że zjawiska, o których pisze Matyja, są trochę jak muzyka sfer. W starożytnych wierzeniach był to dźwięk wydawany przez tarcie niewidzialnych kręgów, na których zawieszone były ciała niebieskie. Brzmienie to otacza nas od urodzenia, nie słyszymy go więc, przyzwyczajeni do jego wszechobecności. Podobnie działa tytułowy „miejski grunt”. Pod pojęciem tym kryje się cała infrastruktura nowoczesności, gwarantująca nam – w sensie dosłownym – ciepłą wodę w kranie.

Za sprawą wypowiedzi Donalda Tuska i bieżącego sporu stała się ona symbolem braku ambicji i politycznej bylejakości. Książka Matyi przywraca jej należne miejsce, przypominając, że życie bez wody w kranie, bez kanalizacji, szkoły, dróg, kolei, wiadomości było koszmarem. Koszmar ten może wrócić, bo dobra cywilizacji nie są dane raz na zawsze. Nie zstąpiły z nieba idee, lecz wyłaniały się z mazołem ze splecionej sieci interakcji ludzi, instytucji i materialnych zasobów.

Matyja opisuje nowoczesność jako rozciągnięty na stulecia „wysiłek zbudowania gruntu pod nogami dla wszystkich bez wyjątku”. To historia zakorzeniona, ➔

Lublin, czerwiec 2013 r.



WOJCIECH PACIEWICZ / PAP

→ prowadzona z poszanowaniem szczegółów: jednostkowych biografii, zbiegów okoliczności, uwarunkowań geograficznych, dostępności zasobów itd. To także trudna historia zakorzeniania – budowania nad Wisłą, Odrą i Dunajcem świata stabilnego oraz przewidywalnego.

Książka składa się z samych konkretnych. Zamiast rozprawy o słabości i sile władzy monarszej czytamy o tym, jak konfederaci barscy przekroczyli rzekę Białą. Spór między pozytywistami a romantykami opisany zostaje na przykładzie poznańskiego Bazaru. Paradoxy i pułapki PRL-owskiej modernizacji śledzimy sprzed taśmy montażowej w fabryce samochodów w Bielsku-Białej.

Historia rozproszona

To właśnie w tym sensie historia opisywana przez Matyję jest „rozproszona”. Nowoczesność wydarza się w wielu miejscach naraz. Nie dlatego, że składa się z licznych wynalazków, innowacji, decyzji, które spotykałyby się w jakimś centrum, lecz dlatego, że wielopunktowość jest jej istotą. Historia nowoczesności jest historią coraz bardziej spleczanych zależności między ludźmi żyjącymi daleko od siebie i nieświadomymi swego istnienia.

Opowiadając o państwach i samorządach, straży pożarnej, fabrykach, strukturach urbanistycznych, uniwersytetach czy towarzystwach gimnastycznych, Matyja prowadzi spójną narrację o tym, jak po Polsce i Europie rozsnuwała się niewidzialna pajęczyna zaufania łączącego ludzi. Czasem mierzonego kredytem, czasem prawem czy regułami współżycia społecznego, a czasem wspólnotą języka lub etnosu.

Jednak na kartach „Miejskiego gruntu” można odczytać także równoległą, mroczną historię. To dzieje nienawiści, niszczenia, wyzysku, tyranii, inwigilacji, wreszcie – ludobójstw. A więc wszystkiego tego, co sprawia, że codzienność pozbawiona jest stabilnego gruntu, a życie ludzkie osuwa się w przepaść. Czasem dosłownie.

Te dwie historie – ciepłej wody w kranie i technik ludobójstwa – przeplatają się w sposób niebanalny. Matyja nie powtarza łatwych argumentów o prostej drodze prowadzącej od oświecenia do Auschwitz. Zamiast tego po prostu składa obydwie narracje – o blaskach i cieniach nowoczesności – z materialnych konkre-

tów: z torów kolejowych, kabli elektrycznych, z betonu.

Rozwój opisywany przez Matyję jest nieliniowy. Ma wiele centrów, nie zawsze związanych prostymi relacjami. Szczególnie interesujące wydały mi się historie awansu związanego z uzyskiwaniem statusu miasta wojewódzkiego i utraty prestiżu wiążącej się z pozbawieniem tegoż statusu. Miałem świadomość znaczenia tych lokalnych nobilitacji, np. po lekturze prac o historii Wałbrzycha. Jednak teraz po raz pierwszy przeczytałem historię całej Polski (a miejscami Europy), w której kolejne reformy administracyjne okazują się kluczowymi punktami zwrotnymi. Historię tym ciekawszą, że Matyja obok utraty statusu miasta wojewódzkiego opisuje też wzrost znaczenia miast powiatowych. Na zmniejszeniu wagi lokalnego centrum zyskać mogą dotychczasowe peryferia. Procesy centralizacji i decentralizacji dokonują się bowiem nie tylko w skali kraju, lecz także w skali regionalnej.

Matyja używa określenia „grubość węzła władzy” – i tym właśnie, między innymi, są dla niego ośrodki miejskie. To węzły w złożonej sieci nowoczesności. Ich rozmiar i znaczenie zależy nie tylko od liczby budynków administracyjnych, połączeń kolejowych czy szerokości alei, lecz także od wzajemnych powiązań, których nie dostrzeżemy, studiując historie miast osobno.

Metropolitalność jawi się tu jako ucieczka z peryferyjnego statusu i przybierać może różne oblicza. Dla Warszawy czy Wrocławia realizuje się przez wpisanie w sieć europejskich wielkich miast. Ale dla wielu mniejszych ośrodków gra toczy się o inną stawkę – o bycie centrum dla jakiejś lokalności, o podmiotowość samodzielną wobec stolicy. Matyja pokazuje, że te lokalności nierzadko okazywały się trwalsze niż granice państwowe czy ustroje. Choć oczywiście arbitralnie kreślone w stolicach granice nieraz przebiegały w poprzek historycznych sieci powiązań, przerywając połączenia kolejowe, wygaszając handel, a nawet dzieląc same miasta.

Wiejski grunt

Takie spojrzenie na dzieje Polski pozwala autorowi „Miejskiego gruntu” dostrzec znaczenie samorządu: od oporu wobec władzy królewskiej aż po kluczowe narzędzie absorpcji środków unijnych. Książka stanowi więc odtrutkę na

„mentalny centralizm”, który zbyt często kształtuje nasze postrzeganie historii. „Dziś Warszawa rządzi Polską jak krajem, który kończy się tuż za Grodziskiem Mazowieckim, Błoniem, Otwockiem” – ubolewa Matyja. Pomysł na Polskę, który ogranicza się do rozwoju kilku największych miast, nigdy nie będzie dobry także dla samych metropolii, które – jak pokazuje „Miejski grunt” – czerpią siłę z dobrze zaprojektowanych relacji z rozwijającym się otoczeniem. Dlatego właśnie, żeby stworzyć lepsze państwo, potrzeba przede wszystkim lepszej mapy.

W tym kontekście chciałbym postawić pytanie, które po lekturze „Miejskiego gruntu” zostało bez odpowiedzi. Co z wiejskim gruntem? Czy skupiając się na większych i mniejszych ośrodkach miejskich, nie przegapiamy jeszcze istotniejszej przestrzeni gry z nowoczesnością? U Matyji przeczytamy wprawdzie o „wielkim wyparciu” towarzyszącym awansowi społecznemu, o wstydzie i zakłopotaniu, odcięciu się od wiejskich korzeni. Ale czy książka opowiadająca historię Polski wyłącza z perspektywy miast nie powtarza w pewnym stopniu tego gestu odcięcia?

Warto w tym kontekście przywołać wiekowy już argument Michaela Liptona o tzw. *urban bias*, czyli skrzywieniu miejskim. To wada perspektywy, która sprawia, że nawet wrażliwi intelektualiści opisują rozwój swoich krajów wyłącznie z punktu widzenia dużych ośrodków. Tylko miasta kojarzone są z nowoczesnością, tylko w nich widzi się przyszłość. Dlatego np. wnioski grantowe i fundusze publiczne projektuje się tak, żeby budowa autostrady była atrakcyjniejsza niż remont lokalnych dróg, a nowy stadion czy gmach publiczny wydawał się „nowocześniejszy” niż sieć pomp zapewniających nawodnienie tysiącom rodzinnych gospodarstw rolnych.

Tymczasem – jak pokazał Joe Studwell w książce „How Asia Works” – o powodzeniu programów modernizacyjnych decyduje zdolność dostrzegania i rozwijania także wiejskiego gruntu. Patrząc na Koreę czy Japonię widzimy Seul albo Tokio. Nie widzimy tego, co pokazują dopiero dane ekonomiczne – że sukces gospodarczy azjatyckich tygrysów oparty był na poszanowaniu wiejskiej tradycji, reformie rolnej i zachowaniu mądrej równowagi między rozwojem wsi i miast. Niestety w Polsce, zwłaszcza po 1989 r., uwierzyliśmy, że przyszłość leży wyłącznie w mieście.

Czekam więc na część drugą – „Wiejski grunt” – która stanowiłaby odtrutkę na to upośledzenie naszej percepcji.

Przeciw historii symbolicznej

Nasze myśli są „więźniami historii” zbudowanej wokół patriotycznych symboli i „utkanej ze spraw niepewnych” – ostrzega Matyja, sytuując się w kontrze do historii symbolicznej, a więc pisanej z punktu widzenia abstrakcyjnych wartości i idei.

Najlepiej widać to na przykładzie niepodległości – kluczowej wartości, wokół której prowadzona jest zwykle podręcznikowa historia Polski. W opowieści Matyi, pisanej z perspektywy Bielska-Białej czy Nowego Sącza, niepodległość nie znika, przeciwnie: zyskuje konkretny, materialny wymiar, przetłumaczona na język gmachów administracyjnych i połączeń kolejowych, ale też zmieniających się relacji handlowych i wspomnianych wcześniej lokalnych układów metropolitalnych.

W ten sposób Matyja podważa wiele stereotypów, na których zwykle osnuta była historia Polski. Np. wspomnianą już opozycję między romantykami i pozytywistami. W tym celu wystarczyło pokazać, że kultura też ma swoją infrastrukturę. Idee zakorzenione są w materialności.

Najważniejsza zmiana punktu ciężkości dotyczy jednak wojny. W opowieści Matyi nie ma ona w sobie nic wzniosłego. I wojna światowa opisywana w „Miejskim gruncie” to nie wymarsz Pierwszej Kadrowej i odzyskanie niepodległości, lecz bezsensowne zburzenie Kalisza. Wojna nic nie tworzy. Jest siłą chaosu i entropii niszczącą miejski grunt i rozbijającą jedną z najważniejszych, najbardziej niedoświadczonych wartości w historii – ciągłość.

Nic dziwnego, że patronem stosunku Matyi do wojny staje się Hašek. „Przygody dobrego wojaka Szwejka” demaskują wojско jako „strukturę groteskową”, opartą na szowinizmie i tępym lojalizmie. „Apokalipsa zaczyna się wtedy, gdy jakimś trafem zamiast starostą czy dyrektorem szkoły ludzie o takich predyspozycjach zostają generałami, ministrami, gdy zaczynają decydować o losach narodów” – przestrzega Matyja, a jego słowa brzmią niepokojąco aktualnie.

II wojna światowa to ostateczne usunięcie się gruntu spod nóg – całkowity rozpad świata. „Miejski grunt” powtarza tu tezy stawiane wcześniej m.in. w „Czar-

U Matyi przeczytamy o wyzwaniach po odzyskaniu niepodległości i o nadużyciach II RP; o awansie cywilizacyjnym PRL i o absurdach gierkowskiej ekonomii.

nej ziemi” Timothy’ego Snydera czy „Revolution from Abroad” – rzadko u nas komentowanej, wczesnej pracy Jana Tomasz Grossa. Obydwaj autorzy przekonali, że najgorsze zbrodnie możliwe były nie dzięki wszechmocy aparatu państwa, lecz właśnie dzięki jego rozpadowi umożliwiającemu różne formy prywatyzacji przemocy.

Nie tylko rozpad państw narodowych, ale też ich odbudowywanie przedstawia Matyja w sposób radykalnie odmienny, niż to się zwykle robi. O powojennych mapach politycznych pisze, że powinny być wypełnione nie jednolitymi kolorami, a cieniowaniem. Zero-jedynkowa logika, do której przyzwyczajeni jesteśmy studiując historię państw narodowych, nie pasuje do historycznych danych o strukturze ludnościowej Lublina, Lwowa, Wrocławia, Białegostoku czy Wilna.

W „Miejskim gruncie” banalną prawdę o „scalaniu” polskiej państwowości po zaborach zobaczyłem przełożoną na język konkretów – opisaną przez sieć połączeń kolejowych czy budowę urzędów wojewódzkich. Przyznam, że dopiero teraz zrozumiałem, o co chodziło w rozdziałach „budowa portu w Gdyni” oraz „Centralny Okręg Przemysłowy w widłach Wisły i Sanu”, które jak przez mgłę pamiętam z licealnego podręcznika.

Opowiedzieć historię inaczej

W „Bezradności liberałów” Marcin Król pisał o napięciu między liberalizmem a pamięcią. Jeszcze przed epoką kultu „żołnierzy wyklętych”, gdy nowa mitologia powstania warszawskiego dopiero się rodziła, zwracał uwagę, że liberalizm może wiele stracić na swojej tendencji do ahistoryczności. Liberałowie boją się historii, zwłaszcza tej romantycznej. Boją się też patriotyzmu. „Patriotyzm to poczucie wspólnoty – niekoniecznie wspólnoty wyobraźni, ale na pewno zbiorowego losu.

Bardzo trudno sobie wyobrazić, żeby taka pamięć miała charakter chłodny i opisowy, całkowicie pozbawiony emocji – czytamy u Króla. – Redukcja do niepamięci jest zatem dla myśli liberalnej zabiegiem bardzo kuszącym”. Tyle że to ślepa uliczka. Żeby uratować liberalizm, potrzebujemy pomysłu na liberalną opowieść o historii i liberalny patriotyzm.

Książkę Matyi można czytać jako odpowiedź na to wyzwanie; jako propozycję modelu patriotyzmu, w którym budowa wspólnych, stabilnych zasad okazuje się ważniejsza od jednostkowej wygranej lub przegranej. Można by powiedzieć, że Matyja jest państwowcem, gdyby nie to, że jego książka pokazuje, że państwo nie może być wyłącznym gwarantem zasad. Że równie ważne okazują się władze miejskie i samorządy, lokalne wspólnoty i oddolnie tworzone stowarzyszenia. Owszem, „państwo jako wspólnota polityczna jest rusztowaniem, które może nadać sens różnicom poglądów i przekonań”, jednak by zapewnić grunt pod nogami i skutecznie „grać z nowoczesnością”, potrzebujemy współpracy wielu podmiotów. Opowiadana przez Matyję historia ma więc konkretny morał.

Doskonale podsumowuje to uzasadnienie decyzji kapituły przyznającej nagrodę im. Marcina Króla: „Książka Matyi pozwala także mieć nadzieję, że ludzie wokół nas są gotowi troszczyć się o tytułowy grunt pod nogami i budować to, co wspólne. Co prawda wszyscy od czasu do czasu wyjmujemy z szafy odświętne ubrania i sztandary, by zademonstrować, jak radykalnie nasza tożsamość różni się od tożsamości sąsiadów z naszej kamienicy czy bloku. Jednak następnego dnia musimy się o tę kamienicę czy blok na nowo wspólnie zatroszczyć. Właśnie sieć budynków, miast, dróg, kolei, ale też instytucji jest naszą szansą na aktywną rolę w globalnych procesach modernizacyjnych”.

Takiego myślenia o wspólnej przestrzeni i związanej z nim nadziei bardzo dziś potrzeba. ©



Rafał Matyja,
MIEJSKI GRUNT.
250 LAT POLSKIEJ GRY
Z NOWOCZESNOŚCIĄ,
Karakter, Kraków 2021.



Komu obraz, komu?

PIOTR KOSIEWSKI

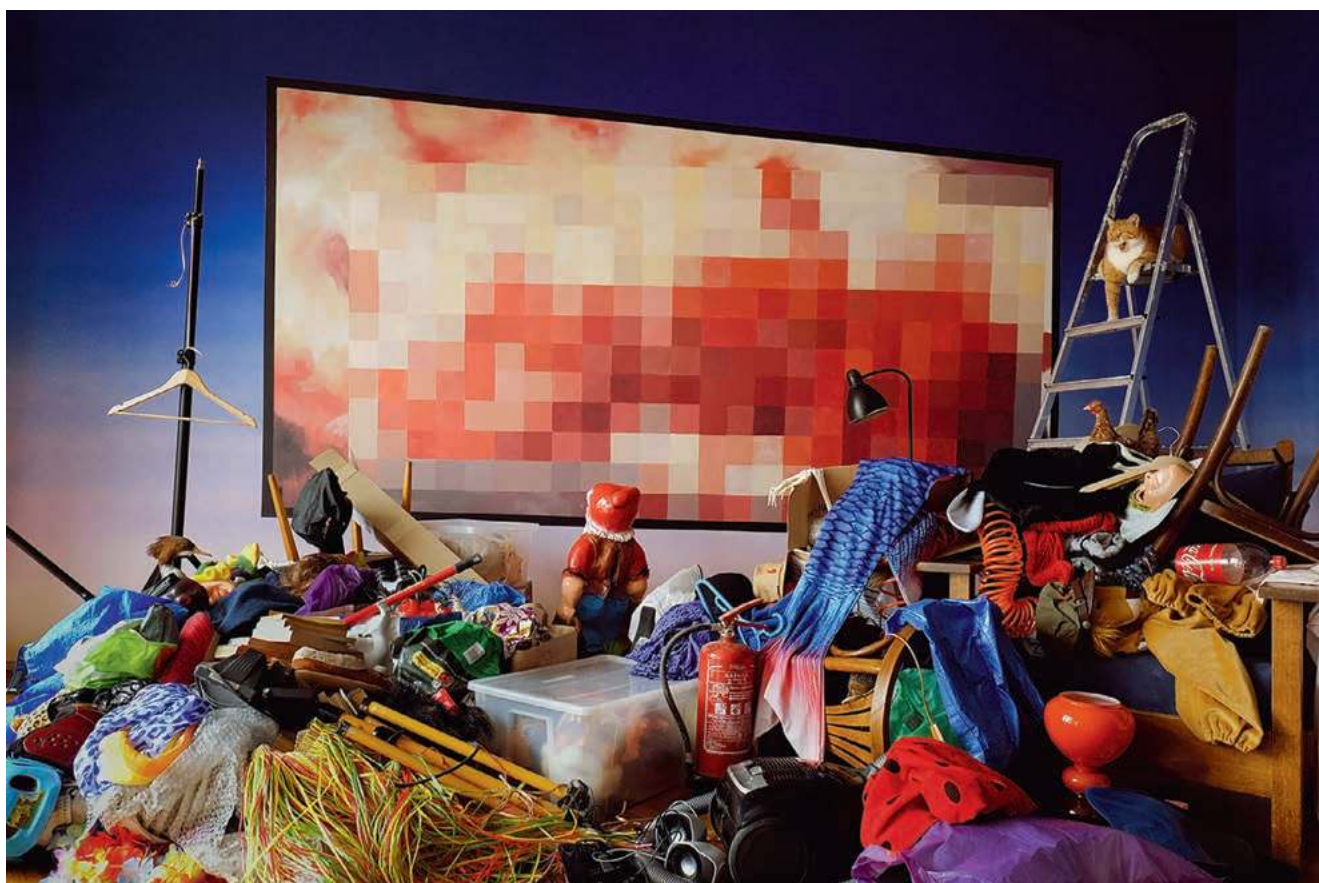
Po raz dwudziesty odbywa się w Krakowie Miesiąc Fotografii. Jego tegoroczna edycja pokazuje, że fotografia nadal może pomóc w opisanu i zrozumieniu naszej rzeczywistości.

PODCZAS KOLEJNYCH EDYCJI MIESIĄCA można było zobaczyć twórczość uznanych fotograficzek i fotografów, od Walkera Evansa, Paula Grahama i Marthy Rosler po Anetę Grzeszykowską i Forensic Architecture, ale też młodych, którzy, jak Francuz Mohamed Bourouissa czy Polki Dominika Gęsicka i Diana Lelonek, należą obecnie do kluczowych postaci w świecie sztuki. Co więcej, sekcja ShowOFF poświęcona młodemu pokoleniu stała się jednym z najmocniejszych punktów festiwalu.

Dwie dekady festiwalu składają do podsumowań. Jednak twórcy Miesiąca niemal zrezygnowali z celebrowania jubileuszu. No właśnie – „niemal”: zauważono go wystawą w Bunkrze Sztuki zatytułowaną „Nie od razu zbudowano”. Jej kurator Stanisław Ruksza zaproponował opowieść o Krakowie z czasów minionych edycji festiwalu. W szczególnym ujęciu, bo zwracając uwagę na to, co przez te dwie dekady było pomijane, ignorowane czy „zamiatane pod dywan”.

Łukasz Surowiec upomina się o tujejszych bezdomnych – przed kilku laty zamienił salę Bunkra na miejsce, w którym mogli się schronić, a w czasie pandemii za pośrednictwem Airbnb wynajął dla nich kilka mieszkań, z których nie korzystali turyści. Z kolei Marta Romankiv przedstawia





Powyżej: **IRENA KALICKA**, *Billboard*, 2021. Fotografia z wystawy „I Was Lookin’ Back to See if You Were Lookin’ Back at Me to See Me Lookin’ Back at You”
Po lewej od góry:

HENRYK HERMANOWICZ, *Nowa Huta, os. XX-lecia PRL (obecnie os. Albertyńskie), ogródek jordanowski, lata 60. XX w.*
KAROLINA GEMBARA, *Uklon. Ćwiczenia z gościnności*, 2021. Część projektu „WELCOME” realizowanego przez kolektyw MNRT

projekt pomnika, który ma upamiętnić służące, będące przed wojną jedną z najliczniejszych w Krakowie grup pracowników. Jest tu też praca Agi Szreder i Rafała Żwirka o przedmiotowym traktowaniu kobiet jako „narzędzi do rodzenia”, ryzykowna, dla niektórych zapewne drastyczna, bo z *quasi*-pornograficznymi elementami.

„Nie od razu zbudowano” mówi wreszcie o konfliktach czy podziałach. W jednej z sal Bunkra znalazła się mapa Polski, na której zaznaczono miejsca koncertów grupy muzycznej Nagrobki (Maciej Salamon i Adam Witkowski), co jednocześnie dobrze pokazuje przepełnienie kraju. Wybory dotyczące muzyki okazują się wiele mówić o innych wyborach: politycznych czy kulturowych.

„Nie od razu zbudowano” z jeszcze jednego powodu może zaskakiwać – niemalże nie ma na niej fotografii. A wystawa przecież odbywa się w ramach Miesiąca jej poświęconego. Jednak nie

po raz pierwszy organizatorzy festiwalu odchodzą od klasycznie rozumianych zdjęć. Ich bardziej interesuje samo obrazowanie – co i w jaki sposób jest dziś obecne w wizualnej przestrzeni. Siłą krakowskiej imprezy od początku było nieustanne odnoszenie się do współczesności, stawianie pytań o rolę fotografii obecnie, o jej miejsce w dzisiejszym świecie. A tegoroczną edycję Miesiąca zorganizowano pod hasłem: „Dlaczego obrazy?”.

Obejrzałem się

Patrzeniu, oglądaniu obrazów i oglądaniu poprzez obrazy poświęcono główną wystawę zatytułowaną „I Was Lookin’ Back to See if You Were Lookin’ Back at Me to See Me Lookin’ Back at You” (fragment utworu zespołu Massive Attack „Safe from Harm”). Zorganizowano ją w socrealistycznym budynku dawnego kina „Światowid” na osiedlu Centrum E, mieszczącym dziś Muzeum Nowej Huty.

Kuratorki Magdalena Kownacka i Anna Olszewska zaprosiły do udziału zarówno artystów, jak i naukowców, by wspólnie przyjrzeć się wzajemnym relacjom człowieka, obrazu i technologii. Powstała intrygująca, pełna nieoczywistości ekspozycja, w której prace sprzed lat sąsiadują ze współczesnymi.

Czarno-białe zdjęcia Henryka Hermanowicza i Józefa Lewickiego, pokazujące codzienne życie dawnej Nowej Huty: zabawy dzieci, gabinet dentystyczny lub salon fryzjerski, sąsiadują z pracą duetu post_noviki, w której „zaglądamy” pod podszewkę rzeczywistości, ujawniając to, co kryje się za zwyczajnymi, wręcz banalnymi widokami warszawskich ulic. Fragmenty tworzonego przez Władysława Hasiora przez blisko trzy dekady „Notatnika fotograficznego”, gdzie na zasadzie wizualnych skojarzeń zestawiał autorskie fotografie, reprodukcje z książek czy kartki pocztowe, szukając między nimi związków i zaskakujących analogii, ➔

Największą zaletą tej wystawy jest pokazanie nieoczywistych analogii między przeszłością i teraźniejszością (a także przyszłością). Wzajemne przyglądanie się sobie, niczym w tekście Massive Attack: „Obejrzałam się, żeby sprawdzić, czy obejrzałeś się za mną, żeby zobaczyć, czy patrzę na ciebie”. Wreszcie – szukanie korzeni współczesności, nieoczekiwanych jej źródeł. Dawne techniki okazują się tutaj zaskakująco aktualne i nie mniej innowacyjne niż najbardziej zaawansowane technologie cyfrowe. Karolina Jarzębak stworzyła niezwykle wizerunek ikonicznej postaci nowych mediów – Doomera, reprezentanta (bo najczęściej jest to on, a nie ona) młodego pokolenia zmagającego się z uczuciem beznadziei i pustki. Nie skorzystała z nowych mediów, lecz z dawnych technik tworzenia intarsji, nadal praktykowanych w Kalwarii Zebrzydowskiej. Film Marka Chlanda wygląda jak zapis encefalogramu. Powstał przy użyciu masek z papieru, które odpowiednio sfotografowane dały niezwykle kształty, mając widza tym, że ogląda wynik badania bioelektrycznej czynności mózgu.

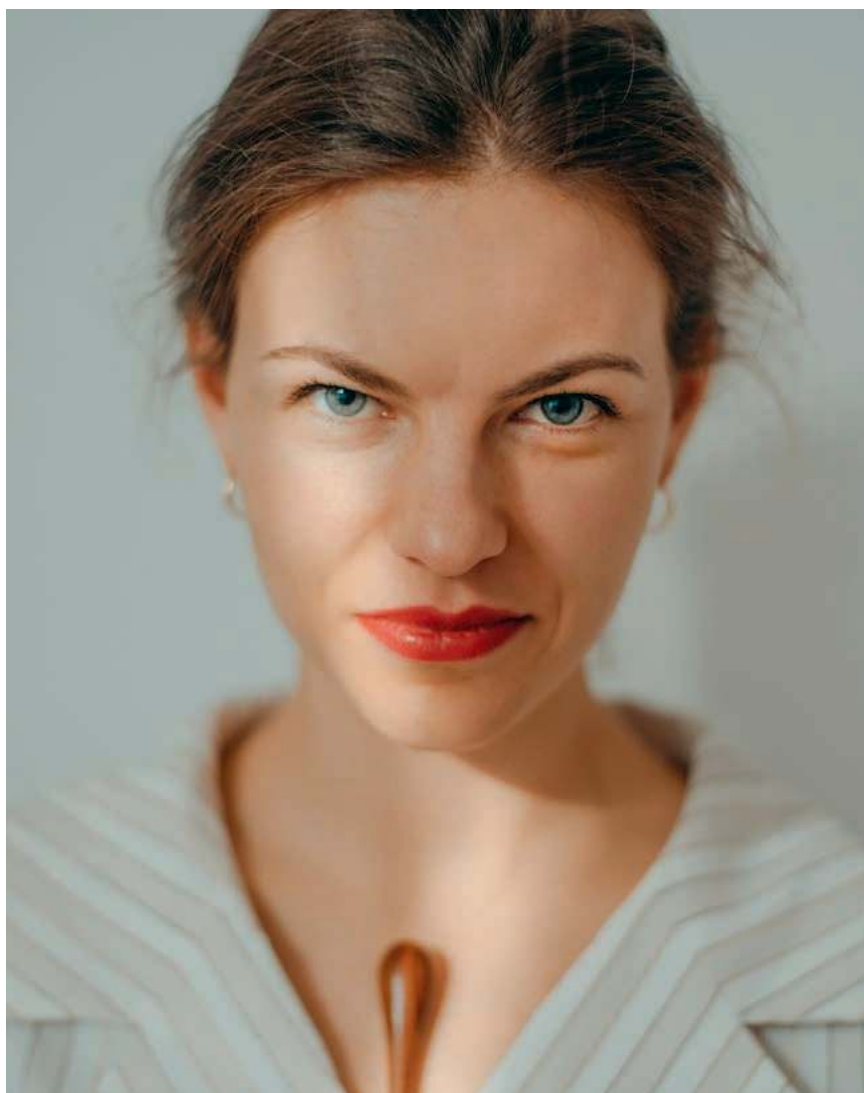
W gmachu Seminarium (dawny pałac Potulickich przy Piłsudskiego) prezentowana jest wystawa „Najwyższa forma sztuki” – to jeden z najmocniejszych punktów tegorocznego Miesiąca Fotografii. Opowiada o sytuacji w Białorusi, kraju, gdzie nawet taki gest jak założenie czerwonych skarpetek do białych spodni może skończyć się zatrzymaniem. Biorący udział w wystawie przyglądają się tamtejszemu systemowi władzy, jego propagandzie, narzucaniu wzorów funk-

W ramach tegorocznego Miesiąca odbywa się wreszcie projekt „WELCOME” poświęcony problemom związanym

© PIOTR KOSIEWSKI

DLACZEGO OBRAZY? Pokazy trwają do 26 czerwca br.





JOANNA GALUSZKA

Anna Sułkowska-Migoń, 1 marca 2021 r.

Nastrój mocy

ANNA SUŁKOWSKA-MIGOŃ, DYRYGENTKA:

Dzwonią Paryż, Berlin i Nowy Jork, a ja zostaję w Krakowie. Dlaczego? Bo przecież właśnie dzięki temu, że mam w życiu coś więcej niż muzykę, mogę o tym w muzyce opowiedzieć.

MONIKA OCHEŃDOWSKA: Jak wyjaśniłabyś dziecku, co robi dyrygentka?

ANNA SUŁKOWSKA-MIGOŃ: Macha rękami. Jeśli dyrygent dobrze macha, muzycy wiedzą, kiedy wejść oraz jak zagrać. Ręce dyrygenta są jak metronom. Wskazują, w jakim tempie ma grać orkiestra, a także za pomocą rodzaju gestu oddają charakter muzyki.

Przecież muzycy mają nuty.

Oczywiście, ale inaczej to, co gramy podczas prób czy koncertów słyszy siedzący z tyłu po lewej stronie waltornista, inaczej usadowiony z prawej kontrabasista, a jeszcze inaczej waltornistę z kontrabasistą będzie słyszało dwóch skrzypków tuż przy pulpicie dyrygenta. Sprawa się dodatkowo komplikuje w miejscach z trudną akustyką. Wzrok działa wtedy szybciej niż słuch i to jemu należy zaufać. Tylko ręka dyrygenta wskazuje właściwy czas. Poza tym dyrygent wykorzystuje

ANNA SUŁKOWSKA-MIGOŃ jest laureatką pierwszej nagrody na tegorocznym Międzynarodowym Konkursie Dyrygentek La Maestra w Paryżu. Stypendystka Taki Alsop Fellowship 2022-24 oraz programu Narodowego Instytutu Muzyki i Tańca „Dyrygent-Rezydent” w latach 2020-22. W tym roku nominowana do nagrody Młody Promotor Polski w kategorii kultura, wręczanej przez Fundację Teraz Polska oraz Pierwszą Damę RP Agatę Kornhauser-Dudę.

niewerbalne znaki, by nadać muzyce odpowiedni charakter, zainspirować instrumentalistę.

Jak?

Wbrew pozorom to dość intuicyjne. Jak pokażesz, by zagrać ci kołysankę? Poruszysz dłońmi jakbyś naśladowała jednostajny ruch fal albo złożysz je jak do modlitwy, zbliżysz do policzka, prawda? Będziesz się kołysać. Zupełnie innym gestem poprosisz o marsz. Dłonie, a nawet pojedyncze palce w tańcu inaczej układają się na przykład do tanga, a inaczej, gdy chodzi o jive.

Co jeszcze jest ważne?

Oddech. Odliczam czas, biorąc oddechy. Oddech to czas. A czas to spokój, bez niego nie ma muzyki.

Mimika twarzy?

Tak. Jeśli teraz wezmę głęboki wdech i uśmiechnę się do ciebie albo zrobię poważną minę i zacisnę pięści – szybko odczytasz moje emocje i intencje.

Łatwo to wszystko pogodzić?

W pewnym momencie swoich studiów ćwiczyłam pokerową twarz, powstrzymywałam grymasy, bo zbyt wiele starałam się przekazać miną. Nadal uczę się utrzymywania balansu. Spójrz, nawet teraz, gdy rozmawiamy i zaczyna mi się spieszyć, bo chcę dogonić myśli, to zaczynam włączać do wypowiedzi ręce, gestykulować. To przychodzi naturalnie. Ważne, by ręce nie ginęły przed zespołem.

I żeby nie drżały.

Jeśli podczas wycieczki w góry przewodnik nagle powiedziałby grupie, że będzie przechodzić przez naderwany most, z którego tego dnia spadło już kilku →

→ turystów, szanse na przeżycie tej wycieczki też drastycznie maleją (*śmiech*). Słowem: jeśli nie będę pewna tego, co robimy, jest ryzyko, że orkiestra też się pogubi.

Nie czujesz stresu?

Przed koncertem dyplomowym w Filharmonii Warmińsko-Mazurskiej byłam tak zestresowana, że chciało mi się jednocześnie płakać i wymiotować, byłam przerażona. Pamiętam, jak stoję za kulisami, zapowiadają mnie, a potem otwierają się drzwi i w twarz biją światła reflektorów.

Wychodzę na scenę i nagle czuję przypływ energii, radości, ekscytacji – endorfiny. Wiem, że jestem u siebie. To doświadczenie za każdym razem się powtarza, rozpoznaję je już. Godzinę przed koncertem pojawia się stres, który ściska żołądek, ale potem wpadam w swój, jak to nazywam, nastrój mocy.

Zawsze tak było?

Mój tata jest dyrygentem, więc koncerty były naszą domową codziennością. Tata zabierał mnie też do opery, kiedy potrzebne były dzieciaki, często wtedy występowałam. Ale już wtedy wiedziałam, że diwa jest tylko jedna – to ona miała najpiękniejszą suknię, na niej skupiała się uwaga widzów. Marzyłam, by zostać śpiewaczką operową, śpiewać altem, najlepiej – główną rolę w „Carmen” Georges’a Bizeta...

Tymczasem w szkole podstawowej grałaś na skrzypcach, a na studiach Twoją specjalnością była altówka.

I jak grałam, zżerała mnie trema. Nie umiem powiedzieć, dlaczego. Gdybym dzisiaj miała zagrać przed publicznością solo, dałabym radę najwyżej z kołędą (*śmiech*). Poziom stresu byłby niewyobrażalny. Nie zagrałabym na sto procent, nie potrafiłabym udowodnić, że jestem przygotowana. Natomiast za pulpitem dyrygentem czuję się jak ryba w wodzie.

Chodzi o to, że jesteś szefową?

Czasy się zmieniają i dyrygent nie równa się już szef. Może kilkadziesiąt czy jeszcze kilkanaście lat temu dyrygent mógł przyjść na próbę, wskazać kogoś palcem i powiedzieć: panu dziękuję, niech pan wraca do domu. Dzisiaj zespoły nie pozwalają sobie na takie traktowanie. Będąc dyrygentką pełnię jedną z ról

Nie wierzę w muzykę bez międzyludzkich relacji,

stąd tak ważny jest dla mnie kontakt wzrokowy z muzykami, wysłanie uśmiechu do osoby, która właśnie skończyła grać fragment solowy. Drobne gesty mają wielką moc.

w zespole, lidera – ale pamiętam, że cel łatwiej osiągnąć po prostu w dobrej atmosferze pracy. Dyrygent powinien wymagać i niech to robi, ale w kulturalny sposób.

Zresztą jeszcze grając na altówce, spotkałam się z tyloma dyrygentami, którzy nie darzyli szacunkiem zespołu, że rozumiem początkowy dystans orkiestry, gdy zaczynamy pracę – związany nie tylko z tym, że jestem kobietą, ale także z moim wiekiem.

Dyrygentura to zajęcie, w którym te najważniejsze, najbardziej prestiżowe stanowiska zajmują mężczyźni. Nie bez przyczyny międzynarodowy konkurs La Maestra, który w tym roku wygrałaś, przeznaczony jest tylko dla kobiet. Ma je wspierać w karierze.

Gdy zaczynasz karierę, nie od razu dzwoni z zaproszeniem Paryż, Barcelona, Londyn albo Filadelfia. Żeby zostać rozpoznawalną, trzeba zagrać mnóstwo koncertów, a do tego mieć sporo szczęścia. Udział i wygrana w tym konkursie pozwoliła mi bardzo szybko wskoczyć na poziom, na który normalnie musiałabym pracować jeszcze dwadzieścia lat. Jego finał oglądały osoby, o spotkaniu których nawet nie śniłam. Zresztą całe szczęście, że nie wiedziałam, kto go słucha i ogląda (*śmiech*)! La Maestra zapewniła mi rozpoznawalność i umożliwiła dalszy rozwój. Patrząc, jak dyryguję i pracuję z orkiestrą, wiele osób zrozumiało, że warto zaufać młodej dziewczynie i powiedzieć: dobra, nie będzie wstydu, gdy z nami zagra.

Jak w takim razie wygląda Twoja praca z zespołem?

Po pierwsze, dla dyrygenta koncert jest dużym projektem i ogromnym przeżyciem. Perspektywa muzyków jest zupełnie inna. Ktoś w piątek wieczorem zagrał, skończył się weekend, a w poniedziałek znów trzeba być w pracy, do tego szef wzywa jeszcze na jakieś dodatkowe spotkanie po południu. Zawsze staram się pamiętać o tym, że dla wielu osób to jest po prostu normalna praca, a moim zadaniem jest przemienić zwykły tydzień w nadzwyczajny (*śmiech*).

Mamy trzy do sześciu dni prób. Ale podczas pierwszego spotkania najważniejszy jest pierwszy kwadrans, podczas którego po prostu gramy. Często wybieram bardziej wymagający fragment partytury lub ostatnią część symfonii. Muszę usłyszeć, jak gra orkiestra, jaki ma balans. Z czym może mieć trudności, a w czym jest bezkonkurencyjna. To także moment, w którym zespół poznaje mnie od strony technicznej, uczy się moich gestów. Z każdym staram się choć przez chwilę nawiązać kontakt wzrokowy, pokazać, że go widzę.

Co jeszcze jest ważne?

Dyrygent przychodzi z partyturą, zna cały utwór, natomiast muzycy często – tylko swoje partie. Z tych sześćdziesięciu, siedemdziesięciu odrębnych głosów trzeba stworzyć symfonię. Na to nakłada się interpretacja, wybór tego, które fragmenty podkreślimy, dbałość o to, by rzeczy zapisane w partyturze przez kompozytorów były realizowane. No i emocje, ale to już ostatni etap...

Jak się nad nimi pracuje?

Są takie melodie, które we mnie coś poruszają, zwłaszcza w muzyce słowiańskiej. Są utwory, o których wiemy, że zostały skomponowane w ważnym momencie życia ich autora, na przykład w żałobie albo w czasie wojny. To może pomóc, ale dla mnie dużym przywilejem jest to, że mogę podczas koncertu przekazywać także własne emocje. Oczywiście to nie wygląda tak, że przychodzę na próbę i mówię: proszę państwa, w tym takcie będziemy opowiadać o miłości. Albo: tu opowiemy historię baletnicy, która zrezygnowała z pracy, by poświęcić czas rodzinie. Czasami zdarza się natomiast, że powiem: proszę państwa, gramy przecież miłosny temat, nie wierzę, że nie wiecie, o czym tu mówimy... Staram się nie narzucać skojarzeń muzykom, lubię łączyć emocje, które się pojawiają w trakcie gry.



Koncert Polskiej Orkiestry Sinfonia Iuventus im. Jerzego Semkowa. Dla Anny Sulikowskiej-Migoń był to koncert magisterski. Warszawa, 28 maja 2022 r.

Zwykle rodzina artysty musi się godzić na wiele poświęceń, nieobecności...

Reprezentuję zupełnie inny model, potrzebuję mieć wokół siebie bliskich. Błysk fleszy trwa pięć minut, nie wyobrażam sobie wracać po tym, gdy zgasną, do pustego domu. Powiem więcej – bez mojego męża i rodziców nie byłoby mnie w Paryżu. To oni dają mi poczucie bezpieczeństwa i taki luz, że mogę powiedzieć: no dobra, mam dość. Ale mam wrażenie, że sposób, w jaki myślę o życiu i pracy, nie jest ani zbyt współczesny, ani atrakcyjny.

Dlaczego tak uważasz?

Ponieważ nie definiuję siebie wyłącznie nie przez pracę, a takie są dziś oczekiwania, może szczególnie w przypadku kobiet. Kiedy mówię szczerze, że jestem szczęśliwa w związku i razem z mężem dajemy sobie przestrzeń na realizowanie pasji, ale też znajdujemy czas dla siebie, ludzie wciąż mają wątpliwości, jak to wszystko pogodzimy. Czy nie wolałabym robić kariery za granicą? Dzwonią Paryż, Berlin i Nowy Jork, a ja zostaję w Krakowie. Dlaczego? Bo przecież właśnie dzięki temu, że mam w życiu coś więcej niż muzykę, mogę o tym w muzyce opowiedzieć.

Po wygranej w Paryżu zapytano Cię, co poradziłabyś dziewczynkom, które marzą o karierze dyrygentek. Co odpowiedziałas?

Żeby dbały o przyjaźnie i jeździły na długie wakacje. Słyszałaś o tzw. mafii dyrygentkiej? Tak się mówi o środowisku dyrygentów, którzy zaczynają przygotowywać się do zawodu w wieku 12 lat. Dziesięć lat później są geniuszami i obejmują kluczowe stanowiska w tym zawodzie. Gdybym miała teraz wymazać ze swojego życia wszystkie kolonie, obozy harcerskie, na które jeździłam, kajaki, wolontariaty, pielgrzymki, obijanie się za miast ćwiczeń na instrumencie, spotkania z koleżankami... Nie oddałabym tego za żadne stanowiska. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym być szczęśliwa i spełniona w swoim zawodzie, gdybym poza pracą nie miała po prostu życia.

© Rozmawiała MONIKA OCHĘDOWSKA

Zawsze się udaje?

Nie każdy koncert jest idealny, w dodatku w muzyce zawsze można zagrać coś inaczej, lepiej, ale dla mnie za każdym razem najważniejsze jest to, że chciało nam się razem grać, a nie tylko odtworzyć to, co jest zapisane w nutach. Tydzień prób jest udany, jeśli mogliśmy z muzykami czerpać przyjemność ze spotkania, a na koncercie tworzymy jedność jako zespół. To się widzi i czuje – nie wierzę w muzykę bez międzyludzkich relacji, stąd tak ważny jest dla mnie kontakt wzrokowy z muzykami, wysłanie uśmiechu do osoby, która właśnie skończyła grać fragment solowy. Drobne gesty mają tu wielką moc.

Naprawdę masz w sobie na co dzień taki luz?

To chyba nie jest luz. Jeśli zostawiamy sobie przestrzeń na to, że coś może nie wyjść, to przestajemy się tego bać. Przed marcowym, konkursowym koncertem w Filharmonii Paryskiej powiedziałam zespołowi, że jakkolwiek wyjdzie, to będzie tak czy owak mój najpiękniejszy koncert w życiu, bo odbywa się właśnie w tym miejscu, z wyjątkową orkiestrą – to było spełnienie moich marzeń. Nawet jeśli ktoś wejdzie za szybko albo ze złą nutą, to nie ma znaczenia – mówiłam – proszę, żeby państwo się tym ze mną cieszyli. Wtedy poczułam, że nie tylko ze mnie, ale ze wszystkich zeszło ciśnienie. Oczywiście mówimy o orkiestrach na bardzo wysokim poziomie – graliśmy trudne utwory, na przygotowanie których mieliśmy jedynie godzinę, więc nie dało się wszystkiego przećwiczyć. Tak wyglądają konkursy.

A po tym koncercie?

Usłyszałam od jednego z członków jury, że nie wie, jak to zrobiłam, ale widać, że muzycy chcieli dla mnie grać. Zaskoczyło mnie to, nie chciałam, żeby ktoś grał „dla mnie”. Może to zabrzmiało śmiesznie, ale przecież mało jest zawodów, w których można się tak często poczuć docenionym. Co tydzień jesteśmy gwiazdami czyjegoś wieczoru. Możemy się pięknie ubrać, a na zakończenie dostajemy oklaski. Pandemia nauczyła mnie pokory. Cieszę się z każdego koncertu, na który przychodzą ludzie, i z tego, że po prostu jest dla kogo grać. Jest z kim dzielić się muzyką. Człowiek odzyskuje determinację.

W takim razie zapytam inaczej: skąd w Tobie taki spokój?

To coś, czego mnie nauczył tata. Właściwie nie tyle nauczył, ile obserwowałam ten spokój i radość w jego pracy. Rodzice nigdy nie naciskali na to, co mam robić. Tak naprawdę dopiero dzisiaj, jak wracam wspomnieniami do czasów dzieciństwa, uważam to za niezwykle... Mam mądrych rodziców i dziadków, którzy podchodzili do moich zajęć z dużą dozą pokory. Nie wyszło? Spróbuj czegoś innego, ale nie odpuszczaj w trudnych momentach, daj sobie szansę.

Po drugie, mama i tata nigdy nie dali nam poczucia, że praca jest ważniejsza od nas. Tata potrafił między koncertami w różnych częściach Europy przyjeżdżać do domu w Krakowie, by spędzić z nami chociaż dwa dni. Dopiero teraz widzę, że to musiało być przecież dla niego trudne. Po wygranej w konkursie mój kalendarz na cały następny sezon zapełnił się w ciągu dwóch tygodni.



CHRISTINE TAMALET / AURORA FILMS

Juliette Binoche w filmie „Między dwoma światami”

W gumowych rękawiczkach

ANITA PIOTROWSKA

Ambitna pisarka w poszukiwaniu materiału chciałaby znaleźć dojście do „niewidocznych”: mimowolnych beneficjentów opieki społecznej, zatrudnianych na śmieciówkach lub za minimalną płacę. Tylko czy to etyczne?

CHYBA WSZYSCY RZEŹBIĄCY W MATERII non-fiction, tej prasowej, książkowej, filmowej, znają ów dylemat – a w każdym razie znać go powinni. Na ile można wykorzystać czyjeś życie w imię rzetelnej dokumentacji zjawiska? I jak bardzo można przy tym spoufalić się z bohaterem?

Za formę szczególnie dyskusyjną uchodzi reportaż wcieleniowy, kiedy autor udaje uczestnika zdarzeń, żeby poczuć na własnej skórze bezdomność, ciężką pracę w fabryce czy bycie osobą innej rasy. Robili to z powodzeniem Günter Wallraff i Jessica Bruder; we Francji zaś dziennikarka Florence Aubenas, której książka „Le quai de Ouistreham” jest zapisem do-

świadczeń w roli sprzątaczk pracującej na promie w dotkniętym kryzysem normandzkim mieście. Emmanuel Carrère, zajmujący się dotychczas głównie pisanem, nakręcił na tej podstawie film fabularny. Zadbał o paradoksalną prawdę i równocześnie przeniósł tę historię na poziom pisarskiej autorefleksji. Sproblematyzował w ten sposób naszą pozycję jako współodczuwających z losem skrzywdzonych i poniżonych.

„Między dwoma światami” odwraca sytuację znaną z amerykańskiego serialu „Sprzątaczk”. Tam też był najpierw literacki reportaż, lecz tworzyło go w pierwszej kolejności znojne życie autorki. We francuskim filmie to uznana już i doj-

rzała wiekiem autorka przywdziewa pewnego dnia roboczy fartuch i gumowe rękawice. Okazuje się, że nie jest aż tak znana, by łatwo dała się rozpoznać. Nie licząc urzędniczek z pośredniaka, należącej jednak do zupełnie innej klasy niż petenci z kolejki, bo ci raczej nie czytują zatroskanych społecznie reportaży. Marianne staje więc pośród nich, szukając pracy przy „obsłudze obiektów”, zwanej także „konserwacją powierzchni płaskich”, a tak naprawdę w poszukiwaniu materiału do książki.

Ambitna pisarka chciałaby znaleźć bezpośrednie dojście do tych wszystkich „niewidocznych” sprzątających biura, sklepy i kempingi, do świata mimowolnych beneficjentów opieki społecznej, zatrudnianych na śmieciówkach, za minimalną płacę. Wciela się w postać społecznie zdegradowaną: porzuconą przez męża kobietę, która nigdy nie musiała pracować, w domu miała panią do sprzątnięcia i na skutek nowych okoliczności musi utrzymywać się sama. Jeśli chodzi o prawdziwość samego filmu, duża tu zasługa Juliette Binoche. Jej wyważona podwójna gra pozwala zobaczyć w nim coś więcej niż opowieść o francuskim prekariacie.

Oglądamy zatem w napięciu przebieg tej wcieleniówki. Przyznajmy: szytej grubymi nićmi, wystarczyłoby przecież skorzystać z internetu, by zdemaskować Marianne. Tymczasem przechodzi ona na

naszych oczach kolejne stopnie wtajemniczenia w branżę. Zalicza niezbędne kursy, uczące obsługi szorowarki do podłóg, profesjonalnych uśmiechów i zmiany pościeli w półtorej minuty. A przy okazji dowiaduje się, jak stracić auto z powodu braku ubezpieczenia, jak sobie radzić z komunikacyjnym wykluczeniem i zasuwać na trzy zmiany, mając na utrzymaniu małe dzieci.

Pierwszego przykładu dostarcza jej bezrobotny Cédric (Didier Pupin), z którym Marianne wdaje się w dyskretny romans. Dwóch ostatnich lekcji udziela zadziorna Chrystèle (Hélène Lambert), którą pisarka wypatrzyła sobie jeszcze w urzędzie pracy, widząc w niej materiał na pierwszorzędną bohaterkę. Rychło też zaprzyjaźnia się z samotną matką i razem podejmują katorżniczą pracę przy sprzątaniu kajut na promie pływającym do brytyjskich wybrzeży i z powrotem.

Tu właśnie historia wkracza w ryzykowne etyczne rejony. Wszakże Chrystèle pozwoliła zbliżyć się do siebie starszej koleżance w codziennej niedoli, a nie pisarce w przebraniu, wpraszkającej się do domu na kawę i notującej ukradkiem jej słowa. Im bardziej Marianne uczestniczy w jej prywatnym życiu, tym większego odczuwa „moralniaka”, bo wiem podkradając życie Chrystèle, jednocześnie, tak zwyczajnie po ludzku, czuje się z nią związana. Tylko co zrobić z tą bliskością, kiedy książka o losie sprzątaczek ujrzy wreszcie światło dzienne i maskarada będzie musiała się zakończyć?

Idąc śladem twórców z nurtu realizmu społecznego, Kena Loacha czy braci Dardenne, „Między dwoma światami” stara się trzymać stronę mieszkańców mniej uprzywilejowanego świata. Piełgkuje drobne gesty solidarności, daje bohaterom prawo do godności, w epizodzie z transseksualną Justine podważa zaś obyczajowe stereotypy związane z biedą. Reżyser zadbał także, by gwiazdorstwo Binoche nie przesłoniło innych bohaterów, świetnie zagranych przez naturalszczyków (wyróżnia się zwłaszcza ekspresyjna Lambert). To na nich spoczywa pierwsze i ostatnie spojrzenie kamery, to oni zajmują czołowe miejsca w napisach końcowych.

Niektórzy, chociażby młodziutka Louise Pocięcka, noszą na ekranie swoje imiona i poniekąd grają siebie. Scena-

riusz Carrère’a unika zresztą ostrej polaryzacji, a najcieplej wypadają w filmie te momenty, kiedy Marianne wspólnie z Chrystèle i innymi sprzątaczkami łapia chwile bez troski: odpoczywają i błaznują, kontestując panujący porządek. Wtedy akurat nie ma żadnego udawania. Rzec by można: pisarka wychodzi na chwilę ze wszystkich swoich ról.

Ale na dłuższą metę to tylko inteligentne mrzonki. Syty głodnego nie zrozumie, nadużycie pozostanie nadużyciem i nie da się tak łatwo zasypać klasowej przepaści. Marianne wypełnia jednak swoje zadanie, oddawszy głos anonimowemu osobom wykonującym za nas najczarniejszą robotę. Jej książka wywołała zapewne pożyteczny rezonans. Dlatego, zdaje się mówić Carrère, pisarze do piór, sprzątający do mopów, bo karnawał nie może trwać wiecznie. Byle tylko również ci ostatni dostawali uczciwą zapłatę, mieli poczucie społecznego bezpieczeństwa i perspektywę zawodowego awansu, nie mówiąc o podstawowym szacunku.

Jeśli pobrzmiewa w tym manifest, to międzyludzki, jakkolwiek bez ignorowania społeczno-ekonomicznego tła. Powstał film wierny żywym ludziom, realnym miejscom i konkretnym szczegółom, zdecydowanie bardziej „instrukcja dla pań sprzątających” i ich przygodnych klientów niż „szczeliny istnienia”, szukające metafizycznych sensów w mechanicznej krzątaninie.

Jeśli ktoś będzie opuszczał kiedyś hotelowy pokój i pod wpływem tego seansu pomyśli przez chwilę o tych, którzy zaraz będą musieli go oporządzić – za marne grosze, w błyskawicznym tempie – będzie to dla filmu mały sukces. Co nie zwalnia z głębszej refleksji o potrzebie systemowych zmian. ©

MIĘDZY DWOMA ŚWIATAMI (*Ouistreham*)

– reż. Emmanuel Carrère. Prod. Francja 2021. Dystryb. Aurora Films. W kinach od 10 czerwca.



Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”. Stuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM Zakopane – 100,0 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM Tarnów – 101,0 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM Andrychów – 98,8 FM | www.radiokrakow.pl

WARTO ZOBACZYĆ

1. Poślizg kontrolowany



Dokumentalny, reż. Laura Sistero, Hiszpania 2022, KFF online, do 12 VI Dlaczego Rosja nie jest miejscem do życia?

Wiedzą coś o tym młodzi mieszkańcy Toljati, widmowego miasta, które było dumą radzieckiej motoryzacji. Dziś ucieczką od rzeczywistości jest dla nich drifting – ostra jazda starymi ładami, nielegalny sport uprawiany nocami na ulicach „rosyjskiego Detroit”. Ale prawdziwej ucieczki nie ma.

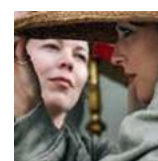
2. Zielony rycerz. Green Knight



Fantasy, reż. David Lowery, Irlandia/USA 2021, CANAL+ online Połączenie legend arturiańskich i słow cinema w innych rękach zapewne

by nie wyszło. Twórca „Ghost Story” przeczytał celtycką mitologię na nowo, opowiedział ją szeptem, w formie filmowej medytacji, igrając z czasem i naszą percepcją, miesząc iluzję z rzeczywistością. W roli Gawaina wystąpił Dev Patel, Brytyjczyk o indyjskich korzeniach.

3. Córka



Dramat, reż. Maggie Gyllenhaal, Wielka Brytania i inne 2021, Cineman Debiutująca za kamerą aktorka, a wcześniej

autorka pierwowzoru Elena Ferrante przekonują, iż macierzyństwo to coś więcej niż biologiczny instynkt czy społeczna rola. Olivia Colman i Jessie Buckley tworzą podwójny portret „wyrodnej matki”, która podczas greckich wakacji, pod wpływem przypadkowego spotkania, dokonuje integracji tkwiących w niej sprzeczności.

4. Secrets of the Tribe



Dokumentalny, reż. José Padilha, Brazylia/Francja/Wielka Brytania 2009, Netflix „Plemienne tajemnice”

powstały z inspiracji kontrowersyjną książką Patricka Tierneya, w której oskarżał o poważne nadużycia uznanych antropologów badających amazońską ludność Yanomami. Jego dowody zostały potem zweryfikowane, ale dokument pokazuje, jak w tzw. słusznej sprawie starty się ze sobą etyka, ideologia i nauka. Oddaje głos badaczom i badanym.

Działalność Grażyny Hase to ciekawy przyczynek do dziejów naszej transformacji. Jej wybory – lokalnych dostawców i skrócenia ścieżki dostaw – są bardzo aktualne i dobrze się wpisują w ekologiczny zwrot dokonujący się, z wielkimi oporami, także w modzie.

Hase: zawsze w modzie



Hase zaczynała karierę jako modelka. Jesienią 1957 r. na okładce „Przekroju” znalazło się zdjęcie autorstwa Wojciecha Plewińskiego przedstawiające blondynkę z grzywką, ubraną w obszerny czarny sweater. Hase miała wtedy 18 lat i stała się uosobieniem zmian, jakie przyniosła popaździernikowa odwilż. Przez kolejną dekadę pracowała m.in. dla „Ledy”, „Mody Polskiej”, „Telimeny” i Warszawskich Zakładów Przemysłu Odzieżowego im. Obrońców Warszawy (WZPO). Współpracowała też z Barbarą Hoff, prezentując jej kolekcje.

W 1967 r. decyduje się przejść „na drugą stronę”. Ma wtedy 28 lat, studiuje architekturę wnętrz na warszawskiej ASP i tworzy pierwszą kolekcję dla WZPO. Wykorzystuje okazję dość nietypową dla świata mody, czyli... 50. rocznicę wybuchu rewolucji bolszewickiej. Sięga w projektach po motywy z dawnej Rosji, ale też związane z komunizmem. Sama występuje w modelu „Lenin”, czyli tweedowym kostiumie ze spódniczką mini i kamizelką, w białej koszuli pod krawatem oraz charakterystycznym dla wodza rewolucji kaszkiecie. Kolekcja, określona mianem „Kozak Look”, przykuwa uwagę. W 1968 r. powstaje kolejna rocznicowa kolekcja – tym razem wpisująca się w obchody 25-lecia Ludowego Wojska Polskiego. Hase wykorzystuje w niej, także z powodzeniem, motywy zaczerpnięte z mundurów wojskowych.

„Ja nie walczyłam z systemem, ja w nim żyłam” – powtarza po latach. Wystawa, i to jej ogromna zaleta, nie ukrywa związków Hase z ówczesną władzą ani ryzykownych decyzji, jakie podejmowała. A moda była nie tylko częścią ówczesnego oficjalnego życia, ale też służyła propagandowym celom i budowaniu wizerunku Polski. Jednocześnie projekty Hase dobrze wpisywały się w modernizacyjny obraz kraju epoki Gierka.

Kolekcje rosyjska i wojskowa pokazały jej ogromny talent do twórczego wykorzystywania wzorców zaczerpniętych z tradycji, ale też otwarcie na nowe trendy. Świętym przykładem są powstałe w latach 70. projekty inspirowane polskim folklorem, wysoko oceniona kolekcja ubrań w „stylu dżinsowym”, czyli „Błękitna strzała” – w Polsce w tym czasie prawdziwy dżins był niedostępny.

Od 1972 do 1975 r. Hase kieruje zespołem projektowym Zakładów Przemysłu Odzieżowego „Cora”. Przygotowuje projekty m.in. dla Cepelii. Tworzy ubiory dla pilotów i stewardes LOT-u, ale też dla pracowników i pracownic warszawskich hoteli Forum oraz Victoria. Projektuje dla gwiazd muzyki:

Grażyna Hase od ponad pół wieku współtworzy modę w Polsce. Kształtowała wizerunek kobiet ostatnich lat rządów Gomułki, Gierka i końcówki PRL-u. Tworzy modę III RP. Jest osobą-instytucją, ważną także dla młodych pokoleń projektantek i projektantów. A tytuł wystawy „Zawsze

w modzie” – pierwszy tak obszerny pokaz dorobku Hase – dobrze oddaje jej umiejętność wyczucia zmieniających się trendów. Dlatego ekspozycja w Muzeum Warszawy opowiada o zmianach politycznych i społecznych w kulturze, ale też w gospodarce od lat 50. minionego wieku.

Anny Jantar, Haliny Frąckowiak, zespołu 2 plus 1, sportowców, na potrzeby filmu („Motylem jestem” Jerzego Gruzy z 1976 r.). W latach 1975-78 prowadzi nawet rubrykę o modzie w „Sztandarze Młodych”. Jest wtedy, obok Jerzego Antkowiaka i Barbary Hoff, jedną z trzech osób zajmujących się projektowaniem mody, których nazwiska stają się znane szerszej publiczności, a nawet osiągają status celebrytów. Kreuje wizerunek Polek i Polaków, ich sposób myślenia o modzie oraz wpływa na to, w jaki sposób do dziś postrzegamy Polskę tego czasu.

Jednocześnie wypracowuje własny sposób funkcjonowania. Projekty Barbary Hoff były wykonywane w tysiącach egzemplarzy. „U niej miało być modnie i tanio” – podkreślała po latach Grażyna Hase. „U mnie z kolei chodziło o coś innego – miało być zdecydowanie indywidualnie i oryginalnie”. Jej ubrania powstają zatem w seriach 150 do 200 sztuk. Mimo to udaje się jej, jak pisał Joanna Regina Kowalska i Małgorzata Możdżyńska-Nawotka w ciekawej publikacji towarzyszącej wystawie, stworzyć „w PRL

własną, osobistą, niezależną od instytucji, prestiżową modową markę. Osiąga ona rozpoznawalność i zasięg oddziaływania nieproporcjonalnie duży w stosunku do niewielkiej, a później niemal laboratoryjnej skali produkcji”.

W 1979 r. Hase zdołała za własne pieniądze wyprodukować pierwszą kolekcję. Zawsze marzyła o własnym domu mody, „takim z prawdziwego zdarzenia. Jakie miewają projektanci we Francji”. Wreszcie w 1980 r. zakłada przy ulicy Marszałkowskiej 6/2 Galerię Grażyny Hase. Uzyskuje pełną samodzielność, a swoje ubrania opatruje własnym znakiem firmowym – logo projektuje ceniiony grafik Wojciech Freudenreich. Hase musi jednak zderzyć się z innym problemem: niedoboru materiałów. I tu ponownie wykazuje się wielką innowacyjnością, w nietypowy sposób wykorzystując to, co wtedy jest dostępne, jak używany do szycia kołder adamaszek.

Po 1989 r. staje, podobnie jak inni projektanci, przed nowym problemem: upadku

przemysłu odzieżowego, globalizacji, wejścia na polski rynek masowej produkcji i międzynarodowych marek. Pomaga jej wypracowany jeszcze w PRL-u model niezależnego funkcjonowania. Tworzy ubrania dla wąskiej grupy odbiorców, dla tych, którzy chcieli uciec od uniformizacji, oferując oryginalność, ale też wysoką jakość materiałów i szycia. Ponownie też sięga po nieoczywiste materiały, jak filc. Wykorzystuje wyroby polskich producentów, jak jedwab z Milanówka, wełna z Kęt czy len z Kamiennnej Góry, i dawne wzory (dla niej odtworzono niektóre przedwojenne wzory żakardowe).

PIOTR KOSIEWSKI

■ **GRAŻYNA HASE. ZAWSZE W MODZIE**, Muzeum Warszawy, wystawa czynna do **11 września 2022**, kuratorka: Agnieszka Dąbrowska



Grażyna Hase podczas sesji na ulicy Okólnik w Warszawie, maj 1959 r. Obok: kostium „Lenin”, proj. 1967 r., autorska replika z 2003 r.



JAN

Klata:

Hulaj dusza



NIE TO, ŻEBYM SIĘ JAKOŚ SZCZEGÓLNI PRZY mojej opinii upierał, ale wydaje mi się, że można zaryzykować twierdzenie, iż wynalezienie koła jawi się jako istotny moment w historii ludzkości. Teza kontrowersyjna – wiem – ale będę przy niej obstawał, a nawet pójdę dalej: w historii ludzkości, a w szczególności w dziejach polskiej części ludzkości. Zwłaszcza ostatnio, bardzo ostatnio nawet, gdyż poprzednio na przestrzeni stuleci nie za bardzo było jak na naszych ziemiach wynalazek koła wykorzystać, przynajmniej do pokonywania przestrzeni. Znalismy kierat oraz łamanie kołem, ale pojechać nie było za bardzo jak, gdyż nie było gościńców. Proste równanie: brak Rzymian = brak dróg. Było ono aktualne w lechickiej

części Europy nawet kilkanaście wieków po upadku Rzymu.

Nieomal całkowity brak traktów się na szczęście nie ostał, walec przemian cywilizacyjnych wytyczył niejednokrotnie bardzo gładkie nawierzchnie, po których nie tylko koła, ale nawet kółka i kółeczka toczyć się gracko mogą. Duże skupiska opętał od jakiegoś czasu szal przemieszczania się na wynalazku mikrokołowym przepięknie po polsku nazwanym „hulajnoga”! Co prawda mamy do czynienia z pewnym paradoksem: jest to hulajnoga elektryczna, a zatem żadna z nóg nie hula. Hula za to dusza, realizująca najdziksze sny o poruszaniu się w zagęszczonych miejskiej tkance. Ale hulajnoga jako zawalidroga to dopiero temat na poemat. Myślę, że już wkrótce ukaże się szereg książkowych pozycji dokumentujących w formie fotoalbumu niebywale fantazyjne uplasowania hulajnóg poutykanych na drogach, chodnikach i alejkach polskich metropolii. Przyznam, że mnie owo wynalazku koła wykorzystanie-przez-blokowanie jakoś kompletnie banalnie irytowało, przez długi czas, kiedyś. Myślałem o mołojcekich hulajrodach źle. A teraz już nie. Teraz już wiem, dlaczego Rosjanie zaatakowali Ukrainę, a nie nas. Nas nie najechali z obawy. Bo słusznie przeczuwali. Że my ich zatrzymamy hulajnogami. ©

Lektor:

Książka niemożliwa



■ **Józef Czapski**
DZIENNIK WOJENNY (22 III 1942 – 31 III 1944)
 Odczytał Janusz S. Nowak. Opracował Mikołaj Nowak-Rogoziński. Wydawnictwo Próby, Instytut Dokumentacji i Studiów nad Literaturą Polską, Warszawa 2022, ss. 644 + ilustracje.

WCIĄŻ NIE WIERZĘ, ŻE TA książka w ogóle jest. Cztery rękopiśmienne zeszyty stanowią tylko fragment olbrzymiej całości, ale ich opublikowanie – i to, że dało się je w ogóle odczytać! – budzi nadzieję, że może kiedyś poznamy zawartość wszystkich tomów dziennika Czapskiego przechowywanych w krakowskim Muzeum Narodowym. A jest ich blisko trzysta. Kto oglądał dwutomową publikację z reprodukcjami

wybranych stron dzienników (rok 2010), wie, jakie wyzwanie stanowi ten kolaż czasem nieczytelnych zapisów, rysunków, malarskich notatek do przyszłych obrazów, cytatów i wycinków. Dzienniki odcyfrowuje od szeregu lat Janusz S. Nowak, nad „Dziennikiem wojennym” pracował po nim Mikołaj Nowak-Rogoziński przy wsparciu Wojciecha Karpińskiego, zmarłego w sierpniu 2020, i Julii Juryś. Odślonili wielowątkową panoramę lat, które Czapski

spędził w Armii Andersa jako szef wydziału propagandy: w sowieckiej Azji Środkowej, potem w Iranie, Iraku, Palestynie i Egipcie.

To świadectwo historyczne i dziennik intymny niepoddany retuszom. Zapis gorączkowych działań organizacyjnych, dyskusji i sporów, czasem też intryg, które autora odpychają. Niezliczone spotkania z ludźmi, zbieranie relacji do „Na nieludzkiej ziemi” – do tej wspaniałej książki trafią obszerne passusy z dziennika. Rozterki człowieka, który wciąż szuka swojej drogi, artysty, który nie wie, czy zdoła wrócić do malarstwa, ale na świat patrzy okiem malarza. Udręczony codzienną krzątaniną, obezwładniającym upałem i chorobami – potrafi zawsze odnotować np. dziwną urodę

egipskiej pustyni. Wciąż konfrontuje się z własnym dotychczasowym życiem, z rozterkami religijnymi i z nienasyconą potrzebą cudzej bliskości oraz po prostu miłości, w wielu wymiarach. Kiedy wspomina swoje związki z Janem Tarnowskim, Siergiejem Nabokovem i ten najbliższy, z Ludwikiem Heringiem, z którym rozdzieliła go wojna, jest zarazem szczery i dyskretny. To wyznania człowieka wewnętrznie wolnego, a przy tym obdarzonego nadzwyczajną wrażliwością. Stawiam grubo tom na półce w nadziei, że pojawią się kolejne. Stoją tam inne książki Czapskiego, jego niezwykła korespondencja z Heringiem, rewelacyjna biografia napisana przez Erika Karpelesa. Kolejną pisze właśnie Andrzej Franaszek. Czekamy. ©©

PAWEŁ

Bravo:

Lepszy gen pomidora



ZA DZIEWIĘĆ EURO MOŻNA JEŹDZIĆ PO Niemczech, ile dusza zapagnie: lokalną komunikacją i pociągami regionalnymi. W zamyśle władz ma to ulżyć ludziom przyduszonym przez benzynową drożynę, ale hamburskie środowiska postę-

powe natychmiast wpadły na pomysł, żeby korzystając z ulgowego biletu urządzić wielką imprezę na wyspie Sylt. Dotychczas ta perła Fryzji stanowiła oazę letniskowego luksusu. Święty wczasowy spokój gwarantował garstce majątnych fakt, że szaraczkom trudno na nią dotrzeć: ze stałym łądem Szlezewiku łączy ją bowiem tylko linia kolejowa, a bilet w normalnych czasach kosztuje 30 euro w jedną stronę.

Pensjonariuszy oazy obleciał strach, co łatwo oszacować po krążących memach – wykorzystują np. kadry z marszu tolkienowskich orków na Helmwary Jar. Oglądam je, myśląc o tym, że dziś po gorszej stronie Europy orkowie wcale nie śmieszają, to baśniowe słowo nabrało strasznego ciała w tej wojnie, co trwa, jak dobrze pamiętają czytelnicy nieustannie drukowanych w „Tygodniku” reportaży, nie żadne 100, a ponad 3 tysiące dni. Jaki Jar, taki najazd.

Jaki nalot, takie bomby. Np. kąpielowe. W kształcie ciastek, lodów lub owoców. Kolorowe i pachnące. Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej odpowiadał w zeszłym tygodniu na pytanie prejudycjalne sądu z Litwy: czy mianowicie władze państwa mogą i na jakiej podstawie zakazać sprzedaży tych musujących cudeniek, jeśli ich podobieństwo do łąkoci grozi tym, iż dziecię spuszczane na moment z oka polize ten środek higieny albo, co gorsza, nadgryzie mydlaną babeczkę z pseudowisienką. Takie to bywają problemy pierwszego świata.

Nie jestem pewien, czy chciałbym się na tę wysoką półkę wspiąć i tam na stałe zamieszkać, w każdym razie wcale nie wyszukuję takich kuriozów z zawiści. Historia z bombami w wanience wpadła mi w oko przypadkiem, kiedy przeszukiwałem luksemburskie szpargały, chcąc odświeżyć sobie szczegóły doniosłego wyroku sprzed czterech lat, który rozszerzał restrykcyjne regulacje dotyczące żywności genetycznie modyfikowanej na produkty powstałe w wyniku tzw. edycji genów metodą znaną pod akronimem CRISPR/Cas.

Sprawa nie była wcale taka oczywista, bo w odróżnieniu od dotąd znanych (i solidnie zdemonizowanych) przykładów roślin transgenicznych, którym człowiek, z grubsza rzecz biorąc, dodaje geny innego gatunku, edycja genów dąży do podobnych skutków – odporność na choroby, lepsze plony itd. – poprzez precyzyjne „wyciszanie” poszczególnych genów

rośliny lub zwierzęcia, czyli wywoływanie mutacji podobnych we wszystkim do tych, jakie zachodzą bez interwencji człowieka lub krzyżowanie i selekcję stosowaną przez niezliczone pokolenia ogrodników i hodowców. Różnica polega głównie na precyzji i pełnej kontroli nad zmianami.

Owa analogia do procesów naturalnych, których sami jesteśmy przecież wynikiem, wydawała się solidnym argumentem, ale nie przekonała w 2018 r. sędziów, toteż rynek Unii (bo nie laboratoria oczywiście) pozostaje na razie ostoją genetycznej czystości. Oraz, chciałoby się dodać, podatności na kołtuńskie strachy. W ich cieniu agrobiznes swobodnie modyfikuje nam jedzenie, tyle że innymi metodami, które wolimy ignorować, bo by nam się zebralo na mdłości. Dłubanie w genach soi potrafi wyciągnąć ludzi na ulice, ale np. wożenie przez całą kulę ziemską ozdobnych roślin wraz z ich pasożytami, które w nowym środowisku czynią np. hektatombę drzew oliwnych we Włoszech, nie jest już tak wdzięcznym tematem do pikiet, bo trudniej tu odpalić atawistyczne petardy.

Sytuacja jest jednak dynamiczna – po pozytywnej stronie bilansu brexitu właśnie można zapisać niedawną decyzję władz brytyjskich, by opracować procedury i listę warunków dopuszczających na rynek żywność powstałą przy udziale edycji genów. W paru innych krajach, gdzie zakaz nie obowiązuje, pojawiły się różne ciekawe produkty (także dlatego, że to technologia dająca się stosować również w małej skali, podczas gdy „oldskulowe” rośliny transgeniczne opłacają się tylko kilku największym gigantom). W Japonii od roku jest do kupienia pomidor high GABA, czyli o podwyższonej dzięki edycji genów zawartości kwasu gamma-aminomasłowego. Pod tą skomplikowaną nazwą kryje się jeden z najważniejszych neuroprzekazników w naszym układzie nerwowym, którego wyższy poziom, z grubsza rzecz ujmując, redukuje stres, rozluźnia i ułatwia zasypianie.

Nie jest jasne, czy japońskie turbopomidory mogą stać się warzywnym prozakiem – trwa spór, czy GABA zjedzona w sałatce jest w stanie w ogóle pokonać bardzo ważną dla naszego

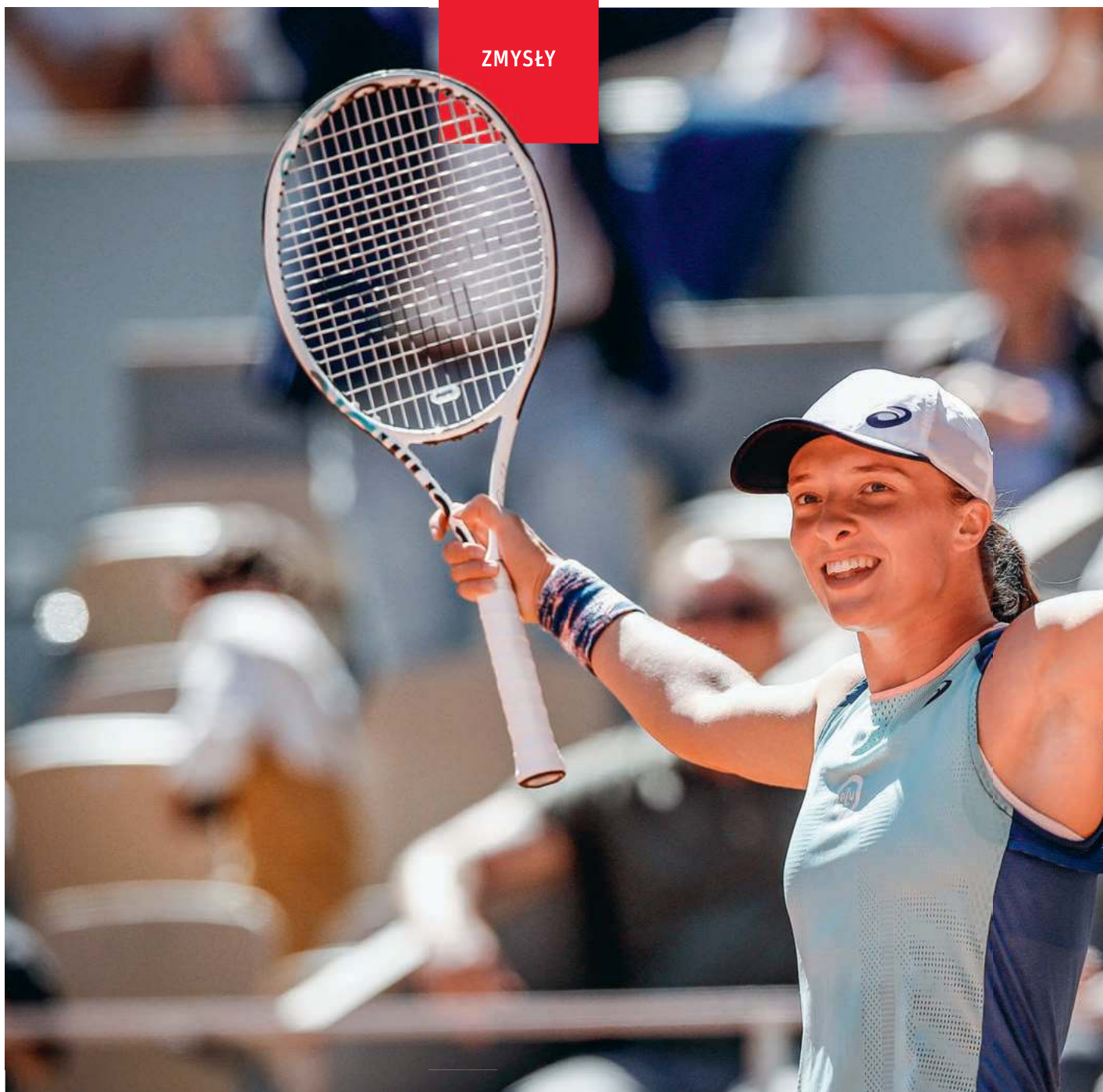
trwania barierę krew-mózg. Czas pokaże, tymczasem musimy polegać na terapii nieedytowanymi malinowymi z bazarku. Na sam widok prawdziwych pomidorów z krzaka już mi skaczą endorfiny. ©P



PAWEŁ BRAVO

Odpuściliśmy sobie w zeszłym tygodniu Dzień Dziecka, uznając, że większość łąkomych odwołań do dzieciństwa nie zasługuje na powtarzanie w dorosłości – musiałbym się bardzo nie lubić, żeby fundować sobie dziś wodniste lody z automatu, które kupowałem co dzień po szkole. Odpowiadając jednak na liczne protesty kierowane do redakcji,

sugeruję dzieciennie prosty pomysł na lody arbuзовые lub truskawkowe. 400 g umytych truskawek lub miąższu pokrojonego w kostkę arbuza miksujemy z 200 ml słodzonego mleka skondensowanego i 100 ml śmietanki. Przelewamy do małych foremek, z których to się da potem wyjąć, albo po prostu do małych miseczek. Mrozimy. Można dla urody dodać łyżki czekoladowe albo posypać tartą czekoladą. Raczej gorzką, bo jest to deser kryminalnie słodki.



Zwycięstwo Igi Świątek w pojedynku z Darią Kasatkiną w półfinale Rolanda Garrosa. Paryż, 2 czerwca 2022 r.

IGA, WIECZNY GRACZ

Dziennikarskie gawędy typu „normalna, zwykła dziewczyna” nie mają sensu. Prawdziwie interesująca jest granica, za którą „normalny” człowiek staje się kimś innym: zawodowym, perfekcyjnym tenisistą.

MAREK BIEŃCZYK Z PARYŻA



AURELIEN MORISSARD / IMAGO SPORT / FORUM

TYM KONAM, ŻE UMRZEĆ NIE MOGĘ”, SKARŻYŁA SIĘ ŚWIĘTA Teresa w porywach mistycznej tęsknoty za upragnionym spotkaniem z Bogiem. Po trzydziestym z kolei wygranym meczu Igi Świątek sentencja ta przysłała do głowy niczym objawienie: tego napięcia nie da się wytrzymać, tym konam, że przegrać nie mogę. Począwszy od jednej szesnastej paryskiego turnieju można było odnieść nawet wrażenie – tych kilka gemów w pierwszym secie z Jessicą Pegulą, ta końcówka pierwszego seta z Qinwen Zheng – że popołniając wyjątkowo niewymuszone jak na siebie błędy, Iga uderza podświadomie we własny los, gra przeciw sobie, by po chwili kolejnym wspaniałym winnerem powrócić potulnie do

właściwego przeznaczenia: bycia Wiecznym Graczem, tak jak Wiecznym jest mityczny Tułacz, obdarzony nieśmiertelnością. Choć niemogący już tego daru wytrzymać.

JAZDA, WYŻEJ | Taka tenisowa nieśmiertelność, wedle komentatorów i samej Igi (wciągniętej siłą rzeczy w ów tok myślenia), musi ciążyć: słowo „presja” padało ze wszystkich stron. Stało się ono dodatkowym przeciwnikiem, najgroźniejszą zawodniczką z dziką kartą, alegorią przeciwności, Presją. Tam, gdzie nie ma kresu, myślenie o kresie wzmacnia się do przesady; nawet w pięknym powiedzeniu *the sky is the limit*, które jak aureola świeci teraz nad głową zwyciężczyni Rolanda Garrosa, zaprzeczenie kresu wzmacnia jego widmową obecność.

Nie jestem jednak pewien, czy słowo „presja” jest odpowiednie, by wyrazić niezwykłość sytuacji. I przy okazji jeden z niewątpliwie największych sukcesów w dziejach polskiego sportu. Psychologicznie zapewne jest ono uzasadnione, filozoficznie zbyt biedne. Czy argonaucci wyruszający po złote runo byli pod presją? Czy raczej wyruszali w wielkie nieznanne, przełamując blokadę kresu?

Na pewno, będąc coraz bardziej podziwianą, Iga staje się coraz bardziej samotną. Nie w sensie towarzyskim, lecz bytowym: sama – teraz inne porównanie – wobec szczytu, na którym zaznacza się kolejne rekordy osiągniętej wysokości. Tenisistka-himalaistka, wchodząca na górę, której prawdziwej wysokości nie zdoła się zawczasu określić. Albo budująca katedrę, której szczytu nie widać. Może są jednak na świecie takie nieznanne góry czy takie katedry. Uznajmy tymczasem – wobec niezwykłości wyczynu Świątek – że istnieją. Dlatego nie lubię ewidentnego stwierdzenia, że „Iga w końcu kiedyś przegra”. Lepiej spojrzmy na to od strony nieba: rany boskie, ktoś nadludzki tu nadchodzi i jest coraz bliżej.

Trzeźwy, domorosły psycholog we mnie litościwie mógłby życzyć Idze porażki w finałowym meczu z Coco Gauff (zresztą jak przegrać, to z kimś, kto tak się świetnie nazywa); niech już ma to z głowy. Było rzecz jasna przeciwnie, zagryzałem filozoficznie i konkretnie palce: wyżej, jazda, jeszcze wyżej. Wbrew oczywistej oczywistości, że nic złego nie może się wydarzyć, że nerwy są całkowicie zbyteczne, do ostatniej piłki nie siedliśmy z kumplami na kanapie, bo przecież dla nas, tysięcy gorzej lub lepiej, bardziej czy mniej niezgrabnie uwijających się po kortach amatorów, Iga jest emanacją naszych wysiłków, szczęśliwą sublimacją naszego potu, ceglastego pyłu na nogach, bólu lędźwi, długich godzin przeturlanych latami na korcie i lawiny nietrafionych forhandów oraz innych gardłowych w tym życiu zagrań.

TE OCZY | Nawet w pierwszy i drugi dzień turnieju nie można było się dostać na kort centralny, mimo że trybuny były całkiem puste; karnetowy system sprzedaży uniemożliwiał wejście do chwilowego pępka świata. Pozostała okropna, jak to w Paryżu, kawa, ale z widokiem na koronę stadionu, obojętność kelnera („mnie tylko rugby bierze”) i wiodący plakat Wielkiego Szlema rozklejony na słupie reklamowym napięciw.

Artysta średnio utalentowany; obrobił fotografie graczy jak cię mogą, w sam raz do komiksu z lat 80. Na pierwszym planie Nadal, oczy skupione do skrajności możliwości, hipnotyzujące – niczym wąż ofiarę – niewidzialną piłkę, którą zaraz rąbnie,

→ po prawej Monfils, odmłodzony i niewyrazisty, wgapiiony w siebie, po lewej Alizé Cornet, rozedrgana, gwałtowna, z bojowym wzrokiem i w nieprzystojnej pozie, i obok Iga o dziwnych rysach z twarzą nie całkiem Igi.

Lecz za to całkiem jej oczy. Zupełnie inne; ani skupione jak u Nadala, ani gwałtowne jak u Cornet. Muszę to powiedzieć: oczy wpatrzone w nic, beznamietne; tak patrzy zabójca, trzeba się bać. Jakże odmienne od roześmianych oczu tej samej osoby, która udziela publicznego wywiadu w chwilę po wygranym meczu. Jakże odmienne od oczu Magdy Linette w kapitalnym meczu z Ons Jabeur, kiedy grała, jak to się mówi, swój najlepszy tenis: oczu guziczków, w których wyrażało się dziecięce pragnienie zdobycia tego, co wciąż umyka, co błyszczy na pięknej wystawie za pancerną szybą.

Wasz niespecjalny wysłannik dostrzegł parokrotnie podczas telewizyjnej transmisji z Roland Garrosa zimne spojrzenie Igi rzucane ponad nasz ludzki świat, nieuchwytnie i swoją wsobnością niemal budzące lęk. Równolegle zobaczył w nowym, niesamowitym architektonicznie muzeum paryskim, Pinault Collection, jeszcze bardziej niesamowite rzeźby Charlesa Raya. Jedna z nich, „Fall 11”, przedstawia hiperrealistycznie kobiecą postać, jak żywą, tyle że elegancko odzianą olbrzymkę na blisko trzy metry. Wypisz wymaluj *business woman* czy modelka przedstawiająca nową kolekcję, czy prywatnie sportsmenka, lecz w każdym przypadku Królowa Balu. Oczy niedostępne, z którejkolwiek strony w nie się wpatrzeć, a przecież szeroko otwarte i przerażające swoją gigantyczną osobnością.

Dziennikarskie gawędy typu „normalna, zwykła dziewczyna”, „dziewczyna wyjątkowo naturalna” nie mają większego sensu, jak wszelkie celebryckie koszałki opalki; prawdziwie interesująca dla obserwatorów sportu jest granica, za którą „normalny” człowiek staje się kimś innym, zawodowym, perfekcyjnym graczem. Po jej przekroczeniu dokonuje się zmiana istotowa; to już jest nowa inkarnacja, inne ciało wpisane w ruch, niemające nic wspólnego z ciałem codziennym. U Nadala ta różnica zawsze uderzała; jego sposób gry uwydatniał przejście w inny stan materii. U Igi, wiemy: różnica wzmożła się wraz z jesienną zmianą trenera, lecz przede wszystkim po duchowym przejściu przez zero w zeszłorocznym sezonie.

Tam umarła Iga, tam urodził się Igator. Na jesieni stało się jasne, że Iga powoli schodzi do otchłani (bo mimo wciąż dobrych wyników zaczęła już stąpać po równi pochyłej) i że trzeba było odważnie to sobie powiedzieć, aby nastąpiło odnowienie, aby przemienić się w ExLacrimosę, gracza o suchych oczach. Najwyższy czas, *nota bene*, by powiedział to sobie Hubert Hurkacz, jeśli chciałby wyrwać się – jeśli to jeszcze możliwe – ze swego *status quo* rozciągającego się między krótkim kłusem a długim człapaniem; ci, z którymi kiedyś w miarę często wygrywał, Rublow, Auger-Aliassime, Sinner, pozostawiają go coraz bardziej w tyle.

Ta przemiana Igi wyrażalna jest w nudnawych terminach technicznych: bardziej kąśliwy backhand wypychający przeciwniczki z kortu, mocniejsze nerwy, lepszy serwis, lepszy wolej, lepsze przygotowanie do podejścia pod siatkę, choć jeszcze niekiedy mylnie wybrany kierunek ataku, porzucenie dropshotów na rzecz piłek długich i silnych, forhand, choć wciąż słabszy niż backhand, to już świetnie przygotowywujący na ostateczny cios.

Kiedyś, gdy Wojciech Fibak zaczął odnosić pierwsze sukcesy, dodzwoniłem się do radia, do audycji, w której odpowiadał na dociekania słuchaczy. Moderatorka wysłuchiwała mnie i dopuściła na antenę, anonsując redaktorowi: „chłopak ma ciekawe pytanie”. Chyba tylko dla pytającego, Fibak ziewnął wewnętrznym i bez entuzjazmu odpowiedział, co to znaczy top-spin, słowo wówczas nowe i modne. O niuansach techniki tenisowej trudno jest rozmawiać; my się nie znamy, a zawodnikom nie chce się o tym gadać; w żadnym poświęconym Idze komentarzu pisanym czy mówionym na nic ciekawego poza ogólnikami nie trafimy.

Trzeba stanąć na korcie i poczuć na własnej rakiecie szybkość wysłanej ku nam piłki, by zacząć coś więcej rozumieć. Nie będę tu się mądrzył, wystarczy podziwiać wraz z innymi niebawiałą węzową zwrotność Świątek, „genialną pracę nóg”, „fantastyczne przygotowanie fizyczne”, szybkość, zmienność rytmu, kątowe uderzenia itd. No i plastyczność kręgosłupa; na przykład umiejętność, jeśli zajdzie taka potrzeba, gry „na gowina” w chwili, gdy leciały na Ige niezwykle nieprzyjemne slajsy od strony Peguli – wyjątkowe paskudne uderzenie, które przy odbiorze wymaga niemal przykłęknięcia na ziemi. By po chwili, jak to Iga potrafi, przyłożyć forhandem z wysokości. Tak soczyście, że za każdym razem aż przyjemnie robi się widzowi w środku; kończące odbicie wydaje rozkoszny dźwięk, który zaczyna się jeszcze na korcie, a kończy w naszym brzuchu.

Ale widać przecież dobrze, że nie o poszczególne składowe chodzi w tej nowej świetności Świątek, o takie czy inne uderzenie, o jakieś szczególne piękno. Pięknie i klasycznie to uderzał Wawrinka backhandem, ponowoczesne piękno tenisa wymyślił Nadal swoim karkołomnym sposobem gry w obronie, będącej zarazem w dziwny sposób atakiem. W przypadku Świątek mówiłbym, hm, o osobliwej kompaktowości, to znaczy o zagęszczeniu chyżych gestów, czego odpowiednikiem w malarstwie byłby kubizm, a w muzyce serializm.

SUKIENKI, SPODENKI | Przyłożyć forhandem z wysokości, chlasnąć jak batem, bez pardonu. Sporo mówiło się na tym Rolandzie Garrosie o ponownym otwarciu się przepaści między tenisem męskim a żeńskim, o kryzysie tego ostatniego. No więc tak, wypada się zgodzić, i nie.

Tak, gdy patrzymy na historyczny już, choć minęło ledwie parę dni od jego zakończenia, ćwierćfinałowy mecz Djokovicia z Nadalem. Gdyby piłka gryzła, z kortu nie ostałoby się nic. Nic nie ostałoby się z trybun, nic nie ostałoby się z kapeluszy i kurtek, nic nie ostałoby się z kibiców, którzy meczowi się przyglądali, piłka przegryzłaby ich serce, ich duszę: co zrobić ze sobą w głęboką noc, gdy kumulacja energii rozgrzewa nas tak, że sami stajemy się kinetycznym upiorem bez swojego miejsca w świecie.

Tak, gdy stwierdzimy, że w meczach najlepszych zawodników praktycznie nie ma prostych niewymuszonych błędów; w wypadku błędów jesteśmy najczęściej na granicy błędu, centymetr za linią, i większość tych niewymuszonych jest w istocie wymuszona, czy to przez własną intencję ryzyka, czy to przez świetność uderzenia naprzeciw.

I tak, gdy chcemy patrzeć na grę nierwaną, bezkresne wymiany do utraty tchu; najdłuższa wymiana sobotniego kobiecego finału liczyła piętnaście uderzeń, a średnia wymian ledwie cztery.



IBRAHIM EZZAT / NURPHOTO / AFP / EAST NEWS

Kiedy wygrywała dwa lata temu, słowa lewitowały. Teraz, przy drugim i przecież jeszcze wspanialszym tryumfie, chciałyby się ustatkować. Do tego doszło, że wspólne zdjęcie Igi i Roberta wydaje się cudownie autentyczne i zarazem jakby zmajstrowane. Paryż, 4 czerwca 2022 r.

Nie, gdy pomyślimy o Świątek, która odkurza inwazyjny model gry, nie tak dawno temu dominujący na kortach, lecz ostatnio nieco rozmyty przez obronny tenis na sępa, czyhający na pomyłki przeciwników. Przy czym nie jest to model czysto siłowy; ma coś z gier planszowych czy szachów błyskawicznych: intuicyjne rozpoznanie planszy kortu, położenia figur i uderzenia w miejsce, którego nie pokrywają. Nikt za tym na dłuższą metę nie może nadążyć. Tak jakby Świątek nie tylko uderzała, lecz też myślała szybciej od innych.

Po Jadwidze Jędrzejewskiej i Agnieszce Radwańskiej Iga Świątek jest naszą kolejną pionierką w sporcie, w którym wielkich sukcesów nie odnosiliśmy, a który w latach 20. XX w. stał się jedną z ważniejszych przestrzeni emancypacji. Podczas tegorocznego Rolanda Garossa można było obejrzyć świetną wystawę tak właśnie zatytułowaną, „Pionierki”, poświęconą przedwojennemu malarstwu kobiet i ówczesnym ruchom emancypacyjnym. Krótki film z kobiecego debłu na Wimbledonie nie może nie wywołać uśmiechu; nie tyle ze względu na sposób gry, co same stroje, długie spódniczki, niekiedy też sukienki niemal do ziemi. No ale nawet dziś jest o czym gadać: stroje te projektowali znani kreatorzy mody, jak Elsa Schiaparelli, wielka rywalka Coco Chanel. Schiaparelli stworzyła skandalizujące wówczas prądniczkę dla tenisistki Lili Álvarez, sukienko-spodnie, nadto wedle krytyków „męskie i cokolwiek lesbijskie”. Niepokoił też „prowokujący” strój Suzanne Lenglen autorstwa Jeana Patou: plisowana suienka sięgająca ledwie kolan i niezakrywająca łydek okrytych białymi pończochami. Kiedy Lenglen wyciągała się jak struna do woleja, wyglądała niczym anioł Chagalla w locie.

Trudno zdecydować, co od tamtych czasów bardziej się zmieniło: ubiory tenisistek czy ich sposób gry. W każdym razie w latach 30. XX w. ktoś już przewidział wybitne możliwości kobiecego tenisa:

„Vorhand! – zawołała.

Rafa uderzył piłkę i poszła w siatkę. Druga poszła na out. Trzecia wreszcie udała mu się, ale panna Iga musiała podbiec, aby ją złapać na raketę. Następne upadały nieporządnie za blisko lub za daleko. Krzyknęła wreszcie:

– Ależ pan nie ma pojęcia! *No sabe nada sobre el juego!*

Odparł bez namysłu:

– Każdy tak robi, jak umie.

Zatrzymała się. – Szkoda, że pan nie umie lepiej – rzekła, wzruszając ramionami. Posłał jej nową serię, którą odsyłała pięknym, wystudiowanym ruchem. Już wiedział, że wkrótce nie będzie miała sobie równych. I to przez długi czas. *Siempre*”.

GDZIE JEST REALNOŚĆ | W tenisie są dwa serwy, pierwszy żywiołowy, na pałę, drugi ostrożniejszy, na pół gwizdka. Podobnie z tekstami o Idze. Kiedy dwa lata temu wygrywała turniej paryski, słowa gwałtownie lewitowały, teraz, przy drugim i przecież jeszcze wspanialszym tryumfie, chciałyby się nieco ustatkować. Medialna rzeka wykrzykników zalewa wszystko swą słodką mazią, telewizyjne landrynki w Eurosporcie aż puchną w ustach, a cogodzinne portalowe doniesienia o Idze („Raszynianie”, „młodej Polce”, „naszej młodej zawodniczce”, „naszej Raszynianie”) i Robercie, opatrzone sensacyjnymi tytułami, od dawna wywołują mdłości. Do tego doszło, że ich uścisk i wspólne zdjęcie na korcie w chwilę po wygranej meczu wydają się cudownie autentyczne i dla polskich kibiców – nieoczekiwane spotkanie dwóch słońc na szczycie – fantastyczne, i zarazem jakby zmajstrowane w portalowym fotoshopie.

A wszystko to w oparach wojny, okrutnej i zarazem *drôle de guerre*, w której ciężkim bombardowaniom towarzyszy internetowy teatr przemówień, czy, po drugiej stronie kontynentu, mecz Ukrainy o zakwalifikowanie się do mundialu. Najpierw, przez długi czas, sprawdzało się w necie doniesienia z frontu, a następnie wieści o Idze, Robercie czy Champions League, teraz już chyba jest odwrotnie. Gdzie, gdzie jest realność? Tak, ostatecznie wszystko to jest częścią gry, w której wszyscy uczestniczymy, której ulegamy i której kompletnie nie ogarniamy. Więc coś jednak kłuje i słowa Igi o Ukrainie na koniec przemówienia, choć też są częścią gry, wydają się tym bardziej konieczne i cenne, przywracające choć na chwilę właściwe proporcje. Zapewne, jakby tu rzec, niektórym łatwiej, lecz tak: dobrze, że to powiedziała.

Marek Migalski, który wywołał wrzawę wpisem o bezsensie kibicowania Świątek i ściągnął na siebie idiotyczne oskarżenia o brak patriotyzmu, ma oczywiście rację i oczywiście jeszcze bardziej się myli. To prawda: kibicowanie, a także, czy może przede wszystkim kibicowanie narodowe, nie znajduje racjonalnego wytłumaczenia. Ale też nie chodzi w kibicowaniu o wsparcie dla „swoich”; chodzi o przeniesienie siebie na stronę absolutnej zbledności, w której odnajduje się niepojęta część nas samych. Marek Migalski pojmuje siebie, kibic (mój kibic idealny) siebie nie pojmuje i w tym braku rozpoznania odnajduje smak, a może nawet definicję istnienia.

Wróćmy do Igi, której jasnovidz Gombrowicza z tenisowej powieści „Opętani” poświęcił, miejmy nadzieję, ostatnie zdanie książki: „Chwała Bogu! – zawołał jasnovidz. – Nareszcie zrozumieliście to! Na tym świecie, pełnym niejasności i zagadek, mroków i mętów, dziwów i pomyłek, jest tylko jedna nieomylna prawda – prawda charakteru!”.

I wyznajmy na koniec, że niemało dalibyśmy za to, by dowiedzieć się, którego to utworu Led Zeppelin, najlepszej rockowej kapeli w dziejach, słuchała Iga Świątek przed sobotnim wejściem na kort. Może „Heartbreaker”, choć każdy kawałek by pasował. Grało się go w kółko, gdy wchodziło się po raz pierwszy na kort w roku 1974, aby popełnić podwójny błąd. I kolejne, aż po dzisiaj.

© MAREK BIEŃCZYK

STANISŁAW

Mancewicz:

O energii



WIADOMO: WICEMINISTER POLSKIEGO KLIMATU, p. E. Siarka, zachęca ludność, głównie tzw. naszych seniorów, do zbierania chrustu. Przy okazji dowiedzieliśmy się – to ciekawostka dla ludzi żyjących

w miastach – że zbieranie chrustu w lasach państwowych jest szczegółowo opisane i uregulowane przepisami. Oto – słyszymy teraz – centralnie reklamowane i także zalegalizowane zbieranie patyków ma złagodzić efekty szalejącej inflacji i ułatwić obywatelom dostęp do opału. Miło. Ręce same składają się do oklasków, bowiem zawsze popieramy depenalizację, nawet w sprawach, wydawałoby się, drobnych. Dobrze, że zrezygnowano z szukania po zaroślach emerytów i rencistów obławianych państwowym chrustem zdobytym nielegalnie. Było to zajęcie czasochłonne i niebezpieczne, bo każdy tu wie, jak dożarty potrafi być polski emeryt, jak kosztowne i trudne jest chwytywanie go na gorącym uczynku i wiązanie w kij. Służby mundurowe nie raz i nie dwa w historii zaznały kąśliwości polskiego seniora. Słowem, przynajmniej w tej sprawie, rząd – jak to się mówi – uciekł do przodu, zadziałał wyprzedzająco i zapobiegł kłopotom wizerunkowym.

No więc – to oczywiste – sprawa zbierania chrustu rozśmieszyła najszerze rzesze, uzłośliwiła masy memujące i dała naszym znakomitym politykom chwilę luzu. I to by było w zasadzie na tyle. My jednak – jak tu ponuro siedzimy – nie możemy iść na skróty, nie możemy sobie pozwolić na podśmiechujki czy robienie sobie jaj z rządu. Chrust – zważmy – to sprawa poważna, bo chrust to paliwo, ale też symbol paliwa nędznego. Bo chrust – jak by nie było – to energia, a suche patyki to, zdaje się, paliwo przyszłości, które da nam odrobinę ciepła i światła w cieniu licznych, wyrastających tu i ówdzie grzybków atomowych. Chrust więc to nie tylko przeszłość,

jak powiadają niektórzy, nie tylko obowiązkowy rekwizyt udanych rekonstrukcji historycznych, nie tylko kluczowy dziś surowiec pisowskiej gospodarki energetycznej i symbol pisowskiej ekologii, nie tylko element udogodnień dla tzw. naszych seniorów, ale i zapewne życiowo ważny towar dla najbliższej codzienności każdego z nas.

Oczywiście, katastroficzne fantazje na temat sposobów przeżycia następnej kryzysowej zimy i przednówka to tematy bardzo rozległe i nie sposób tę skomplikowaną problematykę sprowadzać do haseł, nawet nośnych, czy do łatwego snucia. Słowem, trzeba by wydatkować sporo energii, a tej nam bardzo szkoda, by tworzyć teraz podręcznik sposobów ogrzewania i oświetlania lepianki, czy też komponować zbiór porad na zagotowanie wody w czasach władztwa Jarosława Kaczyńskiego z koleżankami i kolegami. Są to doraźne i zbyt praktyczne kwestie, które nas interesują raczej średnio.

Najważniejszym dla nas – pozornie, jak się okaże – aspektem związanym z gromadzeniem chrustu jest zmysłowy mikroelement z zamierzchłych czasów młodości. Mamy tu na myśli owo dawne zbieranie chrustu, dajmy na to, w towarzystwie tzw. sympatii, by oto rozpalic ognisko i zaśpiewać kontekstowo pasującą piosenkę: „Płonie ognisko i szumią knieje”. Towarzyszyło temu oczywiście pieczenie ziemniaków bądź kielbasek, co dziś uznajemy za zajęcia szalenie nudne, ale i szkodliwe gastrycznie, jak, nie przymierzając, wertowanie powieści wiadomo kogo na W.

No więc każdy myślący człowiek, który popełnił te równo ekologiczne (palenie ogniska), jak i estetyczne (śpiewanie o drużynowym) przestępstwa, zna także wszystkie okoliczności i konsekwencje łażenia po lesie. Oto zaznane płatanie się pośród chmar owadów ssących i kłujących, pośród niepokojących odgłosów namnażania, w zapachach biomasy, przy mimowolnym ocieraniu się o hubę, o prawdziwkę, o kurkę bądź o muchomorka sromotnikowego, w groźbie nieoczekiwanej napaści krętkowicy kleszczowej, pośród trzasków, bzyczeń, klekotań, krakań, kukań i postękiwań – wszystko to odbiło się na naszym rozumieniu świata. Wszystko to – rzekomo przyjemne i ciekawe – nie dało jednak narzędzi do objęcia rozumem świata wciąż nieodgadnionego, że oto rząd polski jako jedyny na planecie znalazł rozwiązanie kryzysu energetycznego w zbieraniu chrustu przez seniorów.

©

BARTOSZ MINKIEWICZ





Napisz własną historię kuchenną

Do każdej prenumeraty autorski, wyjątkowy notes kulinarny „Smaki” w prezencie. 12 sezonów, przepisy, rozmowy, eseje, autorskie ilustracje – **i Twoja opowieść.**

ZASADY ZAKUPU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę papierową można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela
Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00
od poniedziałku do piątku
pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej
informacji oraz wsparcia technicznego udziela
Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00
pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail:
kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić
przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny**		
+ 4 wydania specjalne	500 zł	
4 wydania specjalne na 2022 r.	85 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

TYGODNIK
POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago
marketing automation



Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy **S-NET Data Center**

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.



Gwarancja SLA



Obiekt klasy Tier 3



Transmisja danych
do krajowych operatorów



Samodzielny dostęp
do szaf w trybie 24/7



Redundantne połączenie
z siecią Internet



Monitoring 24/7
oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.



Systemy
przeciwpożarowe



Systemy
chłodzenia



Niezależne
zasilanie



s-net.pl/data-center



Skontaktuj się z nami

+48 **12 395 71 00**